

Gravé par D. Chodowiecki à Berlin en 1771.

CABINET D'UN PEINTRE

Dedié a Madame Marie Henriette Ayrer, veuve de feu Mr. G. Chodowiecki.

Par Son très humble et très Obeissant Serviteur et fils

Daniel Chodowiecki.

LAMUS

Zeszyt trzeci

Lato 1909

TREŚĆ ZESZYTU TRZECIEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj: Str.

St. Eljasz Radzikowski: Dziawolenie... 307
Leopold Staff: Śladem stopy antycznej (II) 309
Lucyan Rydel: Eros i Afrodite 317
Mieczysław Smolarski: Wiosna 362
Marya Znatowiczówna: Kwiat milczał 368

Leon Piniński: Rafael Galeryi Czartoryskich 369
Zygmunt Bytkowski: O monologu w dramacie 377
Nowe książki 409

Część druga — Wczoraj: Str.

Arthur Grottger: Z listów Artysty (r. 1866) 413
Kornel Ujejski: Erotyki (c. d.) 436
Adam Mickiewicz: List do Mazziniego (facsimile) 439
Józef Kallenbach: Z epoki emigracyjnej (Listy Eustachego Januszkiewicza) 440

Ilustracye:

Okładka wedle rytu Chodowieckiego: Rodzina artysty
Rafael: Portret mężczyzny (druk czterobarwny)

Treść zeszytów pierwszego i drugiego na trzeciej stronie okładki.

Zeszyt czwarty (jesienny) Lamusa wyjdzie w październiku i będzie zawierał między innemi artykuły: w części pierwszej: Jana Kasprowicza, J. Maria Heredii (tłóm. J. Klemensiewicza), Jana Gw. Pawlikowskiego, J. B. K., Wilh. Bruchnalskiego, Stanisława Koczorowskiego etc.; w części drugiej: Arthura Grottgera, Juliusza Słowackiego, Karola Brzozowskiego, Józefa Szujskiego, Ryszarda Berwińskiego, Mieczysływa Romanowskiego, Adama Asnyka; w Rozmaitościach: Hymny do Polski K. A. Swinburne'a (tłóm. L. Staffa), Viktora de Laprade'a (tłóm. Miecz. Pawl.), Alexandra Endrödiego (tłóm. Miecz. Pawl.).

Lamus wychodzi cztery razy do roku w zeszytach objętości łącznej 40 arkuszy druku. Każdy zeszyt zawiera kilka plansz jedno- lub wielobarwnych. Prenumerata wynosi rocznie: w Galicyi K. 12·—, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem M. 10·50, w Królestwie Polskiem R. 5·—. Cena zeszytu pierwszego oddzielnie K. 3.50, M. 3·—, R. 1·40; następnych po K. 4·—, M. 3·40, R. 1·60.

Redaktor: Michał Pawlikowski, (Lwów, Trzeciego Maja 5); * Nakładem A. Altenberga i J. Mortkowicza. Składy główne w księgarniach: H. Altenberga we Lwowie i G. Centnerszwera w Warszawie. * Własność Redakcyi.

* Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

Część pierwsza — Dzisiaj

(DZIAWOLENIE NIKCZEMNEGO
DZIAWRAGI
UZDAJANE PO PÓŁNOCKU).

Noc. Ciemno i ciężko.

Wiatr halny hulał cały dzień.

...Oj, coś będzie, będzie!

Chmurzyska zaciągnęły całunem całe niebiosa, Tatry zginęły w pomroce.

Oj, coś będzie, będzie!

Izba góralska i salon równocześnie. Z sosrębu patrzą leluje, wyziera gwiazda sześcioma ramiony, a krzyżyk niespodziany z kącika woła:

Pomagaj Bóg!

...Oj, coś będzie, będzie!

Okna rozwarte. Wilgoć ciepła wchodzi w izbę, a za nią gromady ciem. Ku światłu biegną. Siadają po ścianach, ścielą strzechy swych skrzydeł na jasne płazy belek.

Za chwilę zaczyna deszcz. Rzęsisty, kroplisty, bije miarowo o trawnik przed oknami.

...Naraz odzywa się preludyum deszczowe Szopena.

Ćmy zmieniają miejsca. Pląsają kontredansa.

Muzyka wypełnia wszystko! Grają ściany, powała, sosrąb, gra deszcz poza oknami, — rytm ujął świat cały!

I wstają duchy takie swoje krewne, z któremi spaćby można spokojnie — bez trwogi.

Deszcz przycicha.

Muzyka wypełnia całą izbę.

Powoli cichnie. Ćmy śpią twardo. W lampie brakło treści, przygasa zwolna.

Cisza.

...Oj, coś będzie, będzie!

Skądeś, z dala, z pustki, ze świata, — przez rozwarte okna dochodzi głuchy łoskot. To piorun się het gdzieś w turniach orawskich głosi. Załamuje się, odbija, powraca, raz go słychać, znowu ginie a ziemia jęczy żałośnie.

W końcu urywany, z wielu osobnych pomruków złożony odgłos przebiega przez całe Tatry.

I znowu cisza! Niebo się wyjaśnia.

Miesiączek świeci, chmury, jak kwoka dzieci, zagania, a ponad Tatry ponoszą wiatry, gwiazda się w toni przeziera... i szumi las i zgiełczy wiatr... i raz po raz od wielkich Tatr leluji zapach przynosi...

W tej Jarząbczej hali, na samiutkim szczycie, rośnie se leluja, wy o niej nie wiecie! Rośnijże lelujo, ku niebiosom strzel! Białe kwiatki ściel! Niemało ich miej!...

...Dobranoc!...

ST. ELJASZ RADZIKOWSKI.

Śladem stopy antycznej.

II.

JAKŻEŚ SMĘTNA...

Jakżeś smętna, choć śmieszna, droga dzieciństwa pamięci,
Ty, co w okna me miejskie, na szary mur wychodzące,
Wstawiasz szyby wspomnieniem przyleśnych łąk malowane
I tej siana kopicy o woni dzikich poziomek,
Którą dzieci swawolne wkrąg otaczałyśmy pląsem
I wśród śmiechów serdecznych klaskały w ręce z uciechy,
Gniazda ptasie miast czapek mając na jasnych czuprynach,
Lśniących w słońcu wesołem, jak rozwichrzone kądziele.
Gdy najmłodsze z nas sprostać w kozłach nie mogąc podrostkom
Dłonią ciągnęło za uszy oswojonego królika,
Chodzić jeszcze niezdolne ani zadawać cierpienia:
Ten, co dumnie przed nami pierwszą już chełpił się książką,
Chociaż przed nią uciekał, na ostruganych dwóch kijkach,
Zamiast skrzypiec, do tańca tak nam przygrywał ochoczo,
Że wraz z nami skakały kopice, drzewa i chmury
I świat cały, ten sam co dzisiaj, a inny, tak inny,
Jak te czasy minione, tak niepowrotnie szczęśliwe,
Gdy wiedziało się wszystko, bo nic nie wiedziało się jeszcze,
Gdy się ziemia zdawała nowa, niczyja i nasza,
Prosta a dziwnie stuznaczna, bliska a cudnie daleka,
Żyły kamienie a rzeczy były tak bardzo wymowne:
W zimie śnieg jakiś bielszy, a w lecie zieleń zieleńsza.

PŁOCHYCH UCIECH IGRASZKĄ...

Płochych uciech igraszką skracając czczość pustych godzin,
W których dzbany nie wlała wina ni mądrość ni serce,
Z ramion przechodząc w ramiona, w znudzonej wreszcie zachciance
Na mnie okiem rzuciłaś, który nie bacząc twej krasy
Szedł uboczem. I oczu swych i uśmiechów wymową,
Czarem wabnej przynęty zmąciłaś spokój mej myśli,
Co zaprzysięgła się Dziełu i śni o wieńcu z wawrzynu.
Gdyś spostrzegła, że krok mój utknął bezwolny i oczy
W cel utkwione zboczyły odeń ku twojej postaci
A na czoło mi chmurne żyła wybiegła nabrzmiała:
Ty oporem przekornym, zalotną zwłoki podnietą
Drażnisz młode pragnienie i gniewem wzburzasz mi członki.
Dzisiaj, kiedym cię spotkał spoczywającą samotnie
I ująłem twe białe dłonie w spiżowe swe pięście,
Już nie ujdziesz mi, ani moim się wymkniesz objęciom.
Niecierpliwość mnie bowiem gna ku szczytnemu zadaniu
A duch musi twe pęta zrzucić i wolność odzyskać.
Blednąc, iż pod przemocą ulegniesz, nie gań mej siły,
Co niewolnicą cię rzuca do stóp mej żądzy drapieżnej.
Ale obarcz wyrzutem swą lekkomyślność kuszącą,
Jeśli patrząc mi w oczy wyrok w nich czytasz niezłomny,
Że kto we mnie pożogę rozniecił, ten ją i zgasi.

W DOM SWÓJ KORNIE CIĘ PROSZĘ...

W dom swój kornie cię proszę, na twe przyjęcie gotowy,
Piękna siostro ma w bieli szat spływających oparta
O zwalony bóstw ołtarz pod cienistemi platany,
Dumająca, samotna, w dziewic nietkniętej przepasce,
Choć nie znamy się z imion, znają cię moje źrenice,
O piękności twej słodkiej i o jej pełni wiośnianej
Sercu memu mówiące, które wie więcej o tobie.
Bo bogowie, co piękno, miłość i szczęście stworzyli,
Snać nieradzi są męce niedzielonego pragnienia,
Skoro wczora wieczorem nad brzeg mnie źródła powiedli,

Gdziem cię ujrzał pod białym, cichym Erosa posągiem,
Jak, nad płynnem zwierciadłem smukłą kibicią przegięta,
Ręce żarem płonące w zimnym nurzałaś krysztale
I ochłódłe cisnęłaś do rozpalonych swych skroni.

W MŁODYCH OCZACH ŻEGLARZA.

W młodych oczach żeglarza, który dla ciebie, dziewczyno,
Raz na brzeg nasz przybywszy z kupcami tkanin jedwabnych,
O swej miłej ojczyźnie i słodkich siostrach zapomniał,
Śmierć ujrzałem i wolę stanowczą w szczękach zaciętych
I odgadłem, żeś miała dziś z nim ostatnią rozmowę.
Szedł ku skale, co patrzy w morze zabójczem urwiskiem
I skąd nigdy nie wrócił kto szedł tam z czołem schylonem.
Nie wstrzymałem go: boleść ma prawo szukać ukojeń.
Kiedym wrócił do domu, o wrótnię swoją oparte
Wiosło jego znalazłem, którego z nikim nie dzielił.
Zrozumiałem. W umarłych tablicę nowe-m wrył miano.
I przychodzę do ciebie, coś mnie przeniosła nad niego,
Aby wziąć cię w ramiona, piękną i smukłą, jak wiosło,
I radować się z tobą po długich nocach tęsknoty
W serc spokoju. Albowiem wszelkie niewinne jest szczęście.

ZAŻYWAJĄC WŚRÓD SADÓW WCZASU...

Zażywając wśród sadów wczasu dostojnej starości
Po podróżach dalekich, gdzie poznał lądy i morza,
Obyczaje narodów różnych i przygód doświadczył:
Słucha ojciec sędziwy posła, co kurzem dróg skryty,
Zadyszany od biegu, nowinę przyniósł od granic,
Że wróg sąsiad przechwałką grozi zuchwałą najazdu
Jego ziemic zoranych pługiem szerokim i lśniącym.
Zmarszczył starzec brwi siwe i pięści władne zacisnął,
Z żalem jakby wkrąg patrząc na pola pięknie uprawne
I wesołe winnice, którym zagraża zniszczenie.
Lecz wnet rzucił spojrzenie na swe domostwo obszerne,

Gdzie mu dzieci rodziła piękne małżonka czcigodna
I gdy ujrzał nas synów dziewięciu, silnych i nagich,
Jak ostrzyliśmy krótkie miecze o próg marmurowy,
Z ust mu buchnął szeroki śmiech, jak wodospad obfity,
Spływający po rzece brody srebrzystej i długiej.

NAPIS PRZY DRODZE.

Iż go długo napróżno kwitnące miasto rodzinne
Z wieńcem i otwartemi bramy czekało z powrotem
Z pola, kędy niezbrojną pierś nadstawiając najeźdźcom
Powiódł w bój towarzyszy nagłą zgodą straszliwych
I czerwoną krwią wróżąc ojczyźnie odwet chwalebny
Zgon napotkał żałobny, rozweselony zwycięstwem:
Kamień ten swemu synowi, co hełm zdejmując ze skroni
Chciwie nie ucałuje już drogich progów domowych
— Matkom zasię szczęśliwym, co mają synów dorodnych,
Iżby im przekazały zgasłego pamięć młodzieńczą —
Kładzie ta, której chlubą jest i boleścią ta strata,
Najszczęśliwsza z wszech matek: matka osierocona.

PRZYJACIELU MÓJ.

Przyjacielu mój, z którym jeden na bóstwa ołtarzu
Wieniec wspólny złożyłem, z ślubem bezzgonnej przyjaźni!
Wiedz: W ogrodzie, którego ziemia mi droższa się stała
O popioły twe wiotkie, na wonnym stosie spalone,
Postawiłem wśród mirtów zieleni hermę twą białą,
By mi piękną twą głową, koroną boskich twych członków,
Przypominała twe ciało, wyższe od niebian pięknością.
Na cokole kazałem wyryć dwie dłonie złączone,
Godło związku naszego, którego śmierć nie rozluźni:
U stóp bowiem posągu, obok twej tarczy i miecza,
Które śmierć na jałowość gnuśną pokoju skazała,
Na bezczynność niesławną miecz własny-m złożył i tarczę,
By nieśmiertelnej już sławy wraz z tobą zyskać nie mogąc,
Najstraszniejszy śmiertelnych podzielić los: Zapomnienie.

RUINY PALATYNU.

Smętek niewysłowiony pogody ruin bezwiednych
Sercem mojem owładnął, gdym o zachodzie dziś wstąpił
W twój przez ziemię zazdrosną pożarty pałac, Auguście.
Daneć było, co jeno najnieliczniejszym przypadło
W boskim życia udziale: szczyt osiągnąłeś potęgi
I na ziemi okręgu stanąłeś stopą wszechwładną.
W karle z kości słoniowej siedząc wyniośle, dzierżyłeś
Wodze świata całego. Jednego zdobyć nie mogłeś,
Czego nikt nie zdobędzie: dzieła trwałości i trwania.
W mocy najwyższej poczuciu darmoś się trudził dla Sławy,
Dumnej płyty nagrobnej, nad którą żądza pamięci
Całe życie pracuje. Czyny twe płaskorzeźbione
Starły z niej ciche podeszwy wieków w wytrwałym pochodzie,
A twe imię, co miało rozbrzmiewać sławą spiżową,
Znane jeno zbłąkanym w gruzy kochankom milczenia.
Aby zaćmić, cokolwiek było przed tobą i będzie,
Wzniosłeś budowli rząd pyszny, jak zmarszczka czoła twojego
I ruch ręki wielmożny, co wciąż po nowe tryumfy
Na śmierć rzucał zaciężne orły marsowych legionów.
Gmachy twe dzisiaj pod ziemią, chociaż wyziory w sklepieniach
Tenci sam ukazują błękit spokojny a zieleń
Bujna niemych ogrodów, co się rozsiadły na górze,
Zwiesza w głębie zamarłe ziół obojętną ciekawość.
W pomrok twej biblioteki przez stropu otwór okrągły
Blada róża złotawa rzuca w głąb płatki więdnące,
W które Czas, współpracownik każdego dzieła ludzkiego,
Mającego dopiero w ruinie pełne skończenie,
Większą mądrość wpisuje, niż w karty twych pergaminów
Zaginionych wpisali czczeni przez ciebie mędrcowie.
Pod cyprysem, co ciemny ruinie z nieba panuje,
Ozłocony wieczornem słońcem, co wszystkim zachodzi,
Niewidoma Sybilla próżno wyczytać się stara
Z księgi w której stulecia pozacierały już znaki
Imię twoje i prawdę, którąbyś dzisiaj zbudzony
Sam też może usłyszał w zmierzchowym skwirze jaskółek
— Nie o tobie, Auguście, ach, nie o tobie świegocą —
I raz wtóry trud mając podjąć zaniechałbyś dzieła,
Myśląc, o czem bogdajby nigdy nie myśleć tworzącym:
Niechaj nie trwa ni chwilę, co być wieczyste nie może.

STOA.

Patrzę w gwiazdy co wieczór: są czyste i niezakryte,
Jak me życie spędzane w krużganku, który zabobon
Tłumu w lęku omija przed klątwą na nim ciążącą,
Odkąd go mężów zabójstwem skrwawiło trzydziestu tyranów.
Mnie nic strwożyć nie może. Bo nie zawisło od Losu
Szczęście męża, gdyż nie jest złem, czego złem sam nie nazwę
I nic zniszczyć nie może, prócz mnie, mej władzy nad sobą,
Bym wielkoduszny był, mądry, czysty, pogodny i wolny,
Lęku nie znał ni gniewu, a uśmiech z ust mych nie schodzi,
Które żywią jedynie figi i woda źródlana,
Gdyżem bogom podobny, którym niczego nie trzeba.
Dzień mój surowy i prosty, jako kolumna dorycka
I jak fałd mojej szaty, jest tem piękniejszem zwycięstwem
Im trudniejszy był twardy bój i zniesione cierpienie.
Bo z bogactwa jak z nędzy, ze zdrowia jak i niemocy
Tworzę wolność pogodną, jako z kamienia czy złota
Posąg bóstwa jednako wykuje sztuka Fidyasza.
Ból i radość to glina życia. Cierpienie jest mistrzem
Zapaśnika, co zręczność do nagich igrzysk zaprawia.
Grą jest życie. Cóż znaczy, z czego dysk, jeśli rzut celny!
A cierpienie czy radość: toć obojętne dla gracza
Kości, któremi tak rzucać musi, by wygrać wżdy siebie.

MAREK AURELIUSZ MÓWI:

„Świata koronę na głowie nosząc a w sercu tysiące
Grotów losu, do liczby dawnych przyjmuję dziś nowy,
Co, jak tamte, nie zdoła zachwiać niezłomnej mej duszy:
Śmierć twą, synu. Nie będziesz berłem już trudził się po mnie.
Nic nie spotkało cię złego. Choćbyś żył lat trzy tysiące,
Wiedz: nikt życia nie traci innego, jako tę chwilę
Którą żyje, a inną nie żyje, jeno tą właśnie,
Którą traci. Nie ginie przeszłość dla niego ni przyszłość:
Czego kto nie posiada, tego utracić nie może.
Gdy zaś żywiołom nie było straszne się złączyć w człowieka,
Przecz ma straszne być jemu rozłożyć się na żywioły?

Śpij więc spokojnie! — A teraz, Losie, jak godny zapaśnik,
Dłoń wyciągam do ciebie, któremu wszyscy złorzeczą.
Dzięki tobie, surowy, nieprzejednany i twardy,
Żem przez ciebie jest skałą, co przełamuje twe fale,
I oporem swym kiełza wściekłość huczących bałwanów.
Czylim nie jest szczęśliwy, żem zdolen stawić ci czoło,
Teraźniejszością niezgięty, niezatrwożony przyszłością, —
Że co mogło innego spotkać i czegoby nie zniósł,
Mnie spotyka, co przetrwam wszystko, jak posąg pogodny
I jak pożar trawiący w sobie, cokolwiek weń padnie:
A co zdolneby sobą małe zatłumić ognisko,
Mnie bogaci, że jeno wyższym wystrzelam płomieniem".

POCHWALONE BĄDŹ, BOSKIE MORZE...

Pochwalone bądź, boskie Morze, Talatta, Talatta,
Że choć nas już nie będzie, twa fala pianą skrzydlata
Szumieć będzie niezmiennie, o Morze zmienne wieczyście,
Jak następstwo pokoleń i jako lasu są liście. —
Ty, co chłoniesz w dal modrą najdroższe z oczu nam żagle,
Kochać ucząc nas zmianę, wszystko, co znika, mrze nagle:
Żegnać uczysz nas mężnie, czyniąc z nas tęsknot przegońce,
Witające nadzieją już wschód, ledwo zaszło w mrok słońce. —
Wieczny ruchu i trudzie, co odpływ w przypływ cię żenie,
Ty do ciągłych początków i w podróż w dal zaproszenie:
Kochającym codziennie nowy widnokrąg i zmianę
Nigdy rzec nie pozwolisz: „tu spocznę, tutaj zostanę". —
Ty kuszące a straszne, nieurodzajne a żyzne,
Co z bezpiecznej ojczyzny uczysz iść w przygód ojczyznę;
Ty łaskawe a gniewne w krzywdzie niewinnych swych zbrodni;
Ty, co uczysz błądzących szukać swej gwiazdy przewodniej;
Ty chłonące wsze rzeki, gdziekolwiek płyną bezdrożem,
Obietnico wszem źródłom, że kiedyś staną się Morzem;
Ty kochanku miesiąca, wiecznie ku wyży porywcze,
Snom wskazujesz gdzie kwitną dla ducha dale odkrywcze.
Nieznające, co znaczą korne, cierpliwe posłuchy,
Skuć się dałoś sternikom jeno w gwiazd wolne łańcuchy.
Święta, wieczna tęsknoto, rękojmią tyś i przysięgą,

Że choć szczyty gór kiedyś z niżem zrównane polęgą,
Jeśli piersiom orłowym zabraknie w wyżach przystani,
Śmiałkom ty nie odmówisz mogiły w głębin otchłani!
Ty, co wielkość i siłę każesz mieć w woli i wiośle
I wzwyczajasz w twarz śmierci z pogardą patrzeć wyniośle,
Pochwalone bądź święte, zdane najwyższych gwiazd strażom,
Morze, brzegom rzeźbiące skały a dusze żeglarzom!

CHCESZ UPOMINKU ODEMNIE...

Chcesz upominku odemnie, dziś kiedy żegnać się mamy,
By przypominał mnie tobie, bracie i sztuki wybrańcze.
Dajęć kamień: bo świat ci także nic nie da innego.
Jeno ja cię obdarzam złomem marmuru bez skazy,
Białym jako step śnieżny, co go krok nie tknął wędrowca.
Znam sny twoje płomienne i mądre, zimne twe dłuto,
Kuj w tej bryle sny swoje, czyste, szlachetne, jak ogień,
Uwieczniając je kształtem w chłodnym nieczułym kamieniu.
I nie zważaj, jeżeli oko ciekawe przechodnia
Żaru duszy nie czując, uczuje jeno chłód głazu.
Bowiem kiedyś nagrodą będzie ci boską, gdy nad nim,
Wzruszonemi palcami po zimnym wodząc marmurze,
Skrytą łzę Michał Anioł jakiś oślepły uroni.

LEOPOLD STAFF.

Eros i Afrodite

opowieść na tle życia greckiego.

Epigram na Erosa.

Tu Praxiteles Erosa — co cierpień mu zadał bez miary —
Wyrzeźbił, a w sercu nań swem gotowy pierwowzór już miał;
Mną Fryne odkupił, mnie dając. Miłosne rozsiewam ja czary,
Spojrzenia jednego mi dość, więc innych nie trzeba mi strzał.

Antologia Planudea IV. 204.

I.

Na Keramejku, północno-zachodniem przedmieściu Athen, już nieopodal Dypylońskiej bramy, stał w r. 365 przed Chr. spory dom, nie odróżniający się niczem od innych zamożnych siedzib obywatelskich; więc na ciosowem podmurowaniu wznosiły się gładkie ściany z niepalonej cegły, powleczone wyprawą gipsową i zdobne od góry skromnym fryzem; a że na zewnątrz nie było wcale okien, przeto całe domostwo miało cechę zamknięcia się w sobie i odciętej od świata zaciszności. Od ulicy było niewysokie pięterko, przeznaczone — jak zwykle — na gynejkejon, czyli mieszkanie kobiece i na sypialnie czeladzi. Na dalszych częściach domu rozpościerał się dach płaski otoczony drewnianą balustradą, tak iż w letnie wieczory służyć mógł jako rozkoszna terasa, umajona kwieciem i krzewami rosnącymi w skrzyniach i donicach.

Acz tak prosty i mniej więcej do wszystkich ówczesnych podobny, dom ten odznaczał się niepospolitą szlachetnością stosunków i harmonią linij. Wiele wdzięku dodawały mu także bujne, zielone sploty kaprifolium rozpięte na całej przestrzeni białych ścian. Od tego tła ślicznie odbijał, tuż u wejścia stojący Hermes Agyieus wykuty w śnieżnym paryjskim marmurze. Nie był to wcale jeden z tych zwykłych, rzemieślniczo wykonanych posążków czy popiersi bóstwa, co starym obyczajem stały dwoma rzędami w ulicach przed każdym domem na

straży. Na pierwszy rzut oka widziało się, że to dzieło wielkiej sztuki godne stać pośród agory, lub na samym nawet Akropolu.

Po drugiej stronie wejścia rósł młody platan, który ocieniał stopnie kamienne wiodące do drzwi wchodowych, a najdalsze gałęzie wyciągał aż ponad głowę Hermesa. Przedwieczorny wiatrek szeptał i szumiał w liściach pięknego drzewa, chłodząc powietrze po gorącym dniu jesiennym.

Było to bowiem w samych początkach Boedromionu, czyli w połowie września; słońce w promiennym wieńcu chyliło się zwolna ku dalekiej, łyskliwej zatoce Faleronu i powodzią złotej światłości oblewało królujący nad miastem całem Akropol. Na hardym jego szczycie jaśniały różano kolumnady marmurowych świątyń, podobne przejrzystej koronie, zarysowanej ostro w szafirowych głębokościach nieba; wyżej, ponad świątyniami jarzył się niby żywym płomieniem, grot oszczepu i czub hełmu na skroniach olbrzymiej, spiżowej Atheny Promachos.

Główna ulica Keramejku, wiodąca ku agorze roiła się ludźmi, wrzała gwarem i życiem. Od marmurowej studni położonej tuż u Dypylońskiej bramy, ciągnęły gromadkami dziewczęta niosące na głowach lub na ramionach wysmukłe amfory i krągłe hydrie. Śmiały się i szczebiotały między sobą, niektóre półgłosem nuciły piosenkę, a wszystkie stąpały prosto, równym, rytmicznym chodem, jedną ręką wysoko podniesioną podtrzymując ucho naczynia, drugą — fałdy chitonu. Poganiacze pędzili przed sobą z podmiejskich ogrodów i sadów osiołki obładowane koszami jarzyn, świeżych fig i winogradu; piekarczyki od domu do domu roznosili w kobiałkach ciepłe jeszcze pieczywo do wieczerzy, która stanowiła główny dnia posiłek. Czarnookie, umorusane dzieciaki o długich włosach związanych w jeden pęk na samym czubku głowy, uganiały środkiem ulicy z hałasem i klaskaniem w dłonie. Na progach domostw stare kobiety łuskały groch do przetaków, albo czesały wełnę i wzajem rozpowiadały sobie plotki, znacząco chwiejąc głowami zwiędłemi. Warsztaty przeróżnych rękodzieł, otwarte wprost na ulicę niemało przyczyniały zgiełku i ciżby, rzemieślnicy bowiem, zwabieni przedwieczornym chłodem powynosili się z robotą przed dom na chodniki. Tu kotlarz ogłuszającą czynił wrzawę, wyklepując młotkiem naczynie miedziane; tam piła warczała i stękała głucho w żylastych garściach stolarza; ówdzie płatnerz na kamiennym brusie ostrzył miecz z przeraźliwym zgrzytem i świstem.

Ale dotąd jeszcze najwięcej tu było zdunów, od których przecie z dawien dawna cała ta dzielnica brała swoje miano. Ci stanąwszy w progu swych pracowni przy trójnożnym stoliku, stopą w obrót wpra-

wiali kółko garncarskie, lub rozsiadłszy się poprostu na ziemi u drzwi, pomiędzy kolanami dzierżyli naczynia już wysuszone i z niezwruszonym spokojem wyciągali na nich pędzelkiem esownice, meandry i palmety. Ludowe garkuchnie, ciemne i okopcone, buchały ogniem, parą i swędem przyskwierzonej oliwy. Ślepy żebrak, oparty o ścianę, dmuchał co tchu w podwójną fletnię, wędrowni przekupnie ryb i krabów morskich na całe gardło obwoływali swój towar, a przed kramami toczyły się krzykliwe targi i zawzięte swary.

Poprzez ciżbę przebijali się w milczeniu trzej mężowie, którzy przed Dypylonem skręcili w boczną ulicę i szybkim krokiem zdążali ku zacisznemu onemu domostwu z platanem i pięknym Hermesem u wnijścia.

Najstarszy z nich, acz blisko czterdziestoletni, młode i zwinne miał ruchy, a chód swobodny i lekki. W jego postawie coś było wojowniczego i pańskiego zarazem, choć odzież nosił uderzająco skromną i grubą i stopy miał bose, najprostszymi nawet nie podwiązane sandały. Twarz jego śniada i sucha o rysach pięknych, ale surowych, miała wyraz ostry i zawzięty, któremu dziwnie przeciwiły się oczy, smutne wprawdzie, ale łagodne, chwilami rzewne prawie.

Nie bez wysiłku dotrzymywał mu kroku człowiek osobliwie niezdarnej i ociężałej postaci. Wysoki, grubokościsty i źle zbudowany, stąpał szeroko na boki, w kwadratowe ramiona wtuliwszy ogromną głowę. Kształty miał kanciaste jak od siekiery, poruszenia drewniane. Rzadka, w nieładzie rozwichrzona broda okalała mu twarz, z której trudno się było domyślić wieku, bo ni młoda nie była, ni stara, tylko zmęczona jakaś i zadumana; dopiero bliżej mu się przypatrzywszy, widziało się, że młodszy musi być od towarzysza o lat prawie dziesiątek; ale młodość to była bez polotu i świeżości. Mądre, niezwykłe oblicze — jak cała postać — pozbawione było zgoła wdzięku. Z pod czoła nazbyt wypukłego ponuro patrzyły na świat oczy osadzone głęboko, mgliste oczy krótkowidza o spojrzeniu tępem i nieruchomem. Wargi wąskie miał i zaciśnięte jakgdyby słowo rzadko i z trudem tylko mogło się przez nie przecisnąć. Kąty ust ku dołowi zgryźliwie ściągnięte znamionowały wolę twardą aż do uporu i oschłość graniczącą z opryskliwością.

Trzeci młodzieniaszkiem był niespełna dwudziestoletnim, a wydawał się jeszcze młodszy, skutkiem niskiego wzrostu i drobnej, misternej budowy ciała. Szczupły, na cienkich nogach i pozornie nader wątły, miał w sobie ruchliwość i krzepkość niewyczerpaną. Gdy tamci robili krok, on drepcącym krótkim chodem czynił dwa, lecz nie dawał się wyprzedzić. Rzadkie włosy nosił starannie na dół zczesane i równo

przycięte nad szerokiem i myślącem czołem. Oblicze miał chude, bladawe, o rysach kształtnych i drobnych, ale dobitnie zakreślonych; oczy małe, żywe, bystre, błyszczały przenikliwie i badawczo, świadcząc o ścisłym i chwytnym umyśle. Dolna warga nieco wystająca, nadawała ustom wyraz energiczny i wzgardliwy. Najszczególniejszą jednak cechą tej wybitnej głowy młodzieńczej była subtelna, trochę drwiąca ironia uwydatniona zwłaszcza w oprawie oka i w zakroju nosa. Ubrany schludnie i starannie, a nawet z niejaką wytwornością, na palcach miał kilka pierścieni, a na nogach piękne sandały z purpurowemi rzemyki.

— Rad jestem, że przy sposobności zwiedzę jego pracownię — odezwał się do starszych obu towarzyszy, przyczem głoski *r* niedomawiał trochę. — Poznałem go przed dwoma laty, niebawem po przybyciu mojem do Athen.

— Było mi tylko powiedzieć — odrzekł najstarszy, ów mąż o rycerskiej postawie — mogłem cię doń każdej chwili wprowadzić.

— Wszak i dzisiaj mój wstęp do niego — rzekł młodzieńczyk — tobie tylko zawdzięczać będę, Fokionie.

Tymczasem ów niezdarny, wielkogłowy kroczył obok nich w milczeniu, jakgdyby myślami o sto mil był od ich rozmowy. Stanęli przed domem, Fokion do drzwi zapukał. Otwarły się zaraz i stanął w nich pachołek odźwierny z pięknym psem, który warczeć począł z cicha.

— Bremon, piesku głupi, nie poznałeś mnie? — mówił Fokion, głaszcząc psa, co zawstydzony jął go lizać po ręku.

Fokion zwrócił się do niewolnika:

— Jest pan w domu?

— Rzeźbi...

— Mam do niego pilną sprawę.

— Nie można.

— Więc proś go tutaj do mnie na dwa słowa...

— Gdy rzeźbi, nie można, za nic na świecie nie można. Ty sam wiesz o tem, Fokionie, że słuchać muszę zakazu.

— Dobry z ciebie chłopiec, Karionie — rzekł Fokion. — Niechaj rzeźbi, zaczekamy.

Na drugim końcu sieni, drzwi prowadzące do wewnętrznego podwórza zwanego aule, zawieszone były oponą wzorzystą, z po za której dolatywały istotnie uderzenia stalowego dłuta o marmur.

Karion ruchem głowy wskazał w tamtą stronę.

— Rzeźbi, od samego rana rzeźbi, słyszysz go Fokionie? Wstąp

z obu przyjaciółmi swymi do andronitis, tam poczekacie, a skoro kuć przestanie, zawiodę was do niego.

To mówiąc do wnętrza ich zapraszał, ale oni zaczekać woleli raczej przed domem, na ławie w platanowym cieniu.

Karion zaś przywarłszy za nimi drzwi od ulicy, bosą nogą przemknął się przez sień, podkradł się na palcach ku wzorzystej zasłonie, uchylił jej nieznacznie i patrzał ostrożnie do auli.

Było to przestrone kwadratowe podwórze, wyłożone kamyczkową mozajką i z trzech stron otoczone kolumnadą jońską. Na owo podcienie wychodziły drzwi przyległych komnat mieszkalnych, które w ten sposób otrzymywały światło z auli.

Dokoła ścian pod kolumnadą stały rzędem posągi jedne piękniejsze niż drugie: tu młody, rozmarzony satyr niedbale w biodrach przegięty spoczywał, sparłszy się łokciem o pień drzewa; tam kędzierzawą główkę wdzięcznie chyląc, młodziuchny, skrzydlaty Eros pozierał z uśmieszkiem napół figlarnym a napół rzewnym; ówdzie na jaszczurkę pełznącą po drzewie cicho czatował wysmukły, nagi bóg o kształtach niemal dziewczęcych; dalej Pan, jeszcze chłopięcy niedolatek, stał oparty na pniaku leśnym, nogę za nogę swobodnie założywszy, a przy ustach trzymał oburącz fletnię, jakgdyby nasłuchiwał jej ginących dźwięków, które gdzieś w dal echo roznosi. Mnóstwo dzieł ulepionych było z wosku lub gliny: snać marmury wykończone ręką mistrza w świat już poszły, a w pracowni zostały po nich tylko pierwowzory gliniane. Wśród nich powtarzał się po wielekroć w przeróżnych odmianach ten sam ciągle Hermes, piastujący Dionysosa dziecinę.

Ale na wszystkie te cuda nie spojrzał nawet Karion, ukryty w sieni za oponą. Młody niewolnik oczy zachwytu pełne utkwił w pośrodku podwórza, gdzie na drewnianem podwyższeniu, skąpana w złotym blasku słońca, stała żywa cudna postać niewieścia, promieniejąca majestatem olimpijskiej nagości. Nieśmiertelne boginie mogły jej zazdrościć mlecznobiałej twarzy, niepokalanie pięknej, zakreślonej przeczystym zarysem. Sploty włosów ognisto-złotych, spuszone lekko nad czołem, zwijały się w jeden luźny węzeł na tyle drobnej głowy, co wstydliwie pochylona — niby kwiat jakiś rajski z łodygi — wyrastała z giętkiej szyi. Królewskie dostojeństwo ramion zatoczonych łagodnym konturem; rozkoszna krągłość piersi, co dziewiczo młode wypukliły się podobne bliźniaczym dwu czaszom z alabastru; łabędzia linia, co lubieżnie pieściła gibkie biodra, pieszczotliwie ślizgała się po udach jędrnych i gładkich i na dół spływała rytmicznie ku stopom godnym pocałunku bogów; płci jaśminowa białość, od której biło ciepło krwi

młodej — wszystko w tej postaci niewieściej, od stóp do głów było wiośnianym rozkwitem i piękności niebiańskiem objawieniem i miłości upajającym, nieprzepartym czarem. Zdawała się być nie ludzką istotą, lecz jednym przedziwnym kwiatem, gdzieś w krainie baśni wyrosłym i rozchylającym się wstydliwie a tajemniczo ku słońcu; zdawała się być w kształty dziewczęce zaklętą, przesłodką melodyą miłosną, którą wszechżywioł śpiewa od początku świata; i zdawała się z błękitów eteru, z gwiazd migotania, z pian morza srebrnogrzywych zrodzoną — ambrozyjską Afroditą.

Obok niej stała druga taka sama, jeno w paryjskim śnieżnym wykuta marmurze. Tak samo, jak tamta żywa, niby przed wstąpieniem do kąpieli, szatę co dopiero zdjętą, ruchem jednej ręki składała na hydryi tuż obok stojącej, a drugą dłonią srom swój dziewiczy zasłaniała wstydliwie... I były obie jak pieśni dźwięk i pieśni echo, były jak wstająca na niebo jutrzenka i odbicie jutrzenki na kryształowej fali.

Przed marmurową na przystawionych schodkach stał rzeźbiarz i kuł gorączkowo raz po raz na rękojeść dłuta spuszczając młot podniesiony, aż odpryski marmuru naokół latały w powietrzu. Chwilami przystawał, patrzył na tamtą, na żywą — i stal znowu szczękała po marmurze. W każdem dotknięciu dłuta, w każdem uderzeniu młota było znać arcymistrza.

Więc Afrodite kamienna pod ręką jego coraz nabierała życia: jej oczy pozierały nań coraz miłośniej, usta rozchylały się jak do pocałunku, lada chwila pierś jej poruszy się oddechem, pod marmurem serce uderzy ku niemu, śnieżne ramiona uściskiem ogarną mu szyję.

On kuł. — Marmurowy pył obielił mu ciemne, bujne skręty włosów i kędzierzawej brody, z czoła znój kroplami spływał po licach przybladłych od zmęczenia, z pod pysznych brwi łyskały mu czarne oczy rozpromienione wysiłkiem twórczej woli. Piękny był tą męską pięknością dorodną i dojrzałą, piękny rozmachem sił i ducha natężeniem, piękny geniuszu promieniem, który mu jaśniał z oblicza.

Więc Afrodite, ta żywa — choć nieruchomo stała jak w marmur obrócona, dech w sobie tłumiąc i serca bicie — jednak odeń oderwać nie mogła zakochanych oczu głębokich jak morskie otchłanie, świecących wilgotnym, zielonawym blaskiem jako noc miesięczna.

On kuł... I dłuta ni młota z ręku niepuszczając, jednym krokiem zeskoczył ze schodków, odstąpił wstecz i spoglądał to na jednę, to na drugą boginię. One obie, do niedawna jeszcze jaśniejące białością, przed chwilą stały się złote, a ninie ze złotych jęły się czynić różane od ogniów zachodu.

Żywa drgnęła. Cudne członki mdlały jej ze znużenia, słaniała się, więdła...

— Nie mogę, siły już nie mam... — odezwała się głucho.

— Stań, na chwilę stań, Fryne moja, białoramienna, boska! Stań tylko na mgnienie oka. Dzisiaj skończę; chcę, muszę skończyć...

Lecz ona ledwie trzymała się na nogach.

— Stańże, błagam cię, Fryne. Jeszcze parę dotknięć dłutem i będzie koniec: tu nad piersią i tu, gdzie biodro łączy się z bokiem. Za jednę chwilę dam ci życia mojego połowę!...

Uśmiechnęła się tryumfalnie.

— Życie twoje mam całe, Praxitelesie!

— Więc dam ci, czegokolwiek zażądasz...

Stał przed nią z narzędziami w garściach, bezlitośny w niezłomnym uporze, rozpłomieniony wolą i zapałem. Ostatnie siły zebrawszy — stanęła. Dłuto po marmurze latać mu poczęło w ręku, jak opętane, młot podnosił się i spadał, tłukł się i stukał, jakby swoją własną mocą poruszany.

Trwało to chwilę. Wtem rzeźbiarz cofnął się o kilka kroków, odrzucił narzędzia i półgłosem rzekł jakby sam do siebie:

— Gotowe...

Potem ręce na piersiach założył i badawczym wzrokiem objął posąg od góry do dołu; nieomylne jego spojrzenie przebiegało z jednego szczegółu na drugi, wnikało we wszystkie drobiazgi. Zbliżał się, oddalał, odstępował na bok, oglądał dzieło z każdej strony. Czoło zmarszczone przed chwilą, wypogadzało się zwolna. Usiadł i patrzył spokojnie.

Fryne tymczasem, chiton powłóczysty zarzuciwszy na siebie, podpasała go sobie raz pod piersiami, drugi raz powyżej bioder, ślicznym ruchem nogę na nogę założyła i sandałki pozłociste do białych stóp jęła sobie przywiązywać. Zaczem do siedzącego podeszła cicho z tyłu, dłoń położyła na jego ramieniu i pochyliwszy się nad nim, swywolnie zdmuchiwała mu z włosów marmurowe pyły.

Podniósł ku niej twarz uśmiechniętą i oczy pełne wdzięczności.

— Wiesz, Fryne, co ci przyrzekłem. Teraz odemnie żądaj wszystkiego...

Podniósł się na ławie i tak odwrócony ku niej, pół siedząc, pół klęcząc ramionami ogarnął ją w pasie, ona zaś głowę jego w obie swoje ręce wziąwszy, swoją twarz mu zbliżyła do twarzy i tak oko w oko patrząca, pytała z figlarnym uśmiechem:

— Niczego mi nie odmówisz?

— Niczego!

— Więc daj mi, Praxitelesie, najpiękniejsze swoje dzieło.

— Dam ci każde, które zechcesz mieć.

— Chcę mieć najpiękniejsze!

— Sama wybierz.

— Nie, ja muszę mieć to, które ty sam za najpiękniejsze uznajesz.

— Jakto? — z głośnym śmiechem zawołał, zrywając się z ławy — jakto, Fryne, od lat całych moja kochanka, przyjaciółka poetów, malarzy, filozofów i mowców, nie umie z dzieł moich wybrać najpiękniejszego?

— Możebym i umiała, lecz chcę, iżbyś ty wybrał za mnie.

— Na dwanaścioro wielkich bóstw Olympu, tego — jakom żyw — nie uczynię. Wybieraj sama. Dowiem się co też tobie najwięcej może się podobać.

— Uparty jesteś, jak odpalony kochanek, co się z pod drzwi odegnać nie daje!

— Być może, ale tego się nie doczekasz, ty serce moje złote, bym ja wybierać miał za ciebie.

— Dobrze, ja sama wybiorę, ale wprzódy powiesz mi do ucha, z której rzeźby swojej najbardziej rad jesteś.

— Nie powiem ci, śliczna Fryne, tego ci nigdy nie powiem!

Przekomarzał się z nią jak z dzieckiem, ona zaś, podrażniona uporem i śmiała się z jego żartów i równocześnie łzy jej świeciły w oczach. Taki śmiech ze łzami w parze nierzadko się jej zdarzał i był jednem z tych uroczych jej czarodziejstw, co Atheny, co Helladę całą pod jej zaklęciem trzymały. Bezwiedne to u niej było i nieświadome jak u róży, co się do słońca uśmiecha, uperlona rosą. Śród rozkochanych wielbicieli urosło jej stąd owo pieszczotliwe nazwanie: „Fryne, Łzawa Śmieszka“.

Zasłona między podwórzem a sienią rozsunęła się i wszedł Karion.

— Pod platanem Fokion już oddawna czeka z dwoma innymi; do andronitis wejść nie chcieli. Każesz ich teraz wpuścić, Praxitelesie?

Nim skończył, rzeźbiarz wybiegł już naprzeciw gościom. Fryne, wyjąwszy z zanadrza ręczne zwierciadełko z polerowanego srebra, przejrzała się i włosy poprawiła pospiesznie, bo w sieni słychać już było kroki i głosy wchodzących. W ostatniej chwili usunęła się w głąb auli pod kolumnadę i siadła nieopodal ołtarza, który w każdym domu poświęcony był Zeusowi Herkejosowi.

— Co wy mówicie? Plato powraca z Syrakuz! — wołał uradowany Praxiteles, wprowadzając przybyłych.

— Dziś wieczór będzie w Athenach — rzekł Fokion.

— Dziś wieczór? Skądże macie tę dobrą nowinę?

— Od Speusippa przybiegł z nią do mnie Aristoteles — odpowiedział Fokion, wskazując na wątłego młodzieniaszka, który nieznacznie, ale ciekawie rozglądał się po rzeźbach i malowidłach, zdobiących ściany.

— A powiadaj-że prędzej wszystko co wiesz, Aristotelu — naglił go Praxiteles.

— Rzeźby twoje chciałem obejrzeć póki jasno jeszcze — ozwał się tamten — a ty opowiadać mi każesz, co równie dobrze powiedziałby ci Xenokrates, toć on też był dziś u Speusippa w ogrodzie Akadema...

To mówiąc, małe, ironiczne oczka drwiąco podniósł na niemownego wielkoluda, który trzymał się nieco w tyle, sztywny, jak posąg egipski. Spojrzał kwaśno na Aristotelesa.

— Ty piękniej powiesz odemnie i dłużej — odciął mu się z niewzruszonym spokojem.

— Ale jasno powiem, a ty mi potem za to, Praxitelesie, dozwolisz posągi swoje obejrzeć. Po południu tedy przybiegł do Speusippa niewolnik przez Platona przodem wysłany, który doniósł — tu jął wyliczać na palcach — po pierwsze, że pan jego ze Syrakuz od Dionysiosa powraca; powtóre, że w Koryncie zatrzymał się po drodze przez tydzień u przyjaciela; po trzecie, że z Koryntu wyruszył do Athen przed trzema dniami; po czwarte, że dzisiejszą noc w Eleusis nocował; po piąte, że dziś gwoli skwaru dopiero późnym wieczorem do Athen przybędzie; po szóste, że w domu Platonowym, Speusippos, jako na dobrego siostrzana przystało, zgotować ma wszystko na przyjęcie wuja. Speusippos przeto z Akademii rozesłał nas po mieście, do przyjaciół i uczniów Platona z tą nowiną, sam zasie po zachodzie wybiera się z pochodniami wyjść nieco Drogą Świętą naprzeciwko mistrza.

— Ja też idę — mówił skwapliwie rzeźbiarz.

— Okrom nas, mają też pójść Hyperejdes, Demosthen i wielu innych uczniów — dorzucił Fokion.

— Nim słońce zajdzie, uwiniemy się raźno z wieczerzą; zostańcie u mnie — rzekł Praxiteles — do Dypylonu stąd mamy dwa kroki. I nieczekając na odpowiedź gości, niewolnika przywoławszy, pocichu wydawał mu zarządzenia potrzebne do ich przyjęcia.

Oni tymczasem przypatrywali się rzeźbom rozstawionym dokoła i malowidłom, któremi Nikias Nikomedów syn, w onej porze najsła-

wniejszy malarz zwierząt, przyozdobił niedawno ściany w domu przyjaciela. Były to mityczne sceny łowieckie, przedstawiające myśliwskie dzieła Artemidy, Heraklesa, Theseja, Meleagra i wielu innych bogów i bohaterów. Aristoteles, jako że po raz pierwszy był w domu Praxitelowym, nie mógł się dość napatrzyć owym tworom wybornego pędzla i wyborniejszego może jeszcze dłuta. Jego, jak i tamtych dwu, szczególniejszym zachwytem napełniała jednak Afrodite skończona co dopiero. Stali przed nią w podziwie, gdy podszedł ku nim Praxiteles.

— Dziś ją wykończyłem. Niech tylko jeszcze Nikias mój woskiem ciału jej nagiemu nada ciepły, lśniący połysk, niech ubarwi jej włosy, oczu źrenice i usta, niech złotem pociągnie naramiennik, a błękitem szatę! Zawżdyć ja powtarzam, że jemu prace moje połowę swej piękności zawdzięczają.

Zamilkł, a po chwili dodał z uśmiechem:

— Mam ci ja tu w pracowni mojej arcydzieło, które i bez pomocy Nikiasa najdoskonalszą jaśnieje pięknością i które nad wszystkie rzeźby moje sobie cenię. Patrzcie!...

I ukazał ręką.

— Fryne! — zawołał Fokion, spostrzegając ją dopiero teraz.

— Łzawa Śmieszka tutaj! — rzekł Aristoteles.

Więc przystąpiwszy ku niej, witali ją przyjaźnie, ona zasie, podając im rękę, śmiała się rozkosznie jasnym, szklanym śmiechem.

Xenokrates, nierozchmurzony niczem, głową jeno skinął jej w milczeniu i trzymał się ciągle na boku. Skoczyła doń swawolnie i pociągnęła go za róg himationu spadający z ramienia.

— Tak-li to witasz mnie, ty bityński Polyfemie?

O Kyklopie, tyś ze mną obszedł się niegrzecznie!

Lecz on cofnął się i z rąk jej szorstko wyrwał himation.

— Pragniesz, Kirke,

ażebym bezbronny w pieszczotach
Zbył dzielności, zapomniał o rycerskich cnotach?!

odburknął jej także wierszami z Odyssei.

— Patrzcie — zaśmiała się — ten Skita lęka się o swoją dziką cnotę, by draśnięta strzałką Erosa, nie pękła, jak pęcherz wiatrem napełniony!

Praxiteles i Aristoteles, rozbawieni tą szermierką na słowa, śmiali się w głos. Ale Fokion, sam bardzo surowych obyczajów, nie rad

był, że śliczna Fryne za cel żartów obrała sobie Xenokrata, którego mimo dziwactw i opryskliwości głęboko szanował dla iście wyjątkowej cnoty i wiedzy. Czemprędzej tedy odwrócił rozmowę.

— Nie sztuka — rzekł do Fryny — strzałami Erosa grozić, gdy się jest wizerunkiem żywym jego boskiej matki!

— Powiedz raczej przeciwnie — zauważył Aristoteles, upierścienioną ręką wskazując posąg Afrodity — że tu Kypryda jest żywym wizerunkiem naszej Fryne!

— Upiększył mnie mój kochanek; ale prawda, że i tak jestem podobna? — zapytała Fryne z nietajonem zadowoleniem patrząc na marmurową boginię.

— O, cudna Fryne — westchnął ironicznie Aristoteles — niechajże mi olympijscy niebianie co rychlej dadzą dożyć dnia, w którym słowa twoje mógłbym stwierdzić w całej rozciągłości!

— Bodaj się tylko na wyspie Kos nie dowiedzieli, że w Athenach żyje pierwowzór tego posągu, bo inaczej będziemy wnet mieli całe miasto zapełnione przyjezdnymi Koejczykami! — żartował Praxiteles.

— Zali dla nich rzeźbiłeś Afroditę? — zapytał Fokion.

— Zamówili u mnie przed pół rokiem posąg bogini w szaty ubranej; macie ją tam pod ścianą, ale podczas roboty przyszedł mi do głowy pomysł Afrodity nagiej, wstępującej właśnie do kąpieli. Spieszyć musiałem, bo w tych dniach, z początkiem Boedromionu, przyjechać mają po odbiór posągu. Jeśli koejski zmysł piękności wart jest koejskiego wina i koejskich tkanin, to bez namysłu wezmą tę nagą.

Mrok zapadał. W przyległem andronitis już światła zabłysły i niewolnicy krzątali się, przysposabiając wieczerzę.

— Wartoby — odezwał się Fokion — uczcić powrót naszego Platona, urządzając dlań tymi dniami biesiadę.

— Przednia myśl — zawołała Fryne — proście go do mnie na jutro wieczór, a ty Praxitelesie zaproś kogo sam uznasz. Oczywiście was będę czekała przedewszystkiem, ciebie Fokionie, ciebie Aristotelesie i ciebie... gdzież podział się Xenokrates?

Napróżno szukali go wszędzie, zniknął jak duch.

— Był tu jeszcze, gdy Fryne jęła mówić o jutrzejszej biesiedzie — rzekł Fokion.

— Uciekł przed jej zaproszeniem — zaśmiał się Aristoteles — a wiecie dlaczego? Przypomnieli mu się towarzysze Odyssa, co

...gdy zjedli, wypili, Kirke ich dotyka
Różdżką...

Fryne podrażniona była tą przygodą. Po raz pierwszy chyba w życiu spotykało ją coś podobnego. Śmiechem pokrywała niezadowolenie, ale na rzęsach długich znowu miała rosę.

— Wasza Kirke musi mieć jutro za swoim stołem onego Eurylocha z Kalchedonu! — wołała, nadrabiając żartem. — Pamiętajcie, żebyście mi go sprowadzili koniecznie!

— Nie zechce — odrzekł Fokion — to zacięta sztuka!

— Czyń, co chcesz, Praxitelesie, ale mi go dostaw choćby w pętach!

— Miły biesiadnik! co tobie po takim zrzędzie, gdybym go nawet zdołał przenamówić?

— Co mi po nim? Zobaczycie!

— Otruć go chcesz? — drwił Aristoteles. — Bo cóż możesz mu zrobić?

— Powiem wam, ale dajcie mi rękę, że go nie uprzedzi żaden o moich zamysłach... Głowę jutro mu zawrócę! Oszaleje z miłości!...

Wybuch śmiechu był jedyną ich odpowiedzią. Nawet Fokion, posępny zwykle, nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Xenokrates i miłość! — krzyknął Praxiteles. — Nie, Fryne, nie, tego ty nawet nie dokażesz.

— Zobaczymy — rzekła dumnie rzucając głową — chyba, że ludzkiej krwi nie ma w żyłach!

II.

Gwiazdy mrugały złotemi oczyma z ciemnego nieba, rosę wieczorną spuszczając na pola, winnice i oliwne gaje. Drogą Świętą, co z Athen prowadzi do Eleusis, posuwała się w pomroku szafirowej nocy gromadka ludzi przy pochodniach. W jarzącym blasku co kilkanaście kroków z ciemności wynurzały się białe stele grobowe i namogilne posągi, rozstawione z obu stron drogi. Te blade, nieme postaci zjawiały się niespodzianie jak duchy, w migotliwej, czerwonej łunie zdawały się drgać życiem przez chwilę i zapadały w cień.

Oni szli raźno. Minęli odwieczne drzewo figowe, które ongi z wdzięczności za przyjęcie u gościnnego Fytalosa posadzić miała Demeter, żałośnie córki szukająca po świecie; za nimi zostało w tyle Kefisu kamieniste łożysko, w tej porze roku do cna wyschnięte. Przed nimi droga wznosiła się nieznacznie, ale ciągle ku wzgórzom Ajgaleosu, które ciemnem pasmem rysowały się na zachodniem, jeszcze nieco zielonawem niebie.

— Jużbyśmy go powinni byli spotkać — mówił do Aristotelesa idący z nim na przodzie Speusippos, Eurymedona syn i Potony, Platonowej siostry. — Czy widzisz — dodał, wskazując po za siebie chudą, nerwową ręką — już oto miesiąca rumiany krąg wychyla się z pod ziemi pomiędzy Akropolem a pagórem Lykabettu; późno już, a jego jak niema, tak nie ma!

Aristoteles bystre spojrzenie utkwił nie w tarczy wschodzącego księżyca, jeno w chorowitej, czarnobrodej twarzy Speusippa; znał jego naturę wrażliwą i namiętną, więc przy świetle pochodni w oczach jego zatroskanych wyczytał niecierpliwość, a może nawet obawę.

— Niepokoisz się o niego? — zapytał. — Wszak na drodze z Eleusis nic mu się przygodzić nie mogło. Gwoli skwaru późno wyszedł, a leciwy jest, więc pomału idzie. Serce ludzkie w oczekiwaniu zwykle tak obawy snuje z siebie płonne: to cena za którą bogowie przedają nam nadzieję.

Niektórzy z gromady Platonowych uczniów, upojeni cichością wieczoru, jęli w tej chwili zgodnymi głosy nucić piosenkę Bakchilidesa:

Błogo, komu bóg pozwoli
Czarem piękna złocić życie,
Wiek przepędzić w szczęsnej doli
I w dostatnim dobrym bycie.
O, bo żaden człowiek żywy
Nie jest ze wszechmiar szczęśliwy.

Szczytem szczęścia—nie być wcale;
Nie patrzeć na jasność słońca;
Bo z śmiertelnych, czyż kto stale
Był szczęśliwy aż do końca?...

Pełny, głęboki śpiew płynął z męskich piersi niby spiżowy dźwięk i rozlegał się w dali po rosie, ale nie przerwał rozmowy dwuch mężów, co szli razem z Fokionem, żywo rozprawiając. Osobliwie jeden z nich, szczupły, dwudziestoletni młodzieniec mówił z gorącem przejęciem, choć od czasu do czasu zacinał się nawet w pół słowa. Twarz jego ściągła, regularna, otoczona młodzieńczym kędzierzawym zarostem, przybierała wtedy jakiś uporczywy, niemal bolesny wyraz, ogniste, mądre oczy mętniały i mrużyły się od wysiłku, a wargi ściskały się kurczowo. Lecz on w mgnieniu oka wszystko to przemagał i znowu płynął mu z ust potok wymowy, jak lawa płomiennej. W największym jednak zapale nie tracił panowania nad sobą i często nieznacznym, krótkim ruchem, co widno przeszedł mu już był w przyzwycza-

jenie, poprawiał sobie gęste fałdy himationu na lewem ramieniu, by w ten sposób ukryć, iż było spleczone trochę i od prawego niższe.

— Wiem, czego mi nie dostaje — mówił — lecz we mnie wola ze stali, a nie z wosku. Dzieckiem pomnę, jak w domu rodzica mojego, płatnerza, czeladnicy hartowali zbroje, do białości je rozpalając i rzucając do zimnej wody; dusze ludzkie hartują się tak samo. Do siedmiu lat, póki żył ojciec, opływałem we wszystko; potem Afobos i Onetor, godni opiekunowie, mienie moje całe strwonili, a gdy ninie, dorósłszy, rachunków z opieki żądam, chowają się za plecy Demadesa, który majątkiem swoim, wymową, wpływem krzywdzicieli moich osłania. Mam-li się im dać bezkarnie obedrzeć? bez walki uledz? Postanowiłem tedy prawować onych zdzierców i sam z mową przed sądem wystąpić. Wiem, Hyperejdzie — zwrócił się do towarzysza, idącego z Fokionem — wiem, że tybyś jął się mej słusznej sprawy i umiałbyś mi wywalczyć sprawiedliwość. Ale mnie właśnie drażniła bezsilność moja: ten język mój zająkawy, niedomawiający połowy głosek, ta nikła moja i niekształtna postać. Sprawę mieć jasną jak słońce, pewną jak ziemia pod nogami, snuć w myśli wywody niezbite i nieodparte, na języku słowa czuć rozżarzone jak węgiel — a nie módz nic wykrztusić z siebie i tak bezradnym i bezwładnym być, jak ten kamień, co znosić musi, że go wszyscy depcą! Nie, — uwziąłem się mowcą zostać — może właśnie dla tych błędów i trudności wymowy. Tedy sobie pod język nieużyty i bełkotliwy kamyki wkładałem i godzinami ćwiczyłem się w mówieniu, z zająkliwością moją łamałem się, jak z wrogiem; dotąd jeszcze aktor Satyros uczy mnie z piersi głos wypuszczać, a wyrazy krągło i pełno wymawiać; dotąd przed zwierciadłem układam sobie postawę i ruchy, by sztuką nadrobić, czego mi nie dała natura. Wiele mam jeszcze braków i do celu mi daleko, jednak umiem chcieć i na swojem wkońcu postawię!

— I to wszystko, Demosthenie, dla jednej sądowej sprawy z opiekunami? — rzekł ów nazwany Hyperejdesem, trzydziestoletni mąż wysmukły i śniady.

— Nie dla jednej. Krzywd jest wszelakich siła na świecie, a każda potrzebuje obrońcy. Pospolita rzecz, toć również wymową stoi.

— Wymową ginie — zwięźle odparł milczący dotąd Fokion.

— A jakoż ty chcesz, by lud na zgromadzeniach rozstrzygał, jeśli mowcy nie mają publicznych spraw roztrząsać, rozbierać i wyjaśniać obywatelom? — zawołał Demosthenes.

— Ja też nie chcę, by lud rozstrzygał a mowcom politycznym ży-

czę, by im kołkiem ozory stanęły, bo dopiero wtedy będzie dobrze w Athenach.

— Po tobie, Fokionie — rzekł Hyperejdes — nie mogliśmy się nawet spodziewać innej odpowiedzi: ty prawo ludu i wolność obywateli zawsze nisko ceniłeś.

— Niżej niż obowiązki ludu wobec ojczyzny; niżej, niż wolność Athen samych.

— Nie przekonam cię Fokionie, bo ciebie nikt nigdy nie przekonał — odezwał się Demosthenes — ale nie zaprzeczysz mi chyba, że z obowiązków ludu płyną ludu prawa i że wolność obywateli podwaliną jest wolności ojczyzny.

— Ludowładztwo — rzekł Fokion z goryczą — to prawo do czczej gadaniny, to wolność popełniania błędów politycznych, ojczyźnie na szkodę.

— Daj tylko ludowi mądrych i prawych doradców — odparł Demosthenes — a zdobędą zaufanie, poklask i...

— I wyrok sądu skorupkowego!

— Słowa moje, Fokionie, ucinasz jak mieczem. Nie myśl jednak, że tymsamym zamachem zabijasz we mnie zdanie moje: niewyrobione i młode ono jeszcze, ale z czasem wyrośnie i zmężnieje, a wtedy zmierzymy się wpośród agory, nie na same słowa, lecz na rozumy i serca...

Tak tam oni dwaj przemawiali się o polityczne zasady, a Hyperejdes wtórował dzielnie Demosthenowi, co podrażniony sporem, to zacinał się najokropniej, to znów niespodzianie wybuchał wspaniałym wylewem zapalnej a mocnej swady. Fokion, zimnej krwi nie tracąc, w milczeniu słuchał i tylko zrzadka wtrącał jedno z tych swoich zwięzłych, bezlitośnie druzgocących powiedzeń, któremi tylekroć w puch rozbijał najszumniejsze mowy swych demokratycznych przeciwników. Gdy bowiem o politykę chodziło, zwykle tak ujmująco łagodny i dobrotliwy w stosunkach osobistych, odrazu stawał się nieprzebłaganym i zjadliwym pogromcą zdań cudzych.

Praxiteles tymczasem umyślnie pozostał za wszystkimi w tyle, by dzikiego Xenokrata nakłonić do przyjścia na jutrzejszą biesiadę u pięknej Fryne.

— Nie dziwacz — mówił mu — wkońcu bowiem ośmieszysz nietylko siebie, ale nawet samą cnotę.

— Głupcy śmieją się zawsze z wszystkiego!

— A jednak taki mędrzec, jak Plato, nie odmówi z pewnością, bo już nieraz dawniej chętnie bywał u pięknych kobiet. A Sokrates,

którego sam bóg delficki nazwał najmądrzejszym z ludzi, Sokrates, uosobienie cnoty, wszak dotąd starzy ludzie pamiętają, że przesiadywał rad u Theodoty hetery, gdy piękna była i młoda. Teraz ona domem Fryny zarządza na starość i czy słuchać kto chce, czy nie chce, rozpowiada każdemu dziwy o dawnych czasach i swej przyjaźni z Sokratesem.

— Ty, jak ta stara Theodota, gadasz także, czy cię kto chce, czy nie chce słuchać!

— Jak dziecko jesteś uparty, Xenokracie! Dowiodłem ci, że najmędrsi mężowie nie uważali za ujmę swej cnocie do biesiadnego stołu zasiąść u pięknej kobiety. Wyrządziłeś jej przykrość, napraw to jutro, przychodząc do niej z nami.

— W domu zostanę — mruknął ogromny niezgrabiasz. — Na jutrzejszą wieczerzę kupiłem sobie już bobu, cztery cebule i funt chleba. Przy waszej uczcie nic po mnie.

— Wszyscy powiedzą, że sobie nie ufasz i nie przyszedłeś, bo się lękasz uledz urokowi jej powabów.

— Niczego się nie boję.

— Ani tego, że Platona urazisz, nie przybywając na jego powitanie jutrzejsze?

— Dlatego wybrałem się, powitać go dzisiaj.

W tej chwili gwar zmieszanych głosów przerwał ich dalszą rozmowę; wszyscy zatrzymali się nagle, płomienie pochodni podniosły się w górę, oświecając męża, który wysunąwszy się z pomroki nocnej szedł spiesznie drogą naprzeciwko nim, zatrzymał się, puścił na ziemię kostur podróżny i wyciągnął ku nim obie ręce.

— Plato! Plato! — wołały naraz wszystkie głosy, wszyscy obstąpili go dokoła, mówili doń jedni przez drugich; zdawało się, że nigdy końca nie będzie witaniom, uściśnieniom, wykrzykom.

On stał pośród nich tak uradowany, że twarz jego zazwyczaj skupiona w zadumie poważnej, teraz jaśniała wesołym uśmiechem. Oblicze to było zgoła niezwykłe: nadmiernie szerokie, zwłaszcza w górnej części, w skroniach i kościach policzkowych, wydłużało się ku dołowi gęstym cienkim zarostem siwiejącej brody, który z boków zachodził wysoko na pełne i mięsiste lica; usta położone za blisko pod samym nosem prostym i tępym, rysunek miały dziwny, bo górna warga wąska i zbyt krótka niknęła prawie pod obwisłym wąsem, a dolna, wywinięta i gruba, wypukliła się z wyrazem niesmaku i stanowczości. Cała jednak potęga tej uderzającej głowy skupiała się na czole, promieniała z oczu. Niskie wprawdzie było to czoło, a mogło się wydawać

jeszcze niższem, bo na nie schodziły krótkie, szronem przypruszone włosy; ale dwie głębokie bruzdy, od sklepistych brwi biegnące ku górze, ale wydatne fałdy i zmarszczki, wgłębienia i załomy czyniły z tego czoła księgę, w której nieustanna praca myśli wypisała twórcze wysiłki, tytaniczne walki, nadniebne wzloty ogromnego ducha. I nigdy chyba wewnętrzny płomień jaśniej, ani żywiej nie strzelał z ludzkich źrenic, jak z oczu gorejących pod tem czołem. Łuna od nich biła na twarz całą; zdawały się opromieniać i na wskróś prześwietlać wszystko, na cokolwiek padnie ich spojrzenie mocne, skupione, do dna sięgające. Kto w nie popatrzył, jak olśniony, spuszczać musiał powieki, bo wyzierała z tych oczu nieskończoność, paliła się w nich wieczność.

I cała postać miała w sobie coś niezwykłego. Rosły, pleczysty, szeroki w piersiach, trzymał się pochyło, jakby na zgarbionych barkach dźwigał Atlasowe brzemię; pomimo to jednak ruchy miał swobodne i nad wiek podeszły krzepkie, w chodzie rzeźkość, a w podstawie siłę jakowąś i dzielność, widno za młodu w palajstrze zdobytą. Kształty ciała gimnastyką wyrobione, dziś trochę już otyłe, dobitnie rysowały się pod chitonem, do drogi krótko podpasanym w biodrach — i pod chlajną, co na ramieniu spięta, sutym rzutem fałdów spływała poniżej kolan, gdzie sięgały endromidy, czyli wysokie, podróżne obuwie, sznurowane wzdłuż goleni. Tessalski kapelusz o szerokich kresach, zwany petasos, który mu za dnia głowę chronił od skwaru, teraz wisiał za plecami na taśmie okalającej szyję.

Nie czekając aż ucichnie głośna radość uczniów i przyjaciół, zwrócił się po za siebie ku towarzyszowi podróży, co przez nikogo dotąd nie postrzeżony, skromnie na uboczu się trzymał obok niewolnika i muła jucznego.

Mąż to był niewiele młodszy od Platona, bo niemal sześćdziesięcioletni. Przy mlecznobiałej, przedwczesnej siwiźnie odbijała dziwnie twarz jego świeża jeszcze jak u młodzieńca. Piękne to było i harmonijne oblicze o rysach prawdziwie helleńskich; czoło jednak przesłaniał jakiś osobliwy smutek, w głębokich, wielkich oczach malowała się żałosna tęsknota, w łagodnych ustach był wyraz cichego cierpienia.

— Patrzcie, z kim podróżuję od Koryntu — rzekł Plato, wskazując nań uczniom. — Powitajcież oto Skopasa Aristandrowego, Paryjczyka. Zna go z was niejeden, a słyszeliście o nim wszyscy, bo małoż to rzeźb jego zdobi Atheny i Helladę całą. Z Elidy wracając, przyłączył się do mnie i drogę społem odbywamy.

Zaczęły się tedy nowe powitania, bo każdy chciał uścisnąć rękę sławnego mistrza. Najgoręcej witał go jednak Praxiteles, który z dawna był mu przyjacielem. Objęli się więc obaj za szyje po bratersku i nie mogli się sobą nacieszyć.

A Plato rzekł:

— Za podróż odbytą szczęśliwie i na spotkanie nasze miłe godzi się byśmy Hermesowi Przewójcy zlali objatę i dopili wspólnie wina, co nam z drogi zostało w amforze. Chłopcze, z muła juki zdejmij, a żywo!

Ktoś pochodnią świecił niewolnikowi, który zamiast według nakazu, rozjuczyć zwierzę, począł na grzbiecie jego rozluźniać tłómoki, szukając w nich wina i kubka.

— Nieposłuszny jesteś i leniwy — zawołał Plato — szkody mi jeszcze narobisz!

W tej chwili walcowate, blaszane puzdro na rękopismy wyśliznęło się na ziemię; przykrywa, uderzywszy o kamień, odskoczyła na drogę z puzdra zaś wysypały się zwoje papirusu drobno zapisane, spiżowy kałamarzyk i trzcinki do pisania. Muł, brzękiem puzdra spłoszony, targnął się w bok, a chłopu wymknęła się z rąk amfora i roztrzaskała się w szczerby, winem oblewając drogocenne księgi. Niewolnik skamieniał z przerażenia i stał jak wryty, nie śmiejąc oczu podnieść na pana.

Wszyscy dokoła patrzyli bez ruchu ni słowa. Platonowi twarz od gniewu pobladła; schylił się szybko, podjął z ziemi kostur i poskoczył na chłopaka. Sękaty kij nad głową nieszczęśliwego podniesiony, zawisł w powietrzu. Plato nagle odrzucił go na bok i rzekł do niewolnika spokojnie:

— Przy tobie nicponiu, człowiek może się uczyć panowania nad sobą...

I zbierać jął pisma porozrzucane w błocie, przyglądał się im do światła i skrajem szaty wycierał je starannie z wilgoci, a wszyscy pomagali mu skwapliwie. Szkoda była znaczna, bo choć na szczęście żaden rękopism nie uległ zniszczeniu, lecz kilka wymagało przepisania na nowo.

— Podziwiamy cię Platonie, — burknął chrapliwie Xenokrates — myślałem, że rozbijesz łeb temu chłystkowi!

— Skarć go ty sam, jeśli chcesz koniecznie — odrzekł mu Plato z uśmiechem — ja go nie mogłem uderzyć, bo srodze nań byłem zagniewany.

Niebawem, jak gdyby zgoła już niepomny doznanej przykrości, ruszył do Athen otoczony uczniami. Praxiteles na krok nie odstępował Skopasa.

— Na długo do nas przybywasz — spytał go żywo.

— Spocznę jeno dni kilka — odrzekł syn Aristandra. — Rzeźbiłem teraz Elejczykom Afroditę Pandemos jadącą na capie cwałem, a wnet wybieram się do Troady, Chryzyjczycy bowiem zamówili u mnie Apollona Smintheusa. Chcę go zrobić, jakim opisał go Homer, gdy stoi z naciągniętym łukiem i puszcza śmiertelne strzały. Stamtąd na przyszły rok do Halikarnassu pojadę, bo król Mausolos dawno mnie na swój dwór zaprasza.

— Po całym świecie rozsławiłeś imię swoje, Skopasie, dzieły wybornemi zdumiewając postronne ludy.

— A ty, synu Kefisodotów, acz młodszy o lat jakie dwadzieścia, czyli mniej odemnie słyniesz? Będąc w Elidzie nie opuściłem oczywiście tegorocznych igrzysk Olympijskich. Widziałem tedy jak wszystkie narody Helleńskie patrzyły z podziwem na twego Hermesa z Dionysosem na ręku. W Herajonie ścisk był przed nim ciągły; ja też więcej niż inni, podziwiałem cudną twoją pracę. Zazdroszczę ci w rzeźbach twoich onej pogody słonecznej, wdzięku i radości życia, bo moje posągi wszystkie są jakieś udręczone i bolesne, jak gdyby własny mój smutek zwarzył je mimo woli mojej. Nie umiem inaczej...

Urwał i siwą głowę zwiesił na piersi. Szli obok siebie w milczeniu, bo Praxiteles także się nie odzywał, żałość przyjaciela szanując.

A tymczasem Plato wypytywał uczniów ciekawie o wszystko, co się zdarzyło podczas jego dwuletniej w Athenach nieobecności.

— Nowego niewiele. Po dawnemu Theby ciągle rej wodzą w Bojotii, ba w Helladzie całej — mówił Fokion — a my przez naszą głupotę musimy się niby radować każdą ich przewagą. Nie dziw, gdy mają takich mężów jak Epamejnondas i Pelopidas, a my demagogów naszych i tego ryczywołu, samochwalcę Charesa, który nam tylko zraża przymierzeńców naszych i mimo to zawsze jest ulubieńcem gminu.

— A cóż inni wodzowie nasi, Chabrias, Timotheos Kononów, Kallistrat, Ifikrates? — pytał Plato.

— Chabrias w rok po twoim wyjeździe, Platonie, musiał poddać Thebanom Oropos miasto, został przeto zaskarżon i omal gardłem nie przypłacił, ale się wywinął szczęśliwie.

— Szkoda, że nie słyszałeś mowy, którą w tej sprawie Kallistratos wygłosił; pół życia dałbym, żeby tak przemawiać kiedy! — zawołał Demosthenes.

— Thimotheos — mówił dalej Fokion — w tymże czasie odbił Persom wyspę Samos, a teraz popłynął Sestos dobywać, nad Hellespontem. Ifikrat jeszcze ciągle wojuje Traków, od trzech lat nie

wracając do Athen. I dobrze czyni: u nas bowiem kto jeno choć trochę ponad gawiedź wyrasta głową, powinien przebywać na dalekich wyprawach, jak oni dwaj, nad Hellespontem i w Trakii — a w mieście jak najrzadziej się pokazywać, gdyż widok sam takiego człowieka drażni tłuszczę; albo trzeba w domu siedzieć pod pierzyną, kisnąc bezczynnie, jak teraz ja, który od morskiej bitwy pod Naxos latami czekam, kiedy krzykacze dopuścić mnie raczą do działania!

— Mój Fokionie — przerwał mu Hyperejdes — w Athenach nie prędko doczekasz się oligarchii. Patrz raczej na Epamejnondasa: pogodził się z demokracyą thebańską i ster rządów trzyma.

— Wielki to mąż, ręki potężnej i podniosłego ducha — rzekł Plato — Mówcież mi, co zdziałał przez te lata?

— Pełno ich obu wszędzie, jego i Pelopidasa — odrzekł Fokion — Bojotię całą w żelaznych ryzach trzymają, raz do Peloponnezu wpadają, drugi raz do Thessalii. Na szczęście dla nas, ostatnimi czasy obrócili się głównie na północ. Pelopidas wpływy swoje roztoczył aż do Makedonii, kędy — jeszcze przed wyjazdem twoim — Ptolomajos Alorita zamordował dziewierza swego, Aleksandra króla, syna Amyntasowego i tron przemocą zagarnął. W sprawę między Ptolomajosem a Perdikkasem, Alexandra młodszym bratem, wdał się Pelopidas i Filippa, najmłodszego z królewiców, zakładnikiem wziął do Theb. Aliści w tym roku Perdikkas Ptolomajosa wydziercę zgładził i sam na tronie zasiadł a Thebanie musieli Filippa wypuścić.

— Ja — wtrącił Demosthenes — gorzej obawiam się Makedonów onych, niźli thebańskiej potęgi: rychło wyrosła i niedługo potrwa. Lecz Makedonowie nieznacznie a zwolna porastają w pierze i kiedyś gotowi zaciężyć Helladzie całej. Zwłaszcza Filippos ma być niepospolitym chłopakiem.

— Ja coś mógłbym o tem powiedzieć — odezwał się Aristoteles, rad, że z Makedonii pochodząc, może się pochwalić znajomością tamtejszych stosunków. — U nas bowiem w Stagejrze utrzymywano powszechnie, że z trzech synów Amyntasa króla i Alexander niedawno zamordowany i Perdikkas obecnie panujący nie mają razem tyle dowcipu i rozumu co najmłodszy Filippos. Dziś on dopiero siedemnastoletni, a jednak przebiegły jest i układny, zjednać umie sobie wszystkich, gdzie nie przeskoczy, tam podlezie i co żywnie zechce, przeprowadzi.

— Ale z męstwem Epamejnondasa i Pelopidy nie poradzi — rzekł Hyperejdes. Najgroźniejszy na całej północy jest pono thessalski tyran Aleksander z Fere. Chyba, że go właśni poddani sprzątną. Na ziemi już nic dlań świętego niema. Zaraz po twoim wyjeździe, Platonie — wbrew prawom boskim i ludzkim pojmał chytrze Pelopidasa i kto wie

coby z nim uczynił, lecz Epamejnondas na pomoc przyjacielowi pobieżał i tyrana zmusił, iż nawet bez okupu wydał Pelopidę.

— Ale teraz ty nam powiadaj, Platonie, co się z tobą działo i czemu tak nagle wyjechałeś z Syrakuz? — odezwał się Fokion. — Dochodziły nas wieści, że ci wstręty i przykrości wyrządzał Dionysios.

— Znałem ci ja go pacholęciem — począł mędrzec — gdym na dworze rodzica jego przebywał przed laty dwudziestu kilku. Zdawało mi się wówczas, iż chłopiec nie jest bez dobrych skłonności. Dion Hipparinów, Syrakuzańczyk, dawny mój uczeń i przyjaciel, także wiele się po nim spodziewał. Gdy przeto po zgonie Dionysiosa Starszego rządy w Sycylii objął, dałem się do przyjazdu nakłonić Dionowi, który mi pisał, że walkę toczy przeciw zausznikom i pochlebcom, aby z pod ich wpływu młodego władcę wyrwać i wprowadzić na drogę cnoty i mądrości. Więc do Syrakuz jechałem w nadziei, że zamiary Dionowe zdołam poprzeć i ostatecznie szalę ku dobrej stronie przeważę. Ale wnet przejrzałem, z jakim charakterem będę miał do czynienia: syn wziął puścizną po rodzicu wszystkie wady, podejrzliwość, gwałtowność, okrucieństwo, a nie odziedziczył żadnych zalet ojcowskich. Bo stary Dionysios miał w sobie niejaką wielkość: umiał być potężny w bluźnierczem zuchwalstwie; gdy mu na wojnę z Karthaginą brakło pieniędzy w skarbie, kazał z posągu Zeusa płaszcz złoty zedrzeć mówiąc: — „Wełniany będzie latem chłodniejszy, a cieplejszy zimą!“ — Z bogów i z ludzi szydził w żywe oczy... i z siebie samego czasami. Wszyscy pamiętają dotąd, jak nad pochlebcą Damoklesem zawiesić kazał miecz goły na końskiem włósiu, czem dowiódł, że wie, jak nędzne i niepewne jest życie znienawidzonego tyrana. Nieugięta była w nim wola i serce nieustraszone; z Karthagińczykami jak lew do upadłego walczył. W gniewie granic ani miary nie znał: wszak mnie, gościa swego, w niewolę zaprzedał, z której ledwie mnie Dion wykupił od korsarzy. Ale takie zbrodnie, które odznaczają się wielkością i zuchwalstwem, nie bywają dziełem pospolitych ludzi, jeno szlachetniejszej duszy, spaczonej złem wychowaniem. Inaczej Dionysios Młodszy; ten w złem, a nawet i w dobrem, okazywał się na każdym kroku marną i niską naturą. Niewojenny — z Karthaginą czemprędzej pokój zawarł bez korzyści; obłudny — o cnocie i mądrości rad niby ze mną rozmawiał a po cichu brnął w najpodlejszych występkach; tchórz małoduszny — drżał tylko przed zasadzkami, wszędzie węsząc tylko zdrady i spiski, a równocześnie najgrubszym pochlebstwom chętne dawał ucho. Toteż ulubieńcem jego jest niejaki Filistos płaski dworak, schlebiający dziejopis, który w swoich *Sikeli-*

kach bezwstydnie bakę mu świeci, przesadzając się w hymnach pochwalnych. Ten w obawie, byśmy z Dionem nie wysadzili go z pańskiej łaski, póty łasił się tyranowi a potwarze na Diona wszeptywał mu w ucho, pomawiając go, iż zamachem do władzy zmierza, — póki Dionysios nie uwięził Diona. Broniłem go na próżno, kazał go wsadzić na mały statek i na wygnanie wywieść do Peloponnezu. Stało się to w cztery zaledwie miesiące po moim przyjeździe. Odtąd Heraklejdes, dowódca jazdy, Theodot, ja i wszyscy przyjaciele Diona, nieczuliśmy się już pewni ani wolności ni życia. Rozeszła się nawet po Syrakuzach pogłoska, iż mnie, jako sprawcę wszystkiego złego, zamordować kazał. Widząc mój niepokój zapewniał mnie o swej życzliwości, zaręczał, że mi włos niespadnie z głowy, przeczuwał bowiem, że o wyjeździe zamyślam. I rzeczywiście myślałem o tem, nie chcąc dłuższym pobytem i pozorną przyjaźnią z tyranem zasłaniać przed światem jego niegodziwego postępku z Dionem. On w zamku swoim ciągle mnie miał na oku, śledził krok mój każdy, odciął mnie od stosunków z ludźmi. Widząc jak bardzo mu na mnie zależy, postanowiłem odzyskać dla Diona przynajmniej majętności jego, które Dionysios wyprzedał i uzyskał z nich blizko sto talentów. Zażądałem, by je wygnańcowi odesłał do Peloponnezu; w przeciwnym razie zagroziłem, że natychmiast wyjadę. Łudził mnie obietnicami, zwlekał, w końcu przyrzekł uroczyście wszystko zwrócić Dionowi. Minęło lato, minął czas do żeglugi, tyran słowa nie dotrzymywał. Na wymówki moje odrzekł, iż tylko połowę Dionowi odeśle, a drugą zatrzyma, jako własność Dionowego nieletniego synka; lecz i tego nie mówił szczerze, gdyż potem wyrwało mu się jawne powiedzenie, iż Dionowi oddawać nic nie myśli z obawy, aby tych skarbów nie użył przeciwko niemu. Łakomstwo jego nienasycone było, jako beczka Danaid. Postanowił najemnemu wojsku żołd umniejszyć. Rozjątrzeni żołnierze podnieśli rozruch i z dzikim krzykiem jęli się wdzierać do zamku. Przerażony Dionysios musiał im uledz: dawny żołd przywrócił i poczynił im znaczne ustępstwa. Pienił się gniewem, a sprawcą żołdackiej ruchawki mienił być Heraklejda... Nad głową przyjaciela mojego wisiała śmierć. Ledwo zdołałem wymódz na tyranie obietnicę, że Heraklejdowi pozwoli bezpiecznie wyjechać do Peloponnezu. Nazajutrz Dionysiosowi siepacze po mieście całem poszukiwali Heraklejda. Z Theodotem pobiegliśmy do tyrana. Padł mu do nóg Theodotos, żebrząc dla Heraklejda litości.

— Uspokój się, Theodocie — rzekłem — Dionysios nie łamie nigdy przyrzeczeń danych.

— Ja tobie nic nie przyrzekałem! — krzyknął rozjuszony.

— Przyrzekłeś mi wczoraj, że tego nie uczynisz, o co cię proszą, byś nie czynił dzisiaj! — odrzekłem spokojnie i wyszedłem do zamkowych ogrodów.

Heraklejdes mimo poszukiwań szczęśliwie uszedł i połączył się z Dionem w Peloponnezie. Lecz tyran obrażony, iż mu śmiałem prawdę w oczy powiedzieć, usunął mnie z dotychczasowego mieszkania wśród zamkowych ogrodów pod pozorem, że niewiasty mają spełniać w ogrodach uroczyste jakieś obrządki przez dni dziesięć i kazał mi się przenieść tymczasowo niby do niejakiego Archidama. Lecz ja na zaproszenie Theodota zamieszkałem u niego. Na wiadomość o tem kazał mi powiedzieć Dionysios: — „Źle czyni Plato, że się trzyma ciągle przyjaciół i zwolenników Diona". Jakoż po dziesięciu dniach wyznaczył mi pomieszkanie w dziedzińcu koszar żołdackich, kędy przez dzień cały dolatywały mnie dzikie krzyki, trąbienie i grube przekleństwa. Ostrzegano mnie nawet, że siepacze Dionysiosowi zamyślają mnie zgładzić po cichu. Postanowiłem co prędzej wyjechać; o ucieczce nie mogło być mowy, tak bacznie byłem strzeżony. Lecz Archidamas wyjednał mi u Dionysiosa pozwolenie wyjazdu. Najbliższym statkiem zabrałem się do Peloponnezu i wkrótce na igrzyskach Olympijskich zetknąłem się z Dionem i Heraklejdem. Obaj o zemście przemyśliwają i bądźcie pewni, że prędzej czy później popamięta ich sobie obłudny tyran. Gdyby nie to, że taki władca ma pod sobą stado podłych dwunogów, dawno skończyłyby się jego rządy, które dla niego samego są największem nieszczęściem. Nie dla niego jest przyjaźń swobodna i szczera; mężów zacnych, dzielnych i mądrych — więzić, na wygnanie albo na śmierć skazywać ich musi, a łasić się i przymilać własnym sługom i niewolnikom; taki pochlebca łżawy jak ten Filistos o duszy małpiej, to jedyny tyrana godny towarzysz. Zaiste żal mi Dionysiosa.

— Tem lepiej dla nas — odezwał się Speusippos — bo zrażony tyranią Dionysiosa, już nas chyba nigdy nie opuścisz.

Zadumał się Plato i rzekł po chwili:

— Tyle mi się snuje pomysłów o państwie, jakby je urządzić i niem rządzić, takbym rad urzeczywistnić one pomysły — że sam nie wiem, czybym odmówił, gdyby mnie do ich urzeczywistnienia zawezwał ponownie taki nawet człowiek, jak Dionysios.

Tak opowiadań Platona słuchając przybliżali się do Ahten. Księżyc przez ten czas powoli wytaczał się coraz wyżej. Ogromna srebrna jego tarcza stanęła na samym szczycie Akropolu. Na jej tle zielo-

nawo-mlecznem odrzynały się czarno przejrzyste kolumnady świątyń i potężny ogrom spiżowej Atheny Promachos, co z hełmem kabłąkowatym na głowie i z długą włócznią w prawicy, z wysoka czuwała nad swojem śpiącem miastem.

III.

Mało która z ulic atheńskich mogła się równać okazałością i wykwintem z ulicą Trójnogów, która od teatru Dionysosa wiodła ku Prytanejonowi, okrążając półkolisto wschodnie stoki Akropolu. Nazwę swoją zawdzięczała niezliczonym trójnogom spiżowym, bogato wyzłacanym, które na pamiątkę zwycięstw odniesionych w teatrze, uwieńczeni choregowie poświęcali Dionysosowi. Stały tedy owe trójnogi zarówno w samym teatrze, jak i wzdłuż ulicy na kolumnach marmurowych, lub na maleńkich świątyńkach, co mieściły w swojem wnętrzu prześliczne posągi.

Najbogatsza i najprzedniejsza warstwa ludności miała tu swoje domy jedne piękniejsze od drugich. W dni pogodne popołudniu cały wielki świat atheński wylegał na ulicę Trojnogów, aby przechadzki użyć i pokazać się w najwspanialszych strojach. Tu dopiero można się było napatrzyć niewieścim obliczom, co jaśniały krasą wychuchaną jak zimowe róże; włosom woniejącym i wytrefionym w najmisterniejsze sploty; i tkaninom drogocennym, jak mgła cienkim, układanym w drobne fałdy; i sandałkom wymyślnym z purpurowej albo złoconej skóry na kształtnych białych stopach; manelom, naszyjnikom, naramiennikom, wisiorom, kolcom najcudniejszej złotniczej roboty. Młode służebnice niosły za każdą taką pięknością wachlarze z piór na długich laseczkach z kosztownego drzewa lub kości słoniowej, inne mleczną płeć pani swojej osłaniały od słońca szkarłatnym parasolem, obszytym złotemi frędzlami. Młodzi, strojni, wyfryzowani gładysze, naśladujący we wszystkiem lakońską modę, uwijali się między kobietami w kusych tribonionach, co ledwie sięgały do kolan, i w zgrabnych półbutkach naszywanych purpurą.

Przekupnie często przez tydzień w Athenach całych nie przedali tyle słodyczy, kwiatów i pachnideł, co przez jedno takie popołudnie w samej ulicy Trójnogów.

Tutaj dom swój miała też i Fryne rodem z bojockiego miasta Thespiów, córka Epiklesa. Ściany domu tego wyłożone były wewnątrz i zewnątrz płytami pentelickiego marmuru; w głębi od tyłu rozpościerał

się spory ogródek, otoczony kolumnowym krużgankiem, pełen cyprysów, platanów, palm i najrzadszych kwiatów. O Midasowych iście bogactwach ślicznej Fryne rozpowiadano sobie cuda, bo nie tylko Atheny, lecz także dalekie greckie miasta i wyspy sowity haracz składały jej przedziwnej urodzie. Po królewsku też umiała być hojną. Gdy w onych czasach jej rodacy przemyśliwali o pieniądzach na odbudowę murów obronnych, które Thebanie zburzyli byli jeszcze za Peloponneskiej wojny, Fryne własnym kosztem ofiarowała się całe Thespie obwarować pod warunkiem, że na murach będzie napis, iż je „Fryne hetera swą szczodrobliwością wzniosła". Piękna córa Epiklesa dotąd ani się nadziwić ani odżałować nie mogła, że niewdzięczni Thespijczycy nie przyjęli takiej ofiary.

Lepiej wprawdzie powiodło się w Delfach, bo kapłani chętnie zgodzili się, by Apollonowi darem złożyła swój posąg ulany z szczerego złota, dzieło Praxitelesa; lecz i tu spotkała ją przykrość niezasłużona, gdyż pod napisem, który kazała wyryć na podstawie posągu: „Apollonowi składa Fryne Thespijka" — ktoś potajemnie dopisał te słowa: „z łupów odniesionych na lubieżności helleńskiej..." Domyślała się, że jej złośliwość tę wyrządził odpalony kochanek, Anaxandrides, komedyopisarz atheński, pochodzący z Kamejros na Kyprze. Zjadliwy dowcip śmiechem niby przyjęła, lecz płaczem zaszkliły się cudne oczy Łzawej Śmieszki...

Bogatsza od niejednej barbarzyńskiej królowej, była nazbyt wykształcona i wytworna, by się bezmyślnym otoczyć przepychem. Sama piękna jak bóstwo, kochała się w piękności wszelkiej szczerze i zapamiętale i miała jej pełen dom: od niewolników i niewolnic począwszy, aż do najmniejszego sprzętu wszystko musiało być u niej piękne. Nikt może w całych Athenach nie posiadał takiego zbioru dzieł sztuki, jak Fryne. Drewniane tablice z obrazami takich mistrzów jak Zeuxis, Parrhasios, Timanthes, Apollodoros, — co pierwszy wynalazł cieniowanie — zdobiły ściany jej domu; lecz najbardziej dumna była z paru malowideł starego Polygnota, co gwoli swej rzadkości, szły już wówczas na wagę złota. W auli pod kolumnadą sporo było doskonałych rzeźb, dłuta najprzedniejszych artystów, pomiędzy którymi Praxiteles oczywiście zajmował niepoślednie miejsce. Drogocenne naczynia gliniane, wdzięczne szlachetnymi kształty i malowaniem wybornem, zazdrość budziły w zbieraczach i znawcach, a wiszące w każdych dzwiach, przepysznie haftowane opony godne były nie pomieszkania ludzkiego, lecz bożych świątyń. Czy mozajkowe posadzki, czy kobierce na nich rozesłane, czy zdobne lamptery bronzowe, czy stoliki

rzezane w kości słoniowej lub wykładane perłową macicą — wszystko w domu tym na pierwszy rzut oka świadczyło, że piękna Fryne warta swej piękności, bo się na sztuce zna i kocha sztukę.

Służba właśnie skończyła zastawianie stołów biesiadnych w samej auli, jako że nazbyt pogodny był wieczór, iżby się godziło siedzieć pod dachem. Istotnie nad aulą rozpościerał się lazur bezdenny, po którym przepływały chwilami łabędzie puchy obłoków, lekkie i białe, nawskróś przeświecone słonecznem złotem. Górą, ponad gzymsem płaskiego dachu, padały z ukosa przedwieczorne promienie, zalewając blaskiem jednę stronę auli, gdzie zapalały się w marmurach śliskie odbłyski, w bronzach rozjarzały się iskry, w kobiercach grały tęczowe kolory — a druga strona tonęła w sinawym półcieniu.

Zaproszeni poczynali się zwolna schodzić. Każdemu niewolnicy już w sieni odwiązywali sandały; poczem, nogi umywszy mu z pyłu, skrapiali je wonnymi olejkami; wszystkich u wejścia do auli witała Fryne w otoczeniu kilku ślicznych wyzwolenic. Nie wiedzieć, która z nich była piękniejsza, bo czarnowłosa Leonike usta miała stworzone do pocałunków i płeć dojrzałej brzoskwini; smukła i gibka w pasie Delfion, czarowała cichym jakimś, nawpół sennym wdziękiem i spojrzeniem sarnich, jakby zadziwionych oczu; Antinoe, wzrostem i kibicią podobna Herze, jaśniała koroną złotych warkoczów na białem czole; od rudej błękitnookiej Myrrhiny bił upajający urok ciepłej młodości, a mała Erotion, różowa jak zorza, śmiała się dziecinnym, srebrnym śmiechem i ciągle poprawiała nieposłuszne sploty puszystych, lnianych włosów. Ale wszystkie gasły przy Fryne. Była jakoby nie z ziemi rodem: rzekłbyś, iż to zaklęciem na słońce z Hadu wywołana płowego Parysa kochanka, gwoli której zarzynać będą się narody, płonąć miasta, ginąć królestwa; była jak szczęście wymarzone w pieśni poetów, jak wcielone bogów i ludzi najżarliwsze pożądanie, jak niewypowiedziany i nieuchwytny sen o piękności.

Goście napływali ciągle. Jednym z pierwszych był Fokion, który teraz przechadzał się pomału z Hyperejdem, słuchając uważnie politycznych jego wywodów. Nikias Nikomedów, malarz, Praxitelesa przyjaciel, jasnowłosy, rozmowny i ruchliwy, z dawien dawna u Fryne bywały, oprowadzał Skopasa po auli, ukazując mu bezcenne zbiory sztuki; Demosthenes przed chwilą przybyły, trochę nieśmiało i nie bez częstych zająknień rozmawiał z towarzyszkami Fryny, z którą właśnie witał się Mnesitheos, lekarz, łysy, rumiany, niemłody już, ale gwoli żartobliwego dowcipu zawsze jeszcze mile widziany wśród niewiast. Oczekiwano Platona, co z Akademii przyjść miał lada chwila

z nieodstępnym Speusippem i Aristotelesem; a Praxiteles wysłany przez Fryne poszedł umyślnie, by Xenokrata dopilnować i za wszelką cenę sprowadzić.

Wpośród niewolników zajętych ostatniemi przygotowaniami, drobnym kroczkiem dreptała stara kobieta, wydając po cichu rozkazy i wszystkiem zarządzając najskrzętniej. Twarz jej pomarszczona i zawiędła nosiła ślady jeszcze widoczne dawnej piękności, której głównym zabytkiem były oczy niezwykle głębokie i wymowne, choć już wiekiem nieco przymglone. Szczupła, wyprostowana sztywno, snuła się jak cień pomiędzy trójnożnymi biesiadnymi stoły, poprawiała na nich srebrne kosze z nakrajanemi kromkami chleba, poklepywała poduszki, równała i wygładzała kobierce rozesłane po leżach, które z trzech stron otaczały każdy stół, z czwartej bowiem pozostawiony był wolny przystęp dla obsługi.

Acz gospodarskim zajęciom skwapliwie oddana, stara szafarka poglądała niekiedy z ukosa w stronę Hyperejdesa, widocznie mając mu coś do powiedzenia, lecz niebardzo śmiała przerwać rozmowę jego z Fokionem. W końcu, zebrawszy się na odwagę, podeszła wprost ku niemu i już doń chciała przemówić, lecz do auli w tej chwili wszedł Plato w towarzystwie Speusippa i Aristotelesa, za nimi zaś ukazał się w drzwiach Praxiteles, trzymając pod ramię Xenokratesa, jakby w obawie, by mu się dziki filozof nie wymknął w ostatniej chwili.

— Rada jestem pod moim dachem cię gościć, przesławny Aristonów synu — rzekła Fryne z ujmującym wdziękiem do Platona, ręce ku niemu wyciągając. — I wy mi wszyscy witajcie — dodała mile do tamtych uśmiechnięta, przyczem zwłaszcza Xenokratowi dostało się takie spojrzenie, że na jego miejscu każdy inny byłby się jak wosk roztopił.

Plato, jej pięknością zachwycony odpowiedział na jej przywitanie:

— Jeśli twoja postać godna jest umysłu twego, jakże mądrą i dobrą musisz być o Fryne; patrząc na ciebie, człowiek staje się lepszym.

— Ucz się od mistrza Xenokracie — rzekła Fryne — i przekonaj się, że najwyższa mądrość niekoniecznie musi się brzydzić radością życia i że cnota nie polega na unikaniu piękności. — A widząc, że Xenokrates milczy jak słup i nie wie co począć ze sobą, dorzuciła słodko:

— W każdym razie wierzaj mi, że sobie twoje przybycie osobliwie cenię. Atheny całe pomną, jako heliaści czcząc nieskazitelność twoją, gdy świadczyłeś przed ich sądem, od przysięgi cię zwolnili — ja

wszakże takiego męża zwolnić od biesiady dzisiejszej nie chciałam, gdy najlepszych ludzi z miasta całego spraszam na cześć Platona.

— O najpiękniejsza — rzekł z właściwym sobie ironicznym uśmiechem Aristoteles — podziwiam cię, słysząc, jak za jednym zamachem umiesz, niby od niechcenia, słówko miłe powiedzieć i Platonowi i wszystkim swoim gościom!

— Nie powinno cię dziwić Aristotelesie — zawołała figlarnie — że wszystkich was liczę do najprzedniejszych ludzi, nie wyjmując i ciebie, mimo tak zielonego wieku.

— Miły Stagejryto — zaśmiał się Plato — nieraz duchem szkoły mojej cię zowię dla bystrości twych odpowiedzi, ale z piękną Fryne nie radzę ci dowcipem szermować, bo w kąt-by cię zagnała.

— Owszem, byle w jak najciaśniejszy — odciął się Aristoteles.

Wśród śmiechu, który powstał na te słowa, stara szafarka, przystąpiła do rozbawionej Fryne, półgłosem oznajmując, że do uczty wszystko już gotowe.

— Nie ma jeszcze mowcy Aristofona, — rzekła Fryne — poczekamy nań, jeśli goście moi pozwolą.

Tymczasem staruszka przystąpiwszy do Platona, mówiła:

— Ciekawam, czy mnie też poznasz, Platonie? Dawno, dawno temu, gdy młoda byłam i piękna, często widywałam cię u siebie. Sokrates rad przesiadywał w moim domu.

Przyjrzyj mi się dobrze. Pomnisz Theodotę, heterę?

— Theodota! — zawołał Plato — Jak dziś pamiętam, gdy Sokrates po raz pierwszy do ciebie zaszedł z Kritiasem, Xenofontem i ze mną, zastaliśmy Zeuxisa, który cię właśnie nagą malował; iście byłaś urody cudnej.

— Dobre to były czasy — odrzekła Theodota — pamiętasz, jak Sokrates dworował sobie, mówiąc, że moje stado wielbicieli więcej mi przynosi korzyści, niżli komukolwiek największe stada kóz, baranów i bydła. Dzisiaj, gdyby nie Fryne, nie miałabym gdzie głowy złożyć na starość.

— Jeszcze jej, niebodze, niegodziwi ludzie sądem grożą, by z niej ostatni obol wydrzeć — wtrąciła mała Erotion potrząsając lnianymi kędziory.

— Jakoż to może być? — pytał skwapliwie Hyperejdes — kto cię skarży Theodoto, i o co?

— Chciałam cię właśnie o radę prosić i obronę, Hyperejdesie, lecz nie śmiałam... odpowiedziała stara.

— Srodze powątpiewam, Theodoto miła — zaśmiał się Nikias

malarz — czy sposób, w jaki naszą Fryne wybronił przed rokiem, z równie dobrym skutkiem da się w twojej sprawie użyć.

Powszechny śmiech zawtórował tym słowom, nawet sama Theodota jęła chichotać bezdźwięcznym, złamanym głosem.

— Śmiej się, śmiej, synu Nikomedów — rzekła — było ci mnie widzieć przed laty, gdy mnie Zeuxis malował, jak przed chwilą słyszałeś od Patona.

— Nic nie rozumiem — odezwał się mędrzec — jakąż to sprawę miała śliczna Fryne i w jakiż to sposób wybronił ją Hyperejdes?

— Prawda, w Syrakuzach byłeś podtenczas, Platonie — rzekł Hyperejdes — gdy ten stary, brzuchaty, wszeteczny Euthias jednej nocy po pijanemu zaczął się dobijać do domu naszej Fryny, jakby do jakiej ulicznicy. Przeto mu z dachu na łeb kazała wylać kubeł zimnej wody. Przez zemstę oskarżył ją przed heliastami o bezbożność i tak zaciekle na nią przed sądem nastawał, że heliaja, mimo wywodów moich, skazać ją była gotowa. Widząc tedy, że słowami nie wiele wskóram, nagłym ruchem obnażyłem śliczne piersi Fryny, mówiąc: — „Dobrze, skarzcie ją Atheńczycy, pozbawcie miasto najcudniejszej kobiety!“...

— I cóż? — pytał z uśmiechem Plato.

— Uwolnili jednogłośnie.

— Szkoda, że Sokrates nie był piękną kobietą! — rzekł Plato.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nieznanego męża, który w tej chwili stanął u drzwi auli. Był to młodzieniec dwudziestopięcioletni, rosłej i wyniosłej budowy. Twarz miał zmęczoną, rysy dość regularne, lecz grube i rozlane; ponad ciemnym, krótko przystrzyżonym zarostem uwydatniały się kości policzkowe, silnie wystające. Nieśmiałość a zarazem duma znamionowały oblicze to i całą postać, w której sztywność łączyła się z zarozumieniem, źle pokrywanem udaną pokorą. Stał owinięty szczelnie himationem, tak iż prawe ramię, spowite gęstymi fałdami, spoczywało na piersiach, jakby skrępowane. Taki sposób zaodziewania się przed pół wiekiem bardzo był w użyciu zwłaszcza wśród mężów statecznych, lecz obecnie, gdy wszyscy himation zarzucali swobodnie — trącił niezgrabną, wymuszoną staroświecczyzną.

Fryne zwróciła się do nieznanego przychodnia z pytającem spojrzeniem.

— Pisarzem jestem u mowcy Aristofona — rzekł — zowię się Ajschines Atrometów. Aristofon przeprasza, iż na dzisiejszą biesiadę przybyć nie może, pilnemi sprawami zaskoczony.

Mówił powoli, z namaszczeniem, jak gdyby chciał tem sobie dodać

powagi; głos jego miodowy, jedwabisty, brzmiał jednak przytem jakoś płytko i pusto, dźwiękiem swym ucho tylko pieszcząc, ale nie wnikając w duszę.

— Niepożądaną wprawdzie przynosisz nam wiadomość, Ajschinesie — odrzekła Fryne — wszelako mniemam, że goście moi nic przeciw temu nie będą mieli, gdy z nami zabierzesz miejsce przy biesiadnym stole. Wszystkich tedy proszę do wieczerzy!

Zaczem pod jej przewodem gromadnie ruszyli w głąb auli ku stołom.

— Nie wiem, skąd mi znana postać owa i głos — mówił po drodze szeptem Hyperejdes, oczyma Demosthenowi ukazując Ajschinesa.

— Klnę się na Palladę — odpowiedział Demosthenes — że to niefortunny ów tritagonista na ostatnich Dionysyach tak sromotnie wygwizdany w komedyi Anaxandrida.

Ajschines widno dosłyszał, bo z ukosa rzucił na młodego mowcę jadowite spojrzenie, lecz ów, niezmieszany, ramionami pogardliwie ruszył i uśmiechnął się drwiąco. W tem pierwszem zetknięciu wzrokiem tylko groźnie się zmierzyli i poczuli ku sobie nieprzepartą niechęć, która ich odpychała nawzajem, choć jeszcze do siebie nie wyrzekli słowa. Więc odwrócili się i wszelkiego zbliżenia unikali starannie do końca wieczoru.

Zaczem Fryne jęła gościom wyznaczać legowiska przy stołach. Najpoczęstniejsze miejsce przy sobie, jako pani domu, wskazała Platonowi; tuż obok, przy tymsamym stole Xenokratowi ledz poleciła z Fokionem; po drugiej stronie Skopas położył się z Praxitelesem. U innych stołów parami zajęła miejsca reszta biesiadników: Nikias obrał sobie za towarzyszkę Delfion, bo wdzięk jej smętny nie od dzisiaj go nęcił. Czarnowłosa Leonike pociągnęła na swoje leże Demosthenesa, niezbyt śmiałego do płci białej. Aristoteles może dlatego właśnie, że sam drobny i misterny, szczególne upodobanie znalazł w towarzystwie białoramiennej Antinoe, co wzrostem wspaniałym, jak sam powiadał, przypominała „Herę, tronu złotego władczynię“. Za trzecim stołem rej wodził stary, łysy lekarz Mnesitheos, który nie mógł się narozkoszować powabem dziewczęcym i dziecinnem szczebiotaniem małej Erotion. Hyperejdes rad był, że ma przy boku rudą, błękitnooką Myrrhinę, a zgryźliwy Speusippos musiał poprzestać na sąsiedztwie Ajschinesa.

Skoro legli, natychmiast obstąpiły ich młode niewolnice z misami korynckiego wyrobu i z pięknie malowanych hydrii polewały im ręce wodą zaprawną wonnemi pachnidły; zaraz też inne podawały ręczniki, a nad wszystkiem czuwała krzątająca się niestrudzenie Theodota. Plato,

ręce umywszy, przyzierał się jej ciekawie, gdy zajęta była nalewaniem korzennej polewki z grzybami.

— Na łuk Artemidy — zawołał z uśmiechem — jako żywo nie dopowiedziałaś nam Theodoto, jaka i o co sprawa przed sądem ci grozi.

— Ciężka sprawa i nie do wygrania — rzekła frasobliwie stara.

— Zwłaszcza, gdyby znowu przyszło wdzięki niewieście odsłaniać! — zaśmiał się Demosthenes.

— Nie przerywaj Theodocie, złośliwy człowiecze — upominał żartem Hyperejdes.

— Oto przed laty dziesięciu trzymałam w Pejrajskim porcie gospodę z winiarnią. Razu pewnego, na nieszczęście moje, zajechało do mnie dwu kupców, Lykinos, Melijczyk i Formio, Syrakuzanin; dali mi na odjezdnem do przechowania dwa talenty srebra z warunkiem, że mi niewolno wydać onych pieniędzy żadnemu z nich osobno, lecz dopiero, gdy zgłoszą się obaj pospołu. Przez pięć lat nie zjawił się ani jeden, ani drugi. Wkońcu przybywa Lykinos i przyprowadza świadków, którzy powiadają, że byli przy śmierci Formionowej. Cóż było począć? Wydałam pieniądze. Ninie zasie we własnej osobie staje przedemną Formion i domaga się dwuch talentów i sądem grozi, a ja nieszczęsna sama nie wiem, co począć. Mamże oddać ostatnią drachmę?

Łzy jej się puściły po zwiędłej twarzy.

— Nie wesoła sprawa — rzekł Hyperejdes — wyjścia z niej żadnego nie widzę.

— Ja też ustawy znam dobrze, lecz widzi mi się, że tu nikt rady nijakiej nie najdzie — odezwał się z godnością Ajschines.

— A ja, Theodoto, proces twój wygram niewątpliwie! — zawołał Demosthenes.

— Ciekawym jak? — zapytał Fokion. — Tej sztuki nie dokażesz. Umowa była jasna.

— Żadnej sztuki na to nie trzeba — mówił Demosthenes. — Oświadczamy przed sądem gotowość wypłacenia Formionowi dwu talentów, byle stosownie do brzmienia umowy zgłosił się wespół z Lykinosem.

Śmiech powszechny zawtórował tym słowom Demosthenesa; Theodota nie posiadała się z radości.

— No, no, ktoby się po nim spodziewał — mówiła, trzęsąc głową. — Taki młody, a już na cztery nogi kuty. Za moich czasów

dość było zręcznych obrońców i mowców, ale ty, Demosthenesie, chyba wszystkich przewyższysz!

Biesiadnicy tymczasem kończyli wieczerzę: po jagnięcej pieczeni z wymyślną atheńską sałatą, szły na stół najwykwintniejsze ryby morskie, sarnina z Kythajronu i tłuste bojockie przepiórki. Krajczy każde mięsiwo na sztuczki dzielił i gościom nakładał już drobno pocięte, oni zaś jedli palcami, wycierając je niekiedy w gałeczki ugniecione z chleba.

Rozmowa toczyła się bezustannie, przeskakiwała z jednego przedmiotu na drugi, gęsto przeplatana śmiechem i żartami. Zwłaszcza Mnesitheos i Nikias, obaj niewyczerpani w dowcipie, zwodzili z sobą ciągłe utarczki na słowa, o to, która z dwu sztuk, lekarska czy malarska powinna być poczytywana za wyższą. Skopas i Praxiteles popierali Nikiasa, Plato wystąpił z obroną Mnesitheosa.

— Lekarz jest w każdem społeczeństwie niezbędny — mówił — umiejętność jego bowiem przywraca obywatelom zdrowie, bez którego spełniaćby nie mogli swoich obowiązków; a sztuki wasze, malarstwo, rzeźba, na cóż i komu są potrzebne?

— Rozkosz widzowi sprawiają najwyższą — wołał Nikias — azaliż to jeszcze mało?

— Powiedz-że mi, piękna Fryne — pytał Plato — czemu trzymasz wybornego sycylijskiego kucharza? Chyba nie gwoli zaspokojenia głodu, jeno po to, by sobie i gościom swoim sprawić rozkosz podniebienia.

— Zapewne.

— Więc malarz albo rzeźbiarz o tyle tylko przewyższają kucharza swoją sztuką, o ile rozkosz oczu przewyższa rozkosz podniebienia.

— Ale rozkosz, którą daje sztuka — rzekł Skopas — polega na tem, że widok piękności duszę podnieca i czaruje.

— Na to zgoda, człowiek bowiem każdy już na ziemię przynosi wrodzone pożądanie Dobra, Piękna i wszystkich tych idei, które są zaświatowem i wiekuistem dziedzictwem dusz naszych. Toteż Piękno chwytamy tu na ziemi zapomocą najjaśniejszego z wszystkich zmysłów, bo wzrok jest najjaśniejszym i najbystrzejszym zmysłem cielesnym. Za jego pośrednictwem nie możemy wprawdzie Dobra ni Mądrości oglądać, lecz Piękno przemawia do nas przez oczy.

— Przyznajesz tedy, Platonie, sztukom naszym wysokie dostojeństwo — rzekł Praxiteles — skoro ich celem jest Piękno?

— Odpowiedz mi wszelako, Praxitelu czy ty, który do piękna dążysz w swej sztuce, widziałeś kiedy samo Piękno?

— Samego Piękna nie widziałem, ale pięknych rzeczy widuję siła codzień.

— Wymień ich parę.

— Piękny rumak, albo kwiat, albo człowiek piękny, ten przedewszystkiem.

— Więc wszystkie te przedmioty choć piękne, Pięknem samem jednak nie są? Czy tak? Ale z Piękna w sobie coś mają. Można by je nazwać Piękna cząstkowem odbiciem. Godzisz się na to?

— Godzę, oczywiście!

— Ty zaś lub Skopas, gdy rzeźbicie ludzkie ciało w marmurze; Nikias, gdy maluje rumaka, dajecie jedynie odbicie owego odbicia. Jakże dalekie są sztuki wasze od samego Piękna!

Tak oni tam rozmawiali pomiędzy sobą, niewolnicy tymczasem powynosili stoły jadalne, a wnieśli małe stoliki zastawione wetami. Równocześnie przyniosły niewolnice wody w dzbanach i misy do mycia rąk, jak przed ucztą i rozdawać jęły wieńce plecione z róż jesiennych, barwinku, myrtów i bluszczu. Śliczne towarzyszki wieńczyły swych sąsiadów i same siebie; czarnowłosa Leonike wianek jeden róż purpurowych nawdziała sobie na szyję, a drugi na głowę; ruda Myrhina bluszczem uwieńczona pooplatała sobie girlandami barwinku piersi nawpółobnażone, Delfion i Antinoe poszły za jej przykładem i splotami róż owinęły sobie ramiona, z których osunęły się cienkie chitony; Mnesithas omal pod kwieciem nie zagrzebał małej Erotion, a Fryne, sama róży wspaniałej podobna, tonęła istnie na swojem leżu w kwietnej powodzi. Przy blasku lampterów, co gęsto rozstawione dokoła, świeciły jasnym blaskiem, aula wydawała się zaczarowanym jakimś ogrodem rozkoszy i miłości. Służba wniosła teraz ogromne kratery, aby w nich mieszać wino z wodą. Plato, królem biesiady ogłoszony, zarządził, by na jednę część wina dolewano trzy części wody. — Nie chcemy bowiem — jak mówił — sprośnej pijatyki na umor.

Praxiteles kończył tymczasam opowiadać o dzisiejszym przyjeździe dostojników z wyspy Kos do swojej pracowni:

— Pomyślcie jeno — mówił — że ci ludzie, acz w ojczyźnie swojej najprzedniejsi pono, wspomnieć nie dali sobie nawet o mojej Afrodicie wstępującej do kąpieli. Nie chcieli jej, że naga jest, i wzięli tamtę przysłonioną szatami.

— A cóż będzie z tą nagą? — zapytała Fryne.

— To właśnie z wszystkiego najzabawniejsze, iż prawie śladem Koejczyków przypłynęło kilku mężów z Knidos, aby zamówić u mnie

posąg Afrodity; widno Knidos nie chciało pozostać w tyle za wyspą Kos. Ukazałem tedy knidyjskim wysłańcom tę nagą, spodobała się im, zaczem wziąć ją postanowili; ci przynajmniej znają się na rzeźbie, wiedzieli, co wybrać.

— Bo też kto wie, czy to nie najlepsze twoje dzieło? — wtrąciła Fryne, jakby od niechcenia, nadsłuchując bacznie odpowiedzi.

— W każdym razie najlepszy to z moich posągów Afrodity — odrzekł Praxiteles udając, że się nawet nie domyśla celu zapytania. Fryne uśmiechnęła się nieznacznie jakby sama do siebie i wzrok obróciła w inną stronę, ku Xenokratesowi. Leżał obok Fokiona głęboko zadumany, jak gdyby nie zważając na wszystko, co się dokoła dzieje i w ręku bezwładnie obracał wianek bluszczu zdjęty z głowy. Na wszystkie najognistsze jej sporzenia, rzucane w ciągu wieczerzy, nie odpowiadał wcale. Z nim tedy również jakoś jej się nie wiodło. Za wygraną jednak nie dawała jeszcze.

Wino zmieszane z wodą nabierali pacholęta glinianymi czerpaczkami z kraterów i nalali gościom czasze. Z pełną w dłoni wszyscy naraz powstali z legowisk i powoli każdy na ofiarę bogom sączył po trosze na ziemię wymawiając odwieczne formuły: „Dobremu duchowi"! albo: „Prze zdrowie"! — odtąd rozpoczynało się biesiadne symposyon.

Zaczem na nowo legli wsparci łokciem na wezgłowiach i zajadali ciasta, sery, owoce, albo zagryzali po prostu chleb ze solą, by zaostrzyć pragnienie.

Fryne, która ciągle z pod oka śledziła Xenokrata, spostrzegła, że skorzystał z chwili, gdy wszyscy powstali bogom zlewać objatę: widziała jak wahał się, czy do sieni się wymknąć, czy bliższemi drzwiami wysunąć się na ogród. Wybrał to drugie; zakręcił się nieznacznie i w mgnieniu oka przepadł w drzwiach ogrodowych. Rada była z tego, bo jej przez głowę przeszło, że jeśli zdoła w samotności dopaść odludka, to zwycięstwo niewątpliwie odniesie nad jego zatwardziałością. Ten człowiek zimny i obojętny drażnił ją i upokarzał swym uporem. Ona nieprzepartym urokiem rozhartuje go i do szału doprowadzi, a potem swój tryumf ukoronuje tem, że zawstydzonego i poniżonego ze wzgardą precz odepchnie!

Takie myśli przerwała jej piosenka Saffonny, chórem śpiewana:

Wraz pijmy, wraz kochajmy, razem kładźmy wieniec,
Trzeźwy bądź, gdy ja trzeźwy — z szalonym, szaleniec!

Czaszę bluszczem uwieńczoną podniosła w górę i razem z innymi śpiewała i piła.

Ajschines, ośmielony snać winem i śpiewem, chwycił lutnię, pożądliwe, płonące oczy obrócił na Frynę i dźwięcznym choć pustym swym głosem jął wywodzić piosnkę Anakreonta:

Bodaj się był zapadł w ziemię
Człek, co pierwszy grosz polubił;
Ojców nie czci młode plemię,
Brat niejeden brata zgubił!
Grosz to chciwy, niespokojny
Rodzi waśnie, rodzi wojny,
Lecz największa to sromota,
Że w kochaniu nic bez złota!

Nie w porę wybrał się Ajschines. Fryne wprawdzie nie była chciwa: czasem i chudopachołek rozmiłowany śmiertelnie mógł liczyć na jej łaski, byle się jej podobał, lecz teraz gniewna była na Xenokrata, na siebie, na cały świat, a na domiar wszystkiego ten zarozumiały, sztywny Ajschines oburzył ją swym obcesowym afektem. I ona tedy lutnię podaną wziąwszy, odśpiewała mu natychmiast Alkajosową piosenką:

Aristodom ongi w Sparcie
Mądre słowo rzekł otwarcie,
Jak należy złoto ceniąc:
„Słyszcie ludzie — człek to pieniądz,
Gdy się liczysz do hołoty,
Nie masz sławy, nie masz cnoty".

Ajschines nie przyjął tego na pozór do siebie; owszem gdy wkoło zabrzmiały oklaski, sam najgłośniej klaskał, gdy wszyscy pili jej zdrowie, on pierwszy czaszę do dna wychylił, ale Demosthenes uśmiechnął się szyderczo, w duszy bowiem rad był, że tamtego spotyka tak cięta odprawa.

Fryne, odłożywszy lutnię szepnęła coś Theodocie i za chwilę wpadło do auli sześć młodziuchnych tancerek i dwie fletnistki. Biesiadnicy łowili okiem lotne, powiewne ruchy dziewcząt, co w takt fletni zdawały się pływać nad ziemią, fruwać jak motyle, unosić powietrzem jak wirujące z wiosennym powiewem kwiaty jabłoni. Lekkie ich sukienki trzepotały się na kształt rozbujanych skrzydeł, śliczne ciała gięły się rytmicznie w miarowym a swobodnym pląsie.

Widząc, że wszyscy zapatrzyli się na ich taniec, Fryne po cichu,

zwolna przysunęła się ku drzwiom ogrodowym i za chwilę już jej w auli nie było. Jeden tylko Praxiteles widział jak wychodziła. Natychmiast jął z Platonem szeptać, porozumiewał się z Aristotelesem, Fokionem, Demosthenesem i w pięciu skierowali się z auli do ogrodu. Inni goście nie rozumieli wprawdzie dokąd i po co wychodzą tamci, lecz pociągnięci przykładem poszli także za nimi. Praxiteles od progu jeszcze nakazał fletnistkom po cichu, by muzyki swej nie przerywały.

Wszyscy niebawem znaleźli się w ogrodzie i szli na palcach po ścieżynach wysypanych białym piaskiem. Stanęli za krzewami: przed nimi w głębi, pod cyprysami, bieliły się w jasności miesiąca dwie postaci. Z auli dolatywał przytłumiony dźwięk fletni, ale w ciszy wieczornej rozeznać można było każde słowo, choć wymawiane półgłosem.

— Czy ty nie widzisz co się ze mną dzieje, Xenokracie — mówiła Fryne — zali czekasz, bym ci do nóg padła, miłość wyznając? Dlaczego mnie dręczysz obojętnością, dlaczego doprowadzasz mnie do szaleństwa? Cóżem ci złego wyrządziła, że na mnie nawet spojrzeć nie chcesz? Powiedz, a wszystko porzucę, wszystkiego się wyrzeknę dla ciebie!

On stał nieporuszony, twarz od niej odwracając — i byłby już dawno przed nią zbiegł na kraj świata, gdyby nie to, że oburącz za ramię go trzymała. Wyrwać się nie miał siły.

Poczuła to i jednym ruchem skoczyła mu na szyję, tuląc się doń rozkosznie. Zadrżał na całem ciele, widocznie stracił moc nad sobą. Ale nagle wyprostował się, dźwignął do góry głowę, przemocą rozerwał jej ręce oplecione dokoła swego karku, szorstko ją na bok odepchnął.

— Nie chcę! Nie chcę! — wołał — opętasz każdego, nie mnie! Precz stąd, bo tamtych z auli skrzyknę, by na twój wstyd patrzyli!

Tamtym żal się zrobiło Fryny. Praxiteles nie mógł sobie darować, że tylu świadków naprowadził. Chciał się z nimi cofnąć do auli niepostrzeżenie, ale już było za późno: Xenokrates i ona dostrzegli, że nie są w ogrodzie sami.

Fryne zaczęła się śmiać nerwowo, po twarzy płynęły jej łzy. Dławiło ją w gardle to straszne upokorzenie; Xenokrates jakby skamieniały stał w miejscu.

Wśród ciszy i pomieszania przystąpił ku niemu Plato.

— Moc twoja nad sobą, Xenokracie, godna pochwały, lecz odniosłeś bez wdzięku zwycięstwo. Twarda i gburowata jest zawsze cnota twoja. Składaj ofiary Charitom, koniecznie Charitom.

Fryne corychlej się opamiętała czując, że ściąga na się tem większą

śmieszność, im bardziej do serca bierze tę przygodę. Wszystko tedy w żart obracając, rzekła do Praxitelesa:

— Założyłam się z tobą, że go zwyciężę, jeśli w żyłach ma krew ludzką, lecz widzicie sami, że to nie człowiek, ale martwy kamień!

IV.

W auli fletnistki grały ciągle. Gdy goście z powrotem u stołów zajęli miejsca, rozpoczęły się na nowo popisy tancerek.

Fryne, żal i wstyd ukrywając, jaśniała tak czarownym uśmiechem, tak ponętne rzucała spojrzenia i rozkosznie główką chwiała w takt muzyki, że niebawem odzyskali wszyscy dawniejszą swobodę i niczem nie zmącona wesołość znowu zapanowała przy stołach. Na Xenokrata nikt uwagi nie zwracał, przeto cichaczem zniknąć zdołał, a równocześnie, po skończonych pląsach, jedna z tancerek na miejscu jego przy Fokionie siadła, gdy jej towarzyszki wmieszały się między biesiadników.

Teraz przy dźwięku fletni wbiegła w podskokach Artamone, kuglarka słynna w Athenach zarówno niezwykłą zręcznością jak urodą. Z pozłocistą siatką na włosach, naga do pasa, klejnotami na ramionach i szyi błyszcząca, od bioder miała na sobie wzorzyste obcisłe spodenki, które do kolan schodziły. W ręku łuk niosła i strzały. Pochyliła się nisko w głębokim ukłonie, rzuciła się naprzód, padła na ręce wyciągnione i stanęła do góry nogami, wygięta w kabłąk, tak iż nogi ku przodowi podane zwisały nad głową. Jęła tedy na rękach tańczyć w kółko z łatwością i lekkością zdumiewającą, przyczem w górę podskakując, do rytmu klaskała w dłonie. To znów szybko na rękach pobiegła po łuk i strzały, palcami nóg naciągnęła cięciwę i niewolnikowi przykazawszy, by jabłko wyrzucił w górę, bełtem w lot je trafiła. Szmer podziwu rozległ się dokoła, zaś ona nagle na rękach podeszła do krateru z winem, w palcach jednej stopy trzymając kubek, palcami drugiej chwyciła gliniany czerpaczek i nalawszy, podała naprzód Frynie, a potem raz po raz czaszkę napełniając, wszystkim innym biesiadnikom podawała kolejno od lewej, ku prawej, stosownie do powszechnego zwyczaju. Potem na jednem ręku stanąwszy, drugą cisnęła raz po raz w powietrze kilka piłek, i błyskawicznymi ruchami nóg podbijała je wszystkie z nieopisaną szybkością.

— Czy ci, Fokionie, ten widok nie przypomina sofistów? — rzekł

Plato — Jak ona ciałem, tak oni myślą swoją wyprawiają łamane sztuki, zdumiewające niekiedy, a bezcelowe zawsze.

— Lecz i z demagogami — odparł Fokion — ma niejakie podobieństwo, ponieważ u niej w poniżeniu jest głowa, część najszlachetniejsza, górą zasie nogi, które powinny być na dole.

Coraz gwarniej czyniło się za stołami. Mnesitheos dowcipnie rozwodził się nad leczniczemi własnościami różnych win, o czem — jak mówił — zamierza pisać uczoną rozprawę i w tym celu przedsięweźmie badania na wyspach Naxos, Kos, Lesbos, Chios, jako słynnych najlepszemi winami; namawiał tedy małą Erotion, by mu towarzyszyła w tej naukowej podróży, a gdy śmiejąc się dziecinnie, oświadczyła mu swoją gotowość, chwalił żądzę wiedzy w tak młodocianym umyśle.

Artemone tymczasem kończyła swój występ i odeszła, ze wszech stron oklaskiem żegnana.

— Niczego nie zaniedbałaś, o Fryne, by nam uprzyjemnić wieczór — zauważył Skopas — ale gdzie ty jesteś, tam wszystko inne zbyteczne, tyś bowiem sama oczu najwyższą radością!

Zamiast odpowiedzi Fryne pęk białych róż od piersi odjęła i rzuciła mu z ognistem spojrzeniem, które w zachwyt wprawiło starego mistrza.

Za przykładem Fryny dziewczęta jęły biesiadników obrzucać kwiatami, tak iż w powietrzu lotem krzyżowały się róże, śmiechy srebrne i strzeliste spojrzenia. Równocześnie służba wniosła przyrząd, służący do gry, przy biesiadach bardzo rozpowszechnionej; zwano ją kottabos. Główną częścią przyrządu był gruby, kilkułokciowy pręt z pozłacanego bronzu, w trójnożnej podstawie osadzony pionowo. Na ten pręt, mniej więcej w jego połowie, nawdziana była poziomo krągła, spiżowa płyta, na której niewolnicy postawili parę figurek ze spiżu, zwanych manes, a na samym wierzchołku pręta, cienko zaostrzonym, umieścili czarkę metalową, podpartą w środku ciężkości, tak, iż najlżejsze potrącenie wystarczało, by ją na dół strącić.

Aristoteles, nie czekając, aż gra na dobre się rozpocznie, spróbował swej zręczności: wychylił kubek, a potem chwyciwszy dwoma palcami za uszko, dłonią w przegubie silnie machnął; niedopita resztka wina gwałtownie chlusnęła w górę, trysnęła i strąciła czarkę z pręta, lecz z taką celnością, iż naczyńko spadając ugodziło figurkę manesa i odbite, z głośnym brzękiem stoczyło się na poziomą płytę kottabosu. Za przykładem Aristotelesa chciał się też Ajschines popisać, ale mu się nie powiodło, bo tylko siebie i swego sąsiada Speusippa winem oblał, co wywołało powszechną wesołość.

Tylko cicha Delfion rozmarzonym wzrokiem nie przestawała patrzeć w Nikiasa, który coraz to inne kwiaty wplatał jej we włosy, a gdy się uciszyło nieco, po lutnię sięgnął i zaśpiewał czystym, słodkim głosem:

Turom przyroda rogi
Koniom kopyta dała,
Zającom chyże nogi,
Lwom w paszczy kielec srogi,
Ptaszętom lot przyznała,
Rybom pław poprzez wodę,
A mężom — moc wspaniałą;
Dla niewiast nic nie stało...
Cóż dałam im? — Urodę!
Mocniejsza wszech pawęży
Ogień i stal zwycięży,
Która ma gładkość całą!

Słuchano go z przyjemnością i nagrodzono szczerym oklaskiem, a gdy położył lutnię, podbiegła po nią Erotion.

— Teraz Mnesitheos musi nam co zaśpiewać — wołała swywolnie i brząkać jęła po strunach dla zachęty.

— Mnesitheos! Mnesitheos! rozległy się wołania dokoła.

Napróżno wymawiał się, że już nie ma głosu, że zapomniał piosnek; wszyscy nalegali, Erotion różowemi palcami gładziła go po siwej brodzie i tak mu się przymilała, że nie mógł się oprzeć. Przepił winem, poprawił sobie wieniec na potężnej łysinie i odchrząknął. Erotion uderzyła w struny, on zaś jął nucić:

„Staryś już Anakreoncie
— Powiadają mi dziewoje —
„A weźże sobie zwierciadło
„I przejrzyj się w niem gdzie w kącie;
„Jak kolano czoło twoje,
„Tyle włosów ci wypadło!"
— Co do włosów, to tam fraszki,
Są-li czy wypadły z czaszki,
Ja nie wiem... Wiem jeno tyle,
Że tem ci bardziej się godzi
By szumiał starzec przez chwilę,
Im nań bliżej śmierć przychodzi!

Tyle życia, dowcipu, wesołości, było w jego śpiewie, że słuchacze nie mogli się wstrzymać od śmiechu i na wezwanie Praxitelesa do

dna spełnili kilixy prze zdrowie śpiewaka, co rozpromieniony radością i winem, podniósł w górę płaską czaszę i wołał, z zapałem:

— Niech żyją piosnki Anakreonta! Z pokolenia w pokolenie zawsze niechaj żyją. To mi prawdziwa poezya!

Stąd wywiązała się przy kielichach o poezyi rozmowa i o tej przedziwnej mocy, którą mają nad sercami ludzkiemi poeci.

— Jest w poezyi, — mówił Plato — potęga taka jak w magnesie, który nietylko że pociąga pierścienie żelazne, lecz także mocy swej udziela im od siebie, skutkiem czego mogą przyciągać dalsze pierścienie, tak iż tworzą się tych ogniw łańcuchy całe; lecz moc przyciągania w magnesie tkwi samym i zeń wychodzi. Tak samo natchnienia udziela Muza, ci zaś, którzy je od niej wzięli, dalszym je podają. Wszyscy bowiem pieśniarze i piewcy nie z własnej sztuki siłę swoją biorą, lecz tworzą w natchnieniu, jakby w opętaniu, podobni szalejącym Korybantom, gdy tańczą porwani świętym obłędem; tak i poeci pieśni swe dopiero wtedy mogą tworzyć, gdy nimi harmonia i rytm owładnie.

— Przynajmniej sami o sobie to mówią — wtrącił sceptyczny jak zawsze Aristoteles.

— I słusznie mówią — rzekł Plato — bo gdyby z własnej głowy i z własnej sztuki czy umiejętności brali poezyę, to po za swoją twórczością posiadaliby w każdej innej rzeczy równą świetność umysłu i równy dar słowa jak i w poezyi.

— O harmonii wspomniałeś i rytmie — powiedziała Fryne — wszak nie tylko poezya na nich polega, lecz także i muzyka. Cóż nam tedy o muzyce rzeczesz, Platonie, i jak istotę jej nam wytłumaczysz?...

— Słusznie mówisz, Epiklasa córko, że muzyka równie jak poezya wypływa z harmonii; ta zaś niczem innem nie jest, jak zgodnością tego co przedtem niezgodne było i przeciwne. Więc w muzyce harmonia, to skojarzenie i zbratanie dźwięków, co wprzódy rozdwojone były. Muzyka przeto jest miłosnem tonów zespoleniem w rytmie i harmonii. Ale sztuką najwyższą — sharmonizowanie dusz wewnętrzne, które dziełem jest Muzy Uranii, a w miłości ma swoje źródło.

— A miłość, Aristonów synu przesławny — czemże ty ją być mienisz? — spytała dalej Fryne — jak powstanie w jej sercu i wpływ jej na człowieka tłumaczysz?

— Oto sami widzicie — odrzekł Plato, — że gdzie za stołem zbiorą się ludzie, którzy mają sobie co do powiedzenia przy winie,

co porówno duszę rozgrzewa jak ciało, tam ani fletni, ani kuglarskich sztuczek nie potrzeba, rozmowa bowiem za wszystko wystarczy.

— Zwłaszcza rozmowa z tobą, Platonie, — dodał Aristoteles — wszak dzisiejszego wieczora tyle już mądrych prawiłeś nam rzeczy, o tem jak z pomiędzy przedwiecznych idei, mieszkających po za światem, jedynie Piękno przez oczy wnika do naszej duszy napełniając ją zachwytem.

— Tak, ale dusza ludzka nieśmiertelną będąc, tem samem i przedwieczną być musi. Przed wcieleniem się swojem na ziemi przebywała tedy pierwotnie w zaświatach, wśród onych idei, oglądając je i radując się ich widokiem. Z natury swej lotną, skrzydlatą była i dopiero w ciele zamkniona, skrzydła swe postradała, posiada jednak, — że tak powiem — korzenie swych piór i może się uskrzydlić na nowo.

— A to jakim sposobem? — zapytał ciekawie Skopas.

— Kto postać jaką ludzką zobaczy, podobną bogom, która na sobie nosi przedwiecznej Piękności odbicie, tego zrazu napada święty jakiś dreszcz i lęk, a potem czuje w sobie nieprzepartą chęć, by cześć boską niemal oddać onemu Piękności odbiciu, wcielonemu w kształty ludzkie; i gdyby nie obawa śmieszności, ofiary-by składał jak przed wizerunkiem samego bóstwa. Wzroku nie może oderwać i wchłania w siebie oczyma strumień Piękności, który zrasza w jego duszy owe piór korzenie, rozgrzewa je i do rośnienia pobudza. Z duszą ludzką wonczas to się dzieje, co z dzieckiem, gdy zębów dostaje. Coś w niej wzbiera i burzy się i tętni, coś ją łaskoce i roi, skrzydła jej bowiem odróść mają stracone. Jej cierpieniom ulgę jedyną przynosi widok Piękności, który przyspiesza porost piór, a duszę napawa miłosnym czarem i przepełnia rozradowaniem. Wtedy człowiek ani na krok nie chciałby odstąpić od ukochanej osoby, zważa tylko na jej urodę; za nic mu rodzice, bracia, przyjaciele: wszystko, co najbardziej cenił, gotów porzucić byle przy kochaniu swem spocząć. Ten stan ludzie nazywają miłością. Dusze ludzkie ona uskrzydla na nowo: teraz już rozumiesz, o Fryne, czem jest miłość, i ty, Praxitelesie, wiesz dlaczego Erosa przedstawiają ze skrzydłami, jak sam go wyrzeźbiłeś.

— Jeszcze nam odpowiedzieć musisz na jedno, Platonie, — rzekł Hyperejdes — jaki cel ostateczny tego dążenia duszy ku miłowanej osobie? Boć przecie na to, by zadowolić same pożądanie zmysłów, nie trzeba wcale skrzydlatej duszy.

— Gdy kochankowie są przy sobie, tembardziej łakną połączenia się wzajemnego — mówił Plato. — I gdyby w takiej chwili stanął

przy nich z narzędziami kowalskiemi w garści Hefajstos i zapytał ich, czego pragną, zmieszaliby się zapewne; lecz on zapytałby ich ponownie: „Czy chcecie tak być połączeni, by się z sobą ni w dzień ani nocy nie rozstawać? Jeśli tego pragniecie, to stopię was w jedno, iż choć dwojgiem istot jesteście, jedną będziecie póki życia i zespoleni żyć będziecie razem i po śmierci w Hadesie, zamiast być dwojgiem, jednem na zawsze będziecie. Zważcie tylko, zali naprawdę tego chcecie i czy radzi będziecie, jeśli was to spotka?" Wszak wiemy, że słysząc to, każde z nich zgodziłoby się z radością, być na wieki spojonem i stopionem z tamtem drugiem i z dwojga całość jedną tworzyć po wszystkie czasy.

— Więc w takiem zjednoczeniu ciał i dusz byłaby największa moc Erosa? — rzekła Delfion. — Cóż to za potężne bóstwo; prawda Nikomedów synu? — dodała zamyślona opierając twarz o ramię Nikiasa.

— Mówi Parmenides, iż Eros najstarszym jest między bogami — rzekł Demosthenes — Poeci nieraz mienią go starszym od Zeusa i samego nawet Kronosa.

— Nie może to być prawdą w żaden sposób — odpowiedział Plato. — Przeciwnie, to z bogów najmłodszy: toć Eros, wiecznie młody, przed pościgiem starości ucieka, która przecie taka jest raźna, raźniejsza niżby się godziło. Nienawidzi jej Eros i trzyma się od niej z daleka, z młodością zasie chodzi w parze, z nią tylko przebywa, bo do niej należy sam z natury. Jako najmłodszy z bogów, tem samem jest najszczęśliwszy między nimi, choć oni wszyscy wiecznego zażywają szczęścia. Że musi być przy tem uroczej i kształtnej postaci, to jasne: gibki, zwinny, wkrada się do każdej ludzkiej duszy niepostrzeżenie, a tak subtelny jest i lotny, że ją całą na wskróś przenika. Jest więc i najpiękniejszym z bogów. Siła dałoby się powiedzieć o jego cnocie: on urazy nijakiej nie wyrządza nikomu, ani sam żadnej nie doznaje i to zarówno ze strony bogów, jak ludzi. Przemoc bowiem żadnej siły niema nad nim i on też nie używa jej zgoła. Każdy jemu dobrowolnie służy, wiadomo zaś, że to, co nieprzymuszone i dobrowolne tem samem jest i słuszne, i prawne. Krom sprawiedliwości Eros powoduje się największem umiarkowaniem. Któż bowiem nie przyzna, że umiarkowanie, to władza nad wszelką żądzą i chucią, a żądza ni chęć żadna, nie może się nawet mierzyć potęgą z Erosem. Gdy więc odeń są wszystkie słabsze, to juści nie one panują nad nim, lecz on panuje nad niemi, czyli, że posiada najwyższe umiarkowanie. Mężniejszy jest od Aresa, gdyż on Aresa miłością do Afrodity,

nie zaś Ares jego pokonał. Łucznikiem lepszym jest od Apollona i mistrzem najwyższym w poezyi, każdy bowiem, choćby wprzód Muzom obcy był zupełnie, pod Erosa dotknięciem staje się poetą; wszelkie inne sztuki w niemniejszej też posiada mierze, bo mógłżeby komukolwiek ich udzielić, gdyby sam ich nie posiadał? Niemasz bez niego żadnej twórczości, któż bowiem zaprzeczy temu, że wszelkie żyjące twory, jemu tylko swój byt mają do zawdzięczenia? Bez niego nic na świecie powstać nie może. Poznawszy teraz Erosa, i moc jego i doskonałość, azali nie widzicie, że umiłowanie piękności w jednej ludzkiej istocie, nie jest wszystkiem jeszcze? Zali nie możnaby sięgnąć i dalej i wyżej?

Przerwał, i zadumany patrzył przed się, jakby wzrokiem gonił ulatujące w dal nieskończoną swe myśli orle. Gdy zaś oni milczeli, mówić jął na nowo:

Piękność jednego ciała wszak pokrewna jest piękności każdego innego. Prawdziwy przeto miłośnik piękności nie może poprzestać na wielbieniu jej w jednem ciele, nie mając oczu ni serca na piękności tylu innych ciał, tem bardziej, że wszystkie one piękności, właściwie są jedną tylko, wszędzie i zawsze tą samą, jedyną Pięknością, której tamte poszczególne są tylko częściowem odbiciem. To pojąwszy, nie zechce on już być jednego tylko ciała niewolnikiem i czcicielem, i Piękność ową czcić i wielbić pocznie we wszystkich ciałach. Czy tylko w ciałach? Niczemże dlań ma być piękność ducha objawiająca się w pięknych słowach i myślach, w pięknych skłonnościach i dążeniach, częstokroć u takich ludzi, którym cielesnej piękności nie dostaje. Wobec piękności duchowej zrozumie on, że cielesna błahą jest i powierzchowną. Duchowa piękność, przez piękne myśli, słowa, skłonności, dążenia, doprowadzić go musi do poznania piękności w umiejętnościach wszelakich, te zaś przywodzą go do wiedzy onej, która jest niczem innem, jak poznaniem samego Piękna, tego jedynego, co przeczyste i wiekuiste, wolne jest od wszelkiej śmiertelnej skazy. Wówczas dopiero pogrąży on się w onem Piękności morzu, co rozlane w nieskończoność, ogarnia zaświatów przestwory.

Po tych słowach Platona, cisza taka nastała, że słychać było pryskanie oliwnych knotów, co płonęły dokoła w lampterach. Z razu gdy mędrzec mówił nawpół żartobliwie, mieszając dowcip z najgłębszemi zagadnieniami, pogodny uśmiech na ustach jego igrający, odbijał się w oczach i na wargach słuchaczów. Ale w miarę jak natchnieniem ogarniony, uderzać począł w ton coraz to wyższy, zdało się współbiesiadnikom, że porwani słów jego potęgą, niesieni myśli jego

zawrotnymi loty, wzbijają się stopniowo wyżej a wyżej, w coraz doskonalsze, promienniejsze światy. Z oddechem zapartym patrzyli mu w oczy, łowili każde jego słowo i tonęli w tych fantastycznych, niebiańskich wizyach, które ten dziwny człowiek rozsnuwał przed nimi...

Nagle wśród ogromnej ciszy, głosy jakieś doleciały z głębi sieni, rozchyliła się zasłona targnięta nagłym ruchem i w auli stanął Karion. Zmieszany, drżący, blady, zatrzymał się naprzeciwko stołów biesiadnych, jakby mocą jakąś niepojętą przygwożdżony do posadzki.

— Czyś oniemiał — krzyknął doń Praxiteles otrętwiały z przerażenia. — Mów co się stało?!

— Prędzej mów, słyszysz! — zawołała Fryne przyskoczywszy ku chłopakowi.

Na jej głos niewolnik drgnął na całem ciele.

— Ogień! ogień! — wrzeszczał — Panie, twój dom gore! Twoja pracownia stoi w płomieniach!!

Praxiteles na równe nogi się zerwał. Blady był jak ściana, wargi mu latały.

— Nieszczęście — wołał — nieszczęście! Co ja pocznę, jeśli Satyr zniszczał... i mój Eros?!

To mówiąc ku drzwiom puścił się pędem, ale w progu zastąpiła mu Fryne, ramiona zarzucając mu na szyję.

— Stój! Stój! Uspokój się, to nieprawda. Ja ten pożar zmyśliłam.

Stanął jak wryty. Mienił się na twarzy; niepokój, zdumienie, radość odbijały się w niej naprzemian.

— Co to było? Co to wszystko ma znaczyć? — bełkotał niepewnym głosem.

Fryne z objęć go wypuściwszy, stała przed nim stokroć piękniejsza niż kiedykolwiek, rozpromieniona tryumfalnym uśmiechem.

— Zbądź wszelkich obaw, Praxitelesie; prosiłam cię o najpiękniejszą twą rzeźbę... daj mi Erosa!

Zrozumiał i śmiać się począł.

— Wygrałaś, Fryne — rzekł wesoło.

— Sam dzisiaj widziałeś, że nie zawsze ja wygrywam.

— Ze mną zawsze.

— Kto wie! Mam jeszcze drugą prośbę do ciebie. Nie odmów mi jej, błagam!

— Jaką prośbę? — zapytał skwapliwie.

— Nie odmówisz?

— Stanie się, cokolwiek zechcesz.

— Daj mi na to rękę, że Karionowi za to włos nie spadnie

z głowy, że mu jednego słowa marnego nie powiesz. Musisz mu przebaczyć, że cię wywiódł w pole za moją wolą i moją namową.

Praxiteles obrócił oczy na chłopca, który przy drzwiach stał jak na węglach rozżarzonych, a słysząc, iż mowa o nim, powieki spuścił i dygotał przejęty lękiem.

Rzeźbiarz patrzał nań przez chwilę, a potem ozwał się do Fryny:

— Przebaczam, skoro ty chcesz. Masz na to moje słowo. — I rękę jej podał, którą śliczna Fryne ścisnęła gorąco.

Niewolnik panu do nóg przypadł, uradowany i rozrzewniony. Praxiteles dłoń położył na głowie jego i rzekł dobrotliwie:

— Nie lękaj się, dziecko, słyszałeś co przyrzekłem!

Tymczasem zdumieni biesiadnicy, podniósłszy się od stołów, zdaleka stanęli półkolem słuchając i patrząc, acz mało kto z nich pojmował o co chodzi. Ale zdziwienie zdjęło ich największe, gdy Fryne zwróciła się do Kariona:

— Chłopcze, pamiętasz jaką ci obiecałam zapłatę za spełnienie mojego rozkazu. Ja zawsze dotrzymuję danej obietnicy; pójdź po nagrodę swoją.

Pod Karionem ugięły się kolana, jak gdyby szedł na śmierć. Chwiejnym krokiem postąpił naprzód, ognie i bladość naprzemian biły mu na twarz, a wzruszenie dech mu zatykało w gardle. Nieprzytomny był jak lunatyk.

Fryne podeszła ku niemu i wargi swe do pąka czerwonej róży podobne, wargi upojeniem tchnące, przesłodkie wargi swoje, przyłożyła do ust jego drżących.

Szmer stłumionych szeptów przeleciał przez aulę i znowu nastała cisza. Patrzącym zdało się, że chłopiec, tym pocałunkiem niby gromem rażony, padnie bez życia. Stał niemy, bez ruchu, bez oddechu; z pod przymrużonych powiek, z pod rzęs opuszczonych płynęły mu po licu dwie grube, ciche łzy.

Zbudził się, oprzytomniał, dopiero kiedy Praxiteles ręką dotknął jego ramienia i rzekł poważnym, stanowczym głosem:

— Fryne nie całuje niewolników... Karion jest wolny!

LUCYAN RYDEL.

Wiosna.

HYMN DO WIOSNY.

Więc przyszłaś z twoją promienną mocą
Radosną,
W dźwiękach co szepcą, skrach co się złocą,
Przez gwiazdy złote płynąca nocą,
O wiosno!

Więc przyszłaś pieśnią szumną po łanie
Szepcąca,
By dzień wywróżyć, co świtem wstanie,
By w dzwon uderzyć na zmartwychwstanie
Wśród słońca!

Przyszłaś, a z tobą lśniące promyki
I rosy,
W olszynie leśnej śpiewne słowiki
I sad kwitnący pełen muzyki
Stugłosej.

Przyszłaś, a z tobą w całym wszechbycie
Ta wola,
Co z skry najmniejszej rozradza życie,
Co sad rozsnuła w srebrnym błękicie
Na pola.

O leć! o biegnij w ludzką tęsknotę
I bole,
Rozhucz się w surmy rycerskie, złote
I syp twem ziarnem rodnem w martwotę
Na rolę.

O leć! o biegnij! na puste łany
Te śpiące —
I w chłodny ugór piersi spłakanej
Pszeniczny rzucaj siew pozłacany
I słońce!

O jakżeś wielka, o jakżeś święta
I śpiewna!
Duch ten potężny, co zrywa pęta,
W blaskach słonecznych cicho zaklęta
Królewna.

O jakżeś można zimą, co kona,
Bzami, co rosną,
Natchnień twych mocą, ciszą wśród łona —
Bądź powitana, bądź pozdrowiona,
O wiosno!

AKORDY WIOSENNE.

Zeszły się pośród pól —
Majowej wiosny trzy panny
I grają, śpiewają,
Hej! hej!

Jak próżnym ten ludzki ból
I tęsknot bieg nieustanny,
Jak lata mijają, hej! hej!
mijają...

Jak krótkie są żale człowiecze —
Jak wszystko, co przyjdzie, uciecze —
I przejdzie i wróci się znów,

Jak z runi tej śnieżnej, żałosnej
Kwiat wschodzi i idzie dzień wiosny
I pora wesela i snów. —

I próżno się serce osłania,
Z dawnego łzy płyną kochania,
A nowe promienią się sny —

I trzymać — daremna to praca,
Bo wszystko odbieży i wraca
I miłość i troska i łzy.

A kiedy jesieni wiew cichy
W grudź kwiatów porzuci kielichy,
Cóż listka żałować, co padł!

Znów wiosna w toń wejdzie błękitną,
Znów kwiaty z mogiły wykwitną,
Do jutra zapomni cię świat!

*

Odeszły już pośród pól —
Majowej wiosny trzy panny —
Ty wichrze za niemi pieśń wiej!...

Jak tęskny ten ludzki ból,
Jak ciężki ten bieg nieustanny,
Jak lata mijają hej! hej!
mijają. —

BALLADA O KRÓLU LECHU.

A kiedy Lech, a kiedy Lech
Spiżową zbroję kładł,
To z kwietnych pól i żółtych strzech
Słonecznych blasków złoty śmiech
Na piersi jego padł.

A kiedy Lech, a kiedy Lech
Na boje krwawe szedł,
To pobrzęk zbrój i poświst wiech
Długo się wodził pośród ech,
Aż wreszcie ginął het!

*

I wiódł tak hufce swoje król
Za sławy złotą gwiazdą,
Aż raz wśród boru w kręgu pól
Orlęce zoczył gniazdo —

I ręce swe jak w jasnym śnie
Wyciągnął w gniazda stronę
I krzyknął: Orły! ptaki me
Bywajcie pozdrowione!

Bo oto, aby spoczął lud
Na dolę! hej! na dolę,
Pod waszem gniazdem wzniosę gród
I wałem go okolę —

I wzniosę gród, by w wieków mgle
Me imię głosił krwawe,
Na sławę lećcie orły me,
Na sławę, hej! na sławę!

*

I gdy po latach wracał król
Od bojów posiwiały,
To już na zamku pośród pól
Wieżyce go witały.

To już mu w sławy dzwonił chór
Harfiarzy tłum podległy,
A orły białe mu się z gór
Na powitanie zbiegły.

Hej! orły moje, orły wy!
Ptaszęcy hufie biały,
Gdzie są te moce, co z was szły
I w piersi mojej grały?

Hej! poszedł miecz na szarą rdzę,
Już hufców nie powiodę,
Orły wy moje! ptaki me,
Gdzie moje lata młode!

*

Przeminął życia krwawy trud
I orlich wzlotów burze,
Hej! wojewódzki stary miód
Na pokój lejcie w kruże!

Przeminął sławy błysk, co dłań
Wznosiłem ducha dzielność,
I czemże bogom spłacę dań
I jak wnijść w nieśmiertelność!

I zeszły wodze dalą w krąg,
I lipiec piją źrały,
A tam ku gniazdom pośród łąk
Już orły uleciały.

A tam swój krwawy tłumiąc ból
I skargi swe bez końca,
Sam się jedyny został król
Tak o zachodzie słońca.

*

I usiadł Lech i spoczął Lech
I oczy ukrył w dłonie
I cisza była pośród ech
I jeno słońce z kmiecych strzech
W grzęzawisk biegło tonie.

I jeno gdzieś i jeno gdzieś
Nad ból królewski płonny,
Nad nowy gród i cichą wieś
Jaskółki małe grały pieśń,
Zaciszy świergot dzwonny.

SUSZA.

Świerszczów polnych, ubogich zebrała się rada
I gwarzy o promiennym, jasnym dniu bez końca,
Z brzozy ledwo przekwitłej biały listek spada
I leci cicho, sennie w złotą powódź słońca.

Żniwiarzowi przed domem staje troska blada
I w kosę rozgorzałą głuchym brzękiem trąca. —
Świerszczów polnych, ubogich zebrała się rada —
Ostatni listek upadł w złotą powódź słońca.

* * *

MIECZYSŁAW SMOLARSKI.

Kwiat milczał.

Ten kwiat, który mi dałeś, ten kochany kwiat
Położyłam na sercu i patrzyłam drżąca
Czy biel kwiatu nie spłonie od krwi mej gorąca...
I chciałam — by mą słodką tajemnicę zgadł...
...Chciałam — by się zróżowił miłości mej siłą —
Tobym ci go podała, szepcąc: „kwiecie, mów!“
...Serce tak mi szalenie, tak płomiennie biło,
Lecz kwiat biały pozostał... a ja nie mam słów...

MARYA ZNATOWICZÓWNA.

„Rafael“ Galeryi Czartoryskich.

Jeżeli *„libelli“ habent sua fata*, to z nie mniejszą racyą można to i o obrazach powiedzieć. Reputacya obrazów i to nawet dawnych mistrzów nie zawsze jest czemś ustalonem, przeciwnie podlega ona zmianom i fluktuacyi pod wpływem krytyki, mody nawet niemal. Krytyków i uczonych znawców, czy to prawdziwych czy niby-znawców jest teraz tak wiele, a tak gorączkowo pragną odznaczyć się oryginalnością, iż nic dziwnego, że mało obrazów uchronić się może od „nowych“ i „śmiałych“ teoryi, które się pojawiają co do ich wartości, znaczenia a przedewszystkiem co do kwestyi, jakiemu malarzowi przypisać ich autorstwo.

Zdawałoby się, że co do tej ostatniej kwestyi tradycya wiele znaczyćby powinna. Lecz tak nie jest. Przeciwnie stało się to prawie sportem „poprawiać“ n. p. Vasariego na każdym kroku, obrazy od setek lat przypisywane jednemu malarzowi „odbierać“ mu i oddawać innym mistrzom, „odkrywać“ nieznanych dotąd mistrzów, tworzyć nowe hipotezy i t. d. Szczególną opieką otoczyli przedewszystkiem krytycy niektórych wielkich mistrzów — wymieniam jako najbardziej charakterystyczne przykłady Leonarda da Vinci i Giorgiona, którym odbiera się obrazy dawniej im przypisywane jako niegodne ich pędzla, tak, że im niemal nic już nie pozostaje. Wywołać to musi i wywołuje reakcyę znów i przesadę w przeciwnym kierunku.

I Rafaela obrazy podlegają często kontrowersyom, o ile ich autorstwo nie jest dobitnie źródłami stwierdzone i tu mamy do czynienia z dziełami, które pod wpływem krytyki stały się enigmatami i problematami. Do tych problematycznych obrazów należy właśnie męzki portret Galeryi XX. Czartoryskich, którym się tu zajmujemy.

Czy mamy tu do czynienia z obrazem Rafaela, czy innego mistrza? oraz kogo ten obraz przedstawia? to są pytania, na które co chwila inną

otrzymujemy odpowiedź. Co do mnie zaznaczam z góry, że jestem w tem miłem położeniu, iż zgodnie z dawniejszą tradycyą, uważam portret ten za dzieło autentyczne i własnoręczne samego Rafaela.

Rafael, nad czem ubolewać należy, nie malował wiele portretów. Zbyt wiele miał zamówień innych. Liczne obrazy, religijnej treści a później w czasie rzymskiej jego działalności freski w Stanzach i Loggiach watykańskich, kartony do tkanin, pominąwszy już architektoniczne prace, absorbowały go do tego stopnia, że na portrety nie było czasu.

Z czasów pierwszej jego epoki „Peruginowskiej" portretów jego pędzla, zupełnie niezawodnych nie posiadamy wcale, choć można się domyślać, że niektóre prace portretowe wykonał. W czasie pobytu w Florencyi malował kilka portretów, z których najbardziej znane i źródłowo jako autentyczne stwierdzone są portrety pary małżonków Doni, znajdujące się w Galeryi Pitti. Jak wiadomo szczególnie portret Angela Doni należy do największych arcydzieł mistrza. Daje on nam najlepsze wyobrażenie o portretowej jego manierze w czasie epoki florenckiej, podobnie jak portret Castigliona (Luwr) i portret Kardynała (Prado) są obok portretów papieży Juliusza II. i Leona X. najcharakterystyczniejszemi okazami jego epoki portretowej rzymskiej. Po dojściu do wielkiej sławy w Rzymie mógł Rafael zapewne mieć nieskończoną ilość zamówień portretowych, lecz nie chciał ich przyjmować. Posługując się przy wykonaniu obrazów pomocą uczniów wolał zapewne przyjmować zamówienia na obrazy religijne, gdzie mógł się ograniczyć do dania rysunku lub kartonu a często całe wykonanie pozostawiał uczniom ograniczając się do poprawek przy ostatecznem wykończeniu obrazu. Dla łatwo zrozumiałych powodów było przy wykonywaniu portretów tak daleko idące współdziałanie uczniów niemożliwem. Wielką to było tedy „łaską" ze strony tak niesłychanie wielbionego mistrza, jeśli zdecydował się na wykonanie jakiego portretu w ostatnich latach swego życia. Chyba osobista przyjaźń lub znakomite stanowisko portretowanej osoby mogły być dostatecznym do tego motywem.

Jakkolwiek mało istnieje portretów Rafaela, styl jego portretowy jest przecież wybitny i indywidualny, choć znać w nim pewne wpływy obce w szczególności zaś wpływ Leonarda da Vinci, którego sławny portret Monny Lisy nie pozostał bez oddziałania wybitnego na manierę Rafaela. O ile jednak sam Rafael nie był wolnym w portrecie od naśladownictwa, o tyle jeszcze silniej wywołał naśladownictwo u innych.

Mamy tedy cały szereg malarzy i znaczną ilość portretów, w których uwydatnia się „styl" Rafaela pomimo, że nie są one niezawodnie pracami samego mistrza. Oczywiście jest rzeczą zrozumiałą, że w zbiorach publicznych i u właścicieli prywatnych chętnie się te portrety w stylu Rafaelowskim

przypisuje samemu mistrzowi. Stąd też ilość portretów ochrzconych mianem Rafaela jest znaczna, o wiele większa niezawodnie aniżeli Rafael istotnie wykonał. Dla zbadania, czy i o ile ze stanowiska artystycznego można je uważać choćby za prawdopodobne prace mistrza, należy je we wszystkich szczegółach porównywać z pracami niezawodnie autentycznemi i prawdziwie typowemi dla jego sztuki portretowej. Za takie prace w szczególności uważam portret Angela Doni dla epoki florenckiej, zaś portrety Castigliona i portret kardynała w Prado dla późniejszej epoki rzymskiej.

Owych portretów przypisywanych Rafaelowi, których autentyczność jest wątpliwa a nawet niezbyt prawdopodobna jest przynajmniej kilkanaście w rozmaitych zbiorach prywatnych i publicznych. Wymieniam tu kilka ważniejszych męzkich portretów dodając, że są to prace niezaprzeczenie cenne, przeważnie jednak nie zasługujące na to, by je uznać za twory samego mistrza, mimo że znać w nich wybitnie wpływ jego maniery. Są to mianowicie następujące portrety: Głowa młodzieńca w czapeczce na tle pejzażu w galeryi Hampton-Court w Anglii; dwa portrety w muzeum budapeszteńskiem mianowicie popiersie młodzieńca na tle pejzażu i portret mężczyzny z słabym zarostem brody z pejzażem przeglądającym przez okno; dwa portrety w muzeum w Montpellier we Francyi mianowicie głowa młodzieńca w czapeczce i głowa mężczyzny starszego z czarną brodą; podwójny portret męzki w Luwrze; portret kardynała ze skrawkiem pejzażu widzialnym przez okno w muzeum neapolitańskiem a wreszcie t. zw. „suonatore di violino" z dawnej galeryi Sciarra w Rzymie należący obecnie do zbioru Rothschild'ów w Paryżu.

Wszystkie te portrety męzkie, jakkolwiek przebija się w nich maniera portretowa Rafaela niesłusznie jak się zdaje, przypisywane są mistrzowi. Krytyka też nowoczesna sceptycznie się na nie zapatruje i przeważnie odmawia ich Rafaelowi. Co do kwestyi wszakże, jakim mistrzom te dzieła przypisać, należy przedewszystkiem odróżnić, czy one zbliżają się do wcześniejszej, florenckiej maniery mistrza, tej którą ma portret Angela Doni, czy też bardziej do późniejszej rzymskiej t. j. tej która cechuje portret Castigliona lub portret kardynała w muzeum Prado. Do pierwszej kategoryi należy z powyżej wymienionych portretów zaliczyć: portret młodzieńca w Hampton-Court, portret młodzieńca bez zarostu w muzeum budapeszteńskiem oraz portret młodzieńca w muzeum w Montpellier, podczas gdy wszystkie inne z wymienionych portretów należą do kategoryi drugiej.

Ową pierwszą kategoryę portretów quasi-rafaelowskich cechuje, żeby wymienić tylko cechy najcharakterystyczniejsze, pewna sztywność i nieśmiałość w pozie i ułożeniu rąk oraz koloryt trzymany w jaśniejszych i bledszych

tonach. Autorstwo tych portretów wcześniejszych zbliżonych do maniery Rafaela należy przypisać florentyńskim mistrzom na których Rafaela prace nie pozostały bez wpływu. W pierwszej linii nasuwa się tu nazwisko Domenica Ghirlandajo, który malował dość liczne portrety tego rodzaju. Prócz tego malował w podobny sposób Bugiardini i inni.

Co się tyczy kategoryi drugiej t. j. późniejszych portretów oznaczających się swobodniejszą pozą i kolorytem mniej przejrzystem o ciemniejszych cieniach przypisać można autorstwo bądź Sebastyanowi del Piombo bądź też któremuś z bezpośrednich uczniów Rafaela. Wiadomo, że uczniowie Rafaela szczególnie zaś Giulio Romano malowali liczne portrety w stylu mistrza i wykonywali repliki i kopie podług oryginałów mistrza alboteż wypracowywali szczegóły w obrazach przez niego skomponowanych i naszkicowanych.

Dla odróżnienia wreszcie, czy obraz jest Sebastyana del Piombo, czy Giulia Romana lub innego z uczniów bezpośrednich Rafaela należy główną uwagę zwrócić na koloryt. U Sebastyana bowiem, który nadzwyczaj zręcznie w portretach imitował manierę Rafaela i umiał nawet do pewnego stopnia przyswoić sobie właściwą mistrzowi wytworność pozy i wyrazu, przebija się przecież zawsze pewna pozostałość kolorytu weneckiego. Sebastyano bowiem, jak wiadomo, wyszedł ze szkoły weneckiej i dopiero w Rzymie przejął się naśladownictwem Rafaela a w religijnych obrazach także Michała Anioła. Pomimo tego wszakże zachował nieco kolorytu weneckiego i ma w obrazach tony ciepłe złotawo bronzowe w karnacyi, draperyach i krajobrazie, których niespotykamy u Rafaela i jego uczniów tworzących t. zw. szkołę rzymską.

Na pytanie teraz, komu przypisać owe obrazy późniejszej pseudo-rafaelowskiej maniery, o których poprzednio wspomniałem jestem skłonny następującą dać odpowiedź: Obraz peszteński mężczyzny z zarostem jest pędzla Sebastyana del Piombo (już nawet w Peszcie odstąpiono od nazywania go „Rafaelem“) a także prawdopodobnie należy Sebastyanowi przypisać t. zw. Suonatore di violino zbioru Rothschildów.[1]) Nie uważam wszakże za rzecz wręcz wykluczoną, że stosownie do dawnej tradycyi, obraz ten mógłby być przecież dziełem samego Rafaela.

Obraz mężczyzny z brodą w muzeum w Montpellier i portret podwójny

---

[1]) Dobra dawna kopia sławnego „skrzypka“ zbioru Rothschildów znajduje się w galeryi Corsinich we Florencyi. — Świeżo pojawił się w zbiorze p. Huldschinsky'ego w Berlinie portret męzki, który Bode przypisuje Rafaelowi. Jest to mężczyzna w średnim wieku z zarostem brody i czapką szeroką o nieco dziwnej formie, w głębi kotara i skrawek krajobrazu. Znając obraz tylko z reprodukcyi nie mogę mieć o nim stanowczego zdania, uważam jednak za prawdopodobne, że to jest także bardzo dobre dzieło Sebastyana del Piombo pod wpływem Rafaela.

w Luwrze są zdaniem mojem pędzla Giulia Romana, zaś kardynał w Neapolu repliką robioną przez któregoś z uczniów podług zaginionego oryginału albotеż szkicu Rafaela. Podobnemi replikami z ręki uczniów są także znajdujące się w Prado n. p. portrety oddzielne owych dwóch mężczyzn, którzy są złączeni w jednym obrazie w galeryi Doria w Rzymie (t. zw. Bartolus i Baldus) oraz Fedra Inghirami w Palazzo Pitti, który niesłusznie dotąd uchodzi za oryginał.

Portrety w manierze późniejszej Rafaela wykonane przez uczniów mają wady kolorytu, których nie ma w własnoręcznych pracach mistrza, nadto zaś, a odnosi się to głównie do oryginalnych prac Giulia Romana, nie mają one właściwej Rafaelowi wytworności pozy i wyrazu.

Lecz powróćmy do portretu galeryi Czartoryskich. Dokumentów stwierdzających autorstwo Rafaela lub przemawiających przeciw niemu o ile mi wiadomo, nie ma. Oprzeć tedy należy przekonanie w jednym lub w drugim kierunku na obserwacyi i dyagnozie samegoż dzieła. Dawniejsza opinia znawców i krytyków oświadczała się za autorstwem Rafaela, dziś przechyla się przeważnie w stronę przeciwną, przynajmniej u tych, którzy objawili swe zdanie publicznie w ostatnich czasach.

Obraz został nabyty ze zbiorów rodziny Giustinianich w Wenecyi w r. 1808 jako niezawodny oryginał Rafaela, za co tradycyjnie w rodzinie Giustinianich uchodził. Passavant w znanem swem dziele o Rafaelu nietylko uważa go za niezawodnego Rafaela, lecz nawet za autoportret mistrza i umieszcza go na czele dzieła. Ta supozycya jest niezawodnie mylną. Znamy bowiem twarz Rafaela zupełnie niewątpliwie. Podał nam ją sam mistrz w „Szkole ateńskiej“ w rogu z prawej strony razem z portretem pracującego wówczas także w Rzymie Antonia Bazzi zwanego Sodoma. Jest to ta sama twarz, co widzimy na portrecie w zbiorze Uffizzi, który to portret nie jest wprawdzie własnoręcznem dziełem Rafaela, ale niezawodnie wiernie twarz jego nam podaje. Otóż między tą twarzą a portretem galeryi Czartoryskich stanowczo nie ma podobieństwa ani w rysach ani w wyrazie, chyba tylko w ułożeniu głowy i wydłużeniu szyi, co jest jednak właściwością niemal wszystkich portretów należących do maniery Rafaela. Hipoteza autoportretu odpada tedy, lecz dawna tradycya przemawia za autorstwem mistrza, co wprawdzie z pewnością rozstrzygającem nie jest, lecz przecież momentem nie bez pewnego znaczenia.

Szereg jednak nowoczesnych znawców i krytyków odmawia dzieła tego Rafaelowi. Dla ocenienia, o ile zapatrywanie to jest słusznem należy przedewszystkiem zastanowić się nad kwestyą, do jakiej epoki rafaelowskich lub pseudo-rafaelowskich portretów należy zaliczyć tę pracę. W tym względzie wątpliwości mojem zdaniem mieć nie można. Portret ten, czy przez

Rafaela, czy przez któregoś z imitatorów malowany, powstał dopiero w czasie pobytu mistrza w Rzymie i to zapewne w ostatnich paru latach jego życia. Na to wskazuje przedewszystkiem poza nietylko nie skrępowana i nie nieśmiała jak we wczesnych obrazach, ale przeciwnie przechodząca raczej w pretensyonalną już prawie attitudę. Tak mógł upozorować model tylko rutynowany, przesadnie nawet może rutynowany portrecista. Niemniej też za późniejszą epoką przemawia koloryt obrazu.

Wobec tych okoliczności krytycy oświadczający się przeciw autorstwu Rafaela przypisują portret bądź Sebastyanowi del Piombo, bądź uważają za twórcę jednego z uczniów Rafaela a w pierwszej linii Giulia Romana.

Ta ostatnia hipoteza nie przekonuje mnie. Portret nasz wydaje mi się zbyt wyrafinowany i wytworny na dzieło Giulia Romana. Jest on zupełnie wolny od owych miedzianych tonów karnacyi, przesadnie ciemnych cieni i innych nieprzyjemnych właściwości malowania Giulia, w wyrazie zaś twarzy choć ma pozę trochę teatralną, to przecież o wiele więcej w nim subtelności i dystynkcyi, niż to bywa w portretach samoistnych Giulia.

Pozostaje tedy hipoteza, że to Sebastiano del Piombo i za tą opinią wielu się dziś oświadcza. Lecz i tu, mojem zdaniem, niema argumentów przekonywujących. Przeciwnie w obrazie nie widzimy wcale śladu nawet weneckiego kolorytu. Karnacya jest raczej różowa niż przechodząca w tony ciepłe śniado-weneckie. Biały zaś ton rękawów i sposób malowania ich przypominający mi żywo „donnę Velatę“ z Palazzo Pitti jest stanowczo raczej Rafaelowską manierą aniżeli mistrza, w którymby pozostało coś z techniki weneckiej. Zgoła zaś pejzaż przejrzysty i w tonach jasnych, srebrzystych trzymany ma inny charakter, niż to widzimy zwykle na tego rodzaju skrawkach pejzaży podanych nam na obrazach będących niezawodnie dziełami Sebastyana, jak n. p. portret kobiecy jako święta Dorota w Friedrichs-Museum w Berlinie, podobny portret kobiecy w zbiorze p. Saltinga w Londynie i t. d. W widokach tych widzimy pewne błyski światła i pewien niepokój, jakby coś burzliwego, właściwy często weneckim pejzażom a nieznany Rafaelowi.

Najwięcej „pokrewieństwa“ ma nasz obraz ze „skrzypkiem“ pałacu Sciarra a obecnie zbioru Rothschild'ów. Jeżeli jednak ten ostatni obraz jest istotnie Sebastyana del Piombo a nie Rafaela, to przecież konsekwencya nie wymaga koniecznie z tego konkluzyi tejsamej także co do obrazu krakowskiego, koloryt bowiem „skrzypka“ ma raczej charakter prac Sebastyana aniżeli koloryt naszego obrazu. Co się tyczy zresztą „skrzypka“ to, jak wiadomo, w „odebraniu“ go Rafaelowi a przyznaniu Sebastyanowi odegrał pewną rolę argument, że ma on kołnierz futrzany nieco zbliżony do tego futra, które widzimy na portrecie kobiecym w Trybunie w Uffizzi, zwanym dawniej „Fornariną“

i przypisywanym Rafaelowi, a obecnie słusznie oddanym Sebastyanowi. Otóż i co do portretu Czartoryskich utrzymują, że futro zarzucone na plecy przemawia za autorstwem Sebastyana.

Dla mnie ten argument „futra“ nie istnieje wcale. Dlaczegożby Rafael nie mógł malować futra na portrecie i miało to być jakoby tylko przywilejem Sebastyana del Piombo? Argument, że futro na portrecie wyklucza prawdopodobieństwo autorstwa Rafaela jest o tyle śmieszniejszym, że wszakżeż na innych obrazach mistrza własnoręcznych, lub wykonanych pod jego kierownictwem przez uczniów widzimy „futro“; n. p. ma je św. Jan dziecięcy na „Madonna dell' impannata“ i podobnież św. Jan na obrazie w Uffizzi, przedstawiającym nam tylko tę jedną postać i podobny nieco św. Jan w Luwrze, dzieła nie własnoręczne wprawdzie, lecz wyszłe prawdopodobnie z pracowni mistrza. T. zw. dawniej „Fornarina“ z Trybuny w Uffizzi, nie dlatego nie jest Rafaela, że ma futro, lecz dlatego, że twarz jej żywo przypomina twarze i typy Sebastyana n. p. sławny obraz z grupą pięknych kobiet znajdujący się w głównym ołtarzu kościoła S. Chrisostomo w Wenecyi. Zbliżoną wybitnie do tego typu jest także t. zw. św. Dorota muzeum berlińskiego, mająca także podobne futro jak t. zw. „Fornarina“. Futro „skrzypka“ jest już nieco odmienne od futra owych dwóch wymienionych kobiecych obrazów, więc samo przez się nie stanowiłoby rozstrzygającego argumentu za Sebastyanem. Z jeszcze mniejszą racyą można się powoływać na futro portretu Czartoryskich, które w kolorze i technice nie ma żadnego podobieństwa do „rysich“ kołnierzy owych dwóch kobiecych portretów Sebastyana.

Nie mogę się tedy nigdzie doszukać dostatecznych powodów do „odebrania“ portretu krakowskiego Rafaelowi, a ponieważ obraz jest w technice i układzie godny samegoż mistrza, więc skłaniam się do dawnej tradycyi i uważam go za oryginalne dzieło samegoż Rafaela i to własnoręcznie przez mistrza dokonane. Jeżeli pewne usterki w wykonaniu rażą, to nie jest to rozstrzygającem, gdyż portret ten widocznie nie jest dokończony. Świadczy o tem tło obrazu, które oczywiście jest tylko podmalowane, gdyż na takiem jasnem, a zarazem plamistem tle nigdy wówczas nie malowano portretów, nie byłby więc takiego tła ani Rafael ani Sebastyano del Piombo zostawił w wykończonym obrazie. Dochodzę tedy do rezultatu, że mamy tu do czynienia prawdopodobnie z dziełem samego mistrza, które nie stoi wprawdzie na wyżynie portretów Castigliona lub kardynała madryckiego, lecz jest pracą niezmiernie interesującą i ogromnej artystycznej wartości. Okoliczność, że obraz nie jest skończony prawie podnosi jeszcze artystyczny interes, bo daje nam wskazówkę co do techniki malarza.

Nadto i to podnieść trzeba, że obraz jest w doskonałym stanie, wolny

od przemalowań i poprawek, które n. p. tak bardzo obniżają wartość monachijskiego, autentycznego zresztą portretu Rafaela t. zw. Bindo Altoviti.

Wreszcie jeszcze kilka słów o kwestyi kogo portret przedstawia? Niestety, tu do pozytywnego rezultatu a nawet prawdopodobieństwa dojść nie można. Hipoteza, że to własny portret mistrza, jak już wspomniałem, odpada.

Inna tradycya dawniej bardzo rozpowszechniona przemawia za tem, że portret Czartoryskich i owa piękna, młodzieńcza postać o długich włosach, i białej szacie w „Szkole ateńskiej“ przedstawiają nam Franciszka Maryę della Rovere, księcia Urbino w młodym wieku. Twarz owego księcia, który ważną, lecz niesympatyczną rolę odegrał w historyi Włoch znaną nam jest z portretu Tycyana w Uffizzii statuy portretowej w dziedzińcu pałacu dożów w Wenecyi. Tu i tam jest książę przedstawiony już w późniejszym wieku z brodą. Na portrecie Tycyana ma krucze włosy, podczas gdy młodzieniec Czartoryskich ma włosy ciemno-blond przechodzące w ton rudawy. Ta ostatnia okoliczność nie byłaby wszakże roztrzygającą, bo kruczy kolor włosów i broda starego księcia Urbinu na portrecie Tycyana zapewne nie jest naturalnym kolorem włosów, lecz produktem czernidła. Ważniejszem natomiast i wręcz rozstrzygającym momentem przeciw tradycyi, że modelem młodzieńca ze Szkoły ateńskiej i portretu muzeum Czartoryskich był Francesco Maria della Rovere, jest to, że wiek księcia z tem się nie zgadza. Był on bowiem już kapitanem oddziału wojsk papieskich w czasie, gdy Rafael malował Szkołę ateńską. Jeżeli zaś przypuścimy, że portret zbioru Czartoryskich powstało parę lat później, to jednak w tym czasie musiał książę Urbinu być o jakich dziesięć lat starszym, aniżeli jest przypuszczalnym wiek modelu przedstawionego nam na portrecie. Jakkolwiek wyraz twarzy na krakowskim portrecie, nieco obleśny i fałszywy jest mniej sympatycznym niż piękna twarz ze Szkoły ateńskiej, to jednak nie jest wykluczonem, że jest to istotnie ten sam model tylko starszy o lat parę na portrecie krakowskim. Z portretem jednak księcia Urbinu nie mamy tu z pewnością do czynienia.

Wogóle więc jeżeli nowych źródeł jakiś traf szczęśliwy nam nie odkryje, musimy obie te artystycznie tak interesujące postacie uważać za bezimienne.

LEON PINIŃSKI.

O monologu w dramacie.

I.

Dociekania lub roztrząsania estetyczne są u nas zjawiskiem nieczęstem i mało budzą zajęcia. Zupełnie prawie odłogiem leży teorya dramatu. Puszczony samopas wiedzie on żywot dzikiej płonki leśnej, nikły i bezpłodny. Wschodzące raz w raz na jego widnokręgu, rozgłośnie obwieszczane gwiazdy odrodzenia gasną, zanim miały czas w pełni rozbłysnąć, a po krótkotrwałej wrzawie dziennikarskiej i wielkich słów szumie znowu głucha zapada cisza. Nie płoszy jej sennego spokoju bezustannie powtarzane hasło o zbyteczności szukania praw lub dróg twórczości i o samowładztwie prawodawczem geniuszu.

W zastosowaniu, które zwykle miewa, jest to hasło fałszywe. Geniusz sztuce praw nie narzuca. Jest on tylko ich szczęśliwym odkrywcą i świetnym wykonawcą. Biada mu, jeśli ich nie uznaje. Na swem własnem dziele niechybną odniesie karę. To też geniusz prawdziwy nietylko ich lekce nie ceni, lecz owszem z nieugiętą zawziętością łamie się z przeszkodami, by do nich dotrzeć. Tylko mierne lub zwichnięte talenty usiłują nagiąć sztukę do swych upodobań.

Jeśli zatem nie można niewolić twórcy w imię skostniałych i zużytych teoryi, to nie wolno i jemu zrywać bez potrzeby z uzasadnioną tradycyą. Dlatego potrzebna jest teorya żywa i nieustannie odradzająca się. Najmniej może ona być zbędną sztuce dramatycznej, skomplikowanej i wszechstronnej, jak żadna, zwracającej się nadto do najszerszych warstw, ulegającej przeto najłatwiej szkodliwemu wpływowi gminnych upodobań. To też rozkwit dramatu wyprzedzała zawsze energiczna praca rewizyjna, a towarzyszył mu świetny i bogaty w wy-

niki rozwój teoryi. Jedynie bowiem rzetelna praca wiedzie do nowych wyników, a unikać jej nie wolno. Najplenniejsze ziarno, rzucone na glebę niesprawioną wypuści kłos czczy i wątły, zgłuszony chwastem i kąkolem.

Do przeżytków w dramacie zalicza się obecnie powszechnie i monolog. Czy jest on nim istotnie, czy też jest raczej ważnym i żywotnym czynnikiem ustroju dramatycznego, to pytanie zdaje nam się być godnem zastanowienia [1]).

II.

Dążności szkoły naturalistycznej i pokrewne im prądy w dramacie zwrócić się musiały z konieczności przeciw monologowi. Jak to się bowiem często zdarza, policzono wszelkie wypaczenia, wynikłe głównie z niezrozumienia jego istoty, za grzechy zasadnicze i wady organiczne samego monologu. W imię zasady, iż sztuka ma być wiernem odbiciem rzeczywistości wypowiedziano monologowi miejsce w nowoczesnym dramacie, szczególnie w realistycznym. Człowiek, powiadano, nie myśli przecież głośno, nie rozmawia z samym sobą, a to, co przeżuwa w myśli, odbywa się z błyskawiczną szybkością, przyczem jego rozważania postacią swą nie są zgoła podobne do monologów, gdyż nie są ujęte w słowa, tem mniej zaś w zdania o dokładności, jasności i wykończeniu monologu. Dlatego to wykracza monolog przeciw zasadzie wierności w oddawaniu rzeczywistości. Nadto zaś monolog wcale nie jest potrzebny, a tem mniej niezbędny w ustroju nowoczesnego dramatu, gdyż wydoskonalona nowoczesna technika dramatyczna umie posługiwać się dyalogiem w celach, dla których dawniej służył monolog, szczególnie w celu uzewnętrzniania wszelkich przemian odbywających się w duszy [2]).

Jak widzimy prócz niezupełnie usprawiedliwionej pewności siebie i widocznego przeceniania nowoczesnej techniki dramaturgicznej mamy tu do czynienia przedewszystkiem z zasadniczą pomyłką w pojęciach. Wierne odbicie zewnętrznej strony rzeczywistości uchodzi za jedyny wyraz prawdy, którym ono bynajmniej nie jest, znajdując się z nią nieraz wprost w sprzeczności [3]).

---

[1]) Treść następujących wywodów odpowiada przeważnie ustępowi: „Der Monolog" (VI. 3.) w dziele mem: „Gerhart Hauptmanns Naturalismus und das Drama, (Beitr. z Aesth. tom XI, Leop. Voss Hamburg i Lipsk 1908").

[2]) Tak między innymi Alfred Kerr: „Das neue Drama", 5, Fischer, Berlin 1906. str. 296.

[3]) Co do tej rzeczy por. wyż przytoczone dzieło moje, szczególnie rozdz. II, VII i IX. Powrócimy do niej nadto w osobnem studyum.

I tak zupełnie n. p. obojętnem winno być pytanie co do przeciągu czasu, w którym się myśli lub uczucia w duszy rodzą i przez nią przewijają. Jak w ogóle przy jakiemkolwiekbądź doznaniu życiowem [1]), tak i przy doznaniach, które ze sceny na nas spływają jest upływ czasu rzeczą obojętną i względną. I we śnie widziane obrazy i miraże zdarzeń które błyskawicznie przez duszę przechodzą, zdają nam się trwać znacznie dłużej. W ciągu niewielu minut snu przeżywamy godziny, dnie, lub nawet lata, a ta szybkość przebiegu nie powoduje żadnego wypaczenia doznań. Podobnie przeżywamy jako widzowie w teatrze lub jako czytelnicy książki dzieje lat w kilku godzinach. Cóż to szkodzi? Czemuż zatem miałoby szkodzić, gdyby odwrotnie przebieg jakiegoś zdarzenia był na scenie wyjątkowo powolniejszym od jego przebiegu w rzeczywistości i trwał istotnie nieco dłużej? Czy nie wystarczy złudzenie, że oba są równe?

Niemniej obojętnem winno być, czy człowiek sam na sam istotnie głośno myśli, czy nie. Wszak bez pewnej fikcyi i konwenansu nie moglibyśmy w ogóle być świadkami zdarzeń odbywających się na scenie. Jeśli nam wolno patrzeć i słyszeć, jak Juliusz Cezar mówi z Kasyuszem, lub Floryan Geyer z rycerzem Grumbachem, czyż nie jest śmiesznem, bronić nam słuchania tego, co każdy z nich w duszy może słyszeć, gdy się znajduje sam na sam? Prawda, że aby nam to umożliwić musi on mówić głośno. Wszelako ustępstwo to, jak się poniżej okaże, małe bardzo, nie da się porównać z fikcyą, której potrzeba abyśmy w ogóle sobie wyobrazili, że jakaś osoba całymi wiekami i krajami od nas oddzielona stoi żywcem przed nami i że my ją w jej czynach i słowach dawno minionych podpatrujemy.

Że jednak wogóle takiej fikcyi nie potrzeba, że przytoczone zarzuty są nieuzasadnione, — o tem przekona nas poniższa analiza.

III.

Myślenie w ścisłem znaczeniu, t. j. pojęciowe, świadome zastanawianie się, odbywa się w normalnych warunkach i u człowieka władającego jakimkolwiek językiem zawsze przy pomocy mowy, czyli słów i ich odpowiedników psychicznych. Pojęcie i słowo jako jego symbol, myśl i mowa nie są wprawdzie identyczne, są jednak ściśle i niero-

[1]) „Doznanie życiowe", wyrażenie to chciałbym wprowadzić w miejsce innych używanych w celu oddania terminu niemieckiej psychologii „Erlebnis", szczególnie zamiast całkiem błędnego wyrażenia „przeżycie".

zerwalnie ze sobą spojone. A to tak dalece, że niemożność przyswojenia sobie jednego przynajmniej języka powoduje zastój rozwoju umysłowego i zakreśla zdolności myślenia pewne, nieprzekraczalne granice. Widzimy to u tych głuchoniemych, którym zapomocą najnowszych metod wykształcenia nie umożliwiono zapoznania się mimo ich ułomności z jakimkolwiek językiem i zrozumienie przez to myśli zawartej w słowach.

Istnieje wprawdzie intuicyjne myślenie n. p. namysł w toku trudniejszego rękoczynu, tak jak istnieje hypologiczne myślenie głuchoniemych dzieci, lub zwierząt. Wypadki te atoli, jak i inne jeszcze nie mają z naszą sprawą nic wspólnego. Nas tu zajmuje owo wspomniane wyżej powszechne myślenie rozwiniętego człowieka przy pomocy mowy. Ma ono różne postacie. I tak może to być niejako mowa skrócona, niewykończona, urywana, przebiegająca od pojęcia do pojęcia, od obrazu do obrazu. Już tu z przesuwającej się po naszej świadomości mgły słów wypływają niektóre na powierzchnię z cielesną niejako, dosłyszalną wyrazistością. Już w tym przeto, najniekorzystniejszym wypadku można je utrwalić w monologu.

Potrzeba tylko aby słowa słyszane w duszy rzeczywiście rozbrzmiały tak, aby je słyszały i inne osoby. Ustępstwo to jest, jak powiedzieliśmy niewielkie, tem mniejsze, że głośne wypowiadanie swych myśli czy słów niektórych nie należy wcale do takich rzadkości, jak przypuszczają przeciwnicy monologu. Owszem, mówimy głośno, kiedy jesteśmy sami z sobą, mówimy nawet dość często.

Ma to, rozumie się, swoją naturalną przyczynę, nad którą wypadnie nam się zastanowić, gdyż poznanie jej przyczyni się znakomicie do poznania warunków, wśród których monolog wewnętrzny staje się głośnym. Oto wyraz każdy, jak wszystko w ogóle, z chwilą gdy się nam nasunie na myśl, jest w istocie wyobrażony. Wyobrażenie zaś odbywa się zapomocą pewnego rodzaju wewnętrznego wymówienia. Wymówienie to wewnętrzne jest raczej szczątkowe, powstrzymane w naturalnym swym pochodzie rozwojowym, tak że nie stało się wymówieniem rzeczywistem i pełnem. Fizyologicznie odpowiada takiemu wewnętrznemu wymówieniu słowa zapewne tylko niepełna innerwacya narządów mowy, przy równoczesnej innerwacyi narządów słuchowych i przesłaniu powstałego tak obrazu słuchowego do mózgu bez pomocy dokonanego istotnie wymówienia i odpowiadającego mu brzmienia. Stąd obraz owego słowa jest słaby i blady, ale obraz ten bezwątpienia istnieje i nie możemy inaczej słowa pomyśleć, jak słysząc je w duszy mniej lub więcej wyraźnie.

Aby zaś wyraz został rzeczywiście wymówiony potrzeba tylko pewnego silniejszego natężenia woli, popędu skierowanego umyślnie ku *wykonaniu* pomyślanego wymówienia. Innerwacya narządów mowy będzie wówczas tak silną, iż one, posłuszne impulsowi wykonają odpowiednie ruchy i *słowo zabrzmi* rzeczywiście dosłyszalnie tak dla nas jak i dla drugich. Rzecz jednak, co najciekawsze, nie na tem się kończy. Należy przypuścić, że już ów popęd woli, którego wynikiem jest pomyślenie słowa, wystarczałby aby ono zostało istotnie wymówione, t. j., że z pomyśleniem słowa byłoby z konieczności połączone jego wymówienie, gdyby nie pewne *czynniki hamujące*, gdyby nie popędy woli skierowane wprost ku zdławieniu słowa przed jego narodzinami, czyli, gdybyśmy sobie niejako nie *nakazywali myśleć* cicho. Że tak jest, poucza obserwacya pewnych zjawisk znamiennych, a codziennych. Dziecko, ludzie prostsi, o cięższej ruchliwości myśli, powtarzają półgłosem rozkaz, polecenie, postanowienie, nawet wiadomość lub wyjaśnienie, chcąc je lepiej utrwalić w duszy, lub w ogóle tylko objąć rozumem, apercypować. Uczący się czytać, lub uczący się obcego języka wymawia głośno, lub półgłosem wyraz po wyrazie. Tak samo pisząc cokolwiek n. p. list, człowiek o niewyrobionej technice myślenia lub niższej organizacyi umysłowej dyktuje sobie półgłosem słowa, które ma napisać. Człowiek prosty *nie czyta* w ogóle niczego *bez poruszania wargami przynajmniej*, najczęściej czyta głośno. Obserwując bawiące się dzieci, spostrzeżemy, że zawsze marzą głośno.

I człowiek pierwotny musiał swe proste myśli wypowiadać głośno. Myślenie ciche jest więc prawdopodobnie nabytkiem późniejszym, wynikiem osiągniętego z dalszym rozwojem panowania nad sobą, wytworem umyślnie ku temu skierowanej woli, mającej zapewne swe główne źródło w ekonomii energii życiowej. Że zaś nie mamy świadomości tego procesu, to pochodzi, rzecz jasna, z jego automatycznego przebiegu, będącego wynikiem wprawy, która w ogóle wszelkie ruchy dowolne i świadome przemienia powoli w mimowolne i nieświadome. Zachodzi tu więc ciekawe, ale powszednie zjawisko, że to, co uważamy za coś naturalnego, jest w istocie wytworem sztucznym. *Przyrodzone, pierwotne myślenie jest głośne, kultura dopiero nauczyła nas myśleć cicho, t. j. w duszy.*

Łatwo zrozumieć, że wśród takich warunków w chwilach wzburzenia, podniecenia, zatopienia się w myślach lub nagłego ich zjawienia się popęd powstrzymujący wymówienie wyrazu może być słabszy, lub raczej, że aparat automatyczny, hamujący wymówienie, może słabiej

funkcyonować, natomiast zaś siła, z jaką pewne wyrazy narzucają się myśli, może być większą niż zwykle. Człowiek „zapomina się", jak to trafnie bardzo określa ludowa psychologia, wyrazy „wyrywają się mimowoli" i bywają głośno wymówione. I oto podrażniony lub zamyślony człowiek wykrzyknie: „Dobrze mi tak!" lub: „Znakomicie! tak być musi! tak trzeba będzie zrobić! koniec! tegom się spodziewał! naturalnie..." i t. p. Życie codzienne pełne jest takich wykrzyknień zwracających się często przeciw komuś. Np: „ja go nauczę! to łotr".

Zapamiętajmy sobie to stwierdzenie i wróćmy jeszcze do myśli samej. Nie zawsze myśl przebiega tylko po pewnych silniej się jej narzucających wyrazach. Jest ona czasem co do formy swej pełną, całkowitą mową. Są ludzie, a szczególnie ludzie oddający się chętnie rozmyślaniom, których myśli mają często postać zupełnie wykończonych zdań, ich logiczną, poetyczną i retoryczną szatę ze wszystkiemi ich urozmaiceniami, paradoksami, wykrzyknieniami, pytaniami i całą ich dosadnością. Od zdań rzeczywistych różnią się tylko tem jednem, że nie są wygłoszone lub spisane. Różnica ta rozumie się znika skoro opisany powyżej aparat hamujący z jakichkolwiek przyczyn nie jest czynnym.

Są w końcu wypadki, a te są dla nas najważniejsze, w których myślenie odbywa się nietylko przy pomocy poszczególnych słów, lub też całych zdań, lecz przy pomocy formalnej rozmowy lub rozprawy. Rozprawiamy albo z sobą, albo z kimś nieobecnym, ale wyobrażonym. Dzieje się to w chwilach wewnętrznej rozterki, w chwilach wahającej się woli, tj. walki sprzecznych popędów woli, szczególnie przed działaniem lub po niem.

Proces psychiczny, który się przytem odbywa jest ze wszechmiar ciekawy. Jaźń nasza, która tylko w wypadkowej, w sumie współdziałania cząstkowych świadomości przedstawia się jako jednolita całość, okazuje się tu, jak światło przepuszczone przez pryzmat, w pierwotnem swem rozszczepieniu. Różne, i po części sprzeczne popędy woli, opanowują po kolei świadomość i stają się chwilowo przedstawicielami wspólnej woli i wspólnej świadomości. Rozprawa tych różnych popędów jest jakby rozprawą różnych osób, przyczem tylko ponad wszystkiem góruje świadomość, że poza temi różnemi maskami niejako kryje się jedna i ta sama osoba.

Zazwyczaj kierowniczy popęd woli zmierza przedewszystkiem do wyświetlania jakiejś sprawy, do uzyskania jakiegokolwiekbądź postanowienia. Popęd ten z całością swych skojarzeń tworzy na chwilę wolę wyodrębniającego się w tym właśnie celu cząstkowego „Ja", żądając

od drugiej części powzięcia postanowienia. Już tu więc występują jakoby dwie osoby, nakazująca i słuchająca rozkazu. Na to hasło jednak występują do walnej rozprawy właściwie sprzeczne popędy woli, opanowując kolejno jaźń wspólną, stając się podmiotem uczuć i myśli, słowem występując jako „Ja“ i walcząc z przeciwnem mu drugiem „Ja“.

Przykład to objaśni. Wyobraźmy sobie człowieka, w którego duszy kiełkuje zamiar popełnienia czynu Makbetowskiego. Nadeszła chwila stanowcza przed rozpoczęciem działania. On waha się jeszcze. Następuje więc rozprawa różnych popędów woli schematycznie tak mniej więcej się przedstawiająca.

Impuls pierwszy, czyli wola zdążająca do uzyskania postanowienia wyraża się w słowach:

„Nadeszła pora, musisz (ty!) powziąć ostateczne postanowienie“, lub: „musimy (t. j. ty i ja) powziąć postanowienie!“

Na to następuje rozprawa antagonistycznych popędów:

„Tak, niech stanie się! Uprzątnę go i moim tron będzie!“

„Strzeż się! Krew niewinną przelejesz!“

„Takie rzeczy mnie nie strwożą. — Tron uzyskam“.

„Krew niewinna zwróci się przeciw tobie“.

„Zawsześ był tchórzem, nie umiałeś nigdy korzystać z chwili“.

„A jednak rzecz to ohydna zabić go pełnego wiary w ciebie“...

Jak widzimy, każdy z sprzecznych popędów przemawia w pierwszej osobie, objektywując popęd przeciwny, jako osobę drugą i przemawiając do niej, jako do takiej.

Czasem objektywacya zdaje się nie być zupełną, a raczej świadomość wspólna tak góruje nad cząstkowemi, że nie pozwala sprzecznym popędom woli przemawiać w własnem imieniu i do drugiej niejako osoby, lecz przemawia zawsze sama, przyjmując jednak po kolei zastępstwo każdego z popędów. Powyższy schemat rozprawy będzie wtedy tak mniej więcej wyglądał:

„Nadeszła pora, muszę (ja!) powziąć ostateczne postanowienie!“

„Tak, niech się stanie! Uprzątnę go i tron moim będzie!“

„Lecz krew niewinną przeleję!“

„Głupstwo. Takie rzeczy nie trwożą mnie. Tron uzyskam“.

„Lecz czy uzyskam? Czy krew przelana przeciw mnie się nie zwróci?“

„To właśnie, zawsze byłem tchórzem. Nigdy nie umiałem korzystać z chwili!“

„A jednak rzecz to ohydna“.

„On mi tak ufa...“

Rozprawa ta, jak widzimy, treścią zupełnie odpowiada poprzedniej, ale tu osoba zdaje się już nie być rozczepioną na dwie lub więcej, lecz zmienia natomiast kolejno swą wolę i swe myśli, przyczem sprzeczne zdania, jakkolwiek się wzajemnie uzupełniają i wzajemnie sobie dają odpowiedź, mają formę jednostronnych zwierzeń. Więc też i charakter rozprawy jest zatarty, okoliczność, która się wielce przyczynia do zapoznawania istoty monologu.

W obu tych postaciach rozprawy cząstkowych jaźni monolog pojawia się często i to nawet w życiu codziennem, w chwilach, kiedy zastanawiamy się nad tem, co postanowić, co przedsięwziąć lub uczynić, kiedy chcemy niepewne postanowienie wzmocnić w sobie, lub ochronić przed naruszeniem go. Podobnie też po działaniu, kiedy rozważamy, czyśmy dobrze postąpili, kiedy nas nawiedza żal po czynie, lub kiedy wogóle chcemy się w jakiemkolwiek nowopowstałem położeniu rozeznać, lub w końcu z naszem sumieniem rozprawić.

Odmienny nieco sposób rozprawiania z kimś, mimo, że się jest samotnym polega na tem: oto zwracamy się *nie do siebie samych, lecz do kogoś poza sobą*, a więc do osoby nieobecnej, lub nieżyjącej, czasem do osoby nieistniejącej wcale, do przedmiotu jakiegoś lub pojęcia, szczególniej do potęg władających nami lub światem, a więc do przeznaczenia, bóstwa. We wszystkich tych wypadkach rozprawa jest raczej jednostronnem przemawianiem, nie zaś rozmową. Już to wzywamy pomocy czyjejś, błagamy, zaklinamy kogoś, już to wyzywamy go do walki, grozimy mu, przeklinamy go. W retoryce nazywamy to apostrofą.

Jakiż jest moment wspólności i różnicy wyżej przedstawionej rozmowy z sobą samym, i tego przemawiania do wyobrażonej istoty. Oto tu i tam mamy do czynienia z *wielością sił*, czy to wprost sprzecznych, czy też przynajmniej różnych, czy to walczących z sobą, czy też sprzęgających się do wspólnej akcyi. W każdym więc razie zachodzi *oddziaływanie różnych podmiotów na siebie* lub jednego na drugi. W pierwszym jednak wypadku wielość podmiotów stworzoną została przez rozczepienie osobistości jednej na dwie lub więcej. W drugim zaś wypadku osobistość ta stwarza sobie z czegoś poza sobą lub przywoływa na pamięć istotę, którą sobie przeciwstawia i to zawsze jako obcą.

Czynnik wspólności jest dla nas ważniejszym. Mieści się w nim moment oddziaływania, moment dramatyczny. W wypadku pierwszym jest on widocznym. Sprzeczne popędy staczają formalną walkę z sobą. Ale i w drugim wypadku mamy coś podobnego. Jeśli ja grożę nieo-

becnej, czy też stworzonej przezemnie istocie, wyzywam ją do walki, to w rzeczywistości już walkę z nią staczam, bo poczęcie walki w myśli jest też jej rzeczywistym początkiem. Jeśli w myśli kogoś błagam, zaklinam, przekonywam, jeśli modlę się do bóstwa, wzywam potęgi jakiejś, to tem samem już rozpoczynam pewne działanie, bo umacniam się w pewnem dążeniu, lub postanowieniu, zachęcam, zagrzewam się do czynu. Znów bowiem zaklęcie pomocy jest jej wyobrażeniem, a wyobrażenie jest wzmocnieniem. Jeśli w końcu zwracam się wogóle do kogoś w myśli, to dla mnie w tej chwili jest to równoznacznem z prawdziwem przemawianiem, a więc o d d z i a ł y w a n i e m. Jeśli wołam: „Teraz sprzyjaj mi, fortuno!“ to bez względu na to, czy ona istnieje, czy nie, czy ona słyszy moje zaklęcie, czy też nie, dla mnie, dla mego subjektywnego uczucia owo wezwanie nastąpiło, począłem więc działanie. Mogę potem cofnąć się, zawrócić z drogi — zawsze jednak bez względu na to, czy w niem wytrwam, działanie było rozpoczęte.

Nie potrzeba podnosić, że jak myślenie przy pomocy wytycznych słów, lub myślenie skończonemi zdaniami, tak i rozmawianie w myśli ze sobą, lub z kimś po za nami może się odbywać głośno przez rzeczywiste mówienie. I w życiu codziennem jest ono częstszem, niżby się to zdawać mogło. Monologi nasze wszelkiego rodzaju uchodzą powszechnej uwagi nietylko dlatego, że najczęściej są krótkie i urywane, lecz i dlatego, że się z nimi kryjemy. Przymus tajenia myśli i uczuć przed obcem okiem stworzyłby rozprawę wewnętrzną, cichą, gdyby nawet ekonomia energii nie była stworzyła cichego myślenia. P i e r w s z y m w i ę c w a r u n k i e m g ł o ś n e g o m o n o l o g u j e s t s a m o t n o ś ć. Jest to warunek zewnętrzny, niemniej jednak zasadniczy. Samotność bowiem rodzi w nas owo uczucie wyzwolenia z pod przymusu panowania nad myślami naszemi, które im nadaje śmiałość, stanowczość i rozmach i polot. Podobnie jak z cieczy przesyconej gazem z chwilą zmniejszonego ciśnienia gaz na wierzch się dobywa w bańkach niezliczonych, tak z duszy naszej dobywają się tłumione myśli i słowa po odjęciu od nas na chwilę przymusu społecznego. Tylko człowiek bezmyślny i płytki nie doznaje nigdy tego uczucia ulgi, którem nas darzy samotność. Jeśli jednak już w normalnych warunkach częstokroć go się doznaje, o ile bardziej i częściej doznawać go musi człowiek wpleciony w tryby akcyi dramatycznej, człowiek, o którego los i istnienie toczy się zacięta walka. Ten moment p o c z u c i a w y z w o l e n i a w s a m o t n o ś c i jest ważny. Znają go poeci i dramaturgowie i umieją go oce-

nic. I Hamlet i Faust i Konrad dają mu wyraz. Stanowi on warunek zewnętrzny, lecz nieodzowny monologu.

Wewnętrzne przyczyny głośnego mówienia w samotności, któreśmy poznali powyżej, dadzą się ująć w dwie grupy. Pozytywną t. j. potrzebę mówienia, a więc potrzebę skupienia się przed czynem, rozterkę itd. Negatywną, t. j. zawieszenie czynności aparatu hamującego z jakiejkolwiek przyczyny. Zwykle kombinują i uzupełniają się obie grupy wzajemnie. Jedno sprowadza drugie. Potrzeba mówienia, rozterka wewnętrzna idzie w parze z rozdrażnieniem.

Do przykładów schematycznych danych powyżej dodajemy jeszcze jeden wzięty z życia codziennego. Podczas mych studyów nad monologiem podsłuchałem przypadkiem monolog młodzieńca, który widocznie nie był zadowolonym ze siebie i ze świata, gdyż klął zawzięcie na wszystko, co mu tylko przyszło na myśl. W tem przerywa nagle potok złorzeczeń, by wykrzyknąć: „Niema rady, muszę się zastrzelić, nie mogę się tak uczyć bezustannie“.

Monolog to krótki i jeden z tych codziennych, mało ważnych, o których wspominaliśmy. Jest on jednak pouczającym. Przedewszystkiem dlatego, że właśnie jest niewątpliwie wycinkiem powszedniego życia, a więc nie jest zjawiskiem wyjątkowem, jakby to w nas chcieli wmówić przeciwnicy monologu. Powtóre monolog ten potwierdza znakomicie niektóre nasze przypuszczenia teoretyczne. Młodzieniec ów był i jest, o ile wiem, człowiekiem zupełnie normalnym, i myślą o samobójstwie bawił się wprawdzie, ale nie miał poważnego zamiaru w czyn ją wprowadzić. Niemniej jednak ó w c z e s n y s t a n j e g o p s y c h i c z n y n i e b y ł z pewnością n o r m a l n y. Widocznie długotrwała natężona praca przedegzaminowa spowodowała wyczerpanie nerwów i równoczesne wysokie ich rozdrażnienie. Przeczulenie nerwów bowiem idzie w parze z ich znużeniem. Stan więc jego w owym czasie dałby się określić jako depresya i równoczesne rozdrażnienie a więc podniecenie. Depresya spowodowała myśli samobójcze, niechęć do życia, rozdrażnienie zaś niezadowolenie ze wszystkiego. Rozdrażnienie i podniecenie poznaliśmy powyżej jako czynniki, które między innemi sprowadzają zawieszenie czynności aparatu hamującego i sprawiają że mówimy głośno. Z drugiej strony widzimy tu znużenie, osłabienie woli, jej niemoc wobec nawału zbyt ciężkich zadań. Czyż oba stany nie są powszednie w ciągu akcyi dramatycznej?

Wróćmy jednak do rzeczy samej. Znaleźliśmy cztery postacie monologu: mniej ważne dla nas zwykłe myślenie, skróconemi lub pełnemi zdaniami i ważniejsze: r o z m o w ę z s o b ą s a m y m i r o z-

prawę z kimś nieobecnym czyli apostrofę. We wszystkich czterech postaciach może być monolog w duchu przeprowadzony, jednak równie często i głośno. Co więcej, te same czynniki, które powodują rozprawę lub apostrofę, a więc rozterka wewnętrzna, lub potrzeba skupienia się w sobie przed działaniem lub po niem, one to powodują równocześnie i „zapominanie się“, a więc przejście do mowy lub rozmowy głośnej. Zazwyczaj zachodzą najróżnorodniejsze kombinacye tych postaci jak również cichego i głośnego myślenia.

IV.

Badając na tle powyższych spostrzeżeń psychologicznych monolog dramatyczny, przekonamy się, że potwierdza on w zupełności teoretycznie wysnute wnioski i postulaty i, co ważniejsza, że ma on charakter zasadniczo odmienny od przypisywanego mu powszechnie tak przez dawnych zwolenników, jak i przez nowoczesnych przeciwników, że występuje zawsze w chwilach walki sprzecznych popędów woli przed czynem lub po nim, że wówczas jest w istocie swej dyalogiem, że jest równouprawnionem mu ogniwem w akcyi, mieszcząc w sobie podwójny moment dramatyczny: walkę i przygotowanie czynu lub jego echo.

Zacznijmy od Szekspira. Z powyższych naszych wywodów wynika samo przez się, że Hamlet często musi z sobą rozmawiać. Los narzucił mu czyn niezgodny z jego naturą, której wszelkie bezwzględne i zaczepne działanie jest przeciwnem. I oto w monologach jego widzimy zapasy chorej woli z koniecznością powzięcia obcych duszy jego postanowień. Widzimy to zaraz w pierwszym monologu (I, 2): Hamlet nie wie jeszcze o zbrodniczym czynie matki i ojczyma, ale samo powtórne jej zamążpójście, przedwczesnością swoją urągające pamięci ojca, wydaje mu się czemś tak potwornem, że woła czynu. Ale na to wołanie odpowiada jego chora wola myślą o samobójstwie:

„O gdyby stopnieć, w mgłę się rozwiać mogło
To moje nazbyt wytrzymałe ciało!
Lub gdyby nie był On, co światem władnie
Potępił tego, co z żywotem zrywa! —
O wielki Boże! Jakże brudu pełnym
Zda mi się błędny świata tego okrąg!...“

W dalszym ciągu monolog staje się trochę zbyt informujący, szczery

jednak afekt znajduje mimo to wyraz prawdziwy w znanych nam z poprzednich wywodów silnych wyrażeniach i refleksyach, w apostrofie takiej jak:

„Zmienności, miano twe kobieta!“

W głośnem w końcu myśleniu, odpowiadającem zupełnie potrzebie serca wzburzonego świeżym widokiem młodej pary, przedewszystkiem zaś nadzwyczajnemu podnieceniu i wzburzeniu.

Następny monolog po nocnem widzeniu (I, 5) jest już stanowczem krzepieniem się do czynu wobec odsłoniętej w całej ohydzie zbrodni zaczyna się apostrofą:

„O wielkie niebios zastępy! Ty, ziemio!
Ty, straszne piekło!...“

Potem Hamlet zwraca się do siebie:

„O nie złam się! O, krzep się duszo moja!
Prężcie się nerwy! Niech was nie zabije
Ta jedna chwila! — Pamiętać o tobie?
O biedny duchu, — póki pod tą czaszką
Myśli się plączą!...“

Zamiar zabicia zbrodniczego stryja dojrzewa:

„Tuś wpisan, stryju, a me hasło ninie!
Żegnaj mi, żegnaj, nie zapomnij o mnie!“

W akcie drugim po rozstaniu się z aktorami (II, 2) Hamlet zaczyna już znamiennie: „O t o m s a m n a r e s z c i e!“ Następuje nieprzerwane biczowanie słabej woli:

„O, co za nędznik ze mnie i służalec!
Czyż to nie rzecz piekielna, że ten aktor,
W tym tworze sztuki, w śnie tym wyobraźni,
W tem widmie bolu tak cały utonął,
Że twarz mu zbladła, oko łzą zabłysło,
I głos się złamał, i usta skrzywiły
I cała istność się w mękę zmieniła?
I o cóż, proszę? O nic, o Hekubę!...
. . . .
A ja ospały, tępy, gnuśny głupiec,
Jak senny Maciek snuję się po świecie“...

Potem nagle wybucha groźbą w apostrofie:

„Ha, sprośny, krwawy, bezwstydny ty łotrze!“

I znowu gromi siebie (rozdwojenie jaźni):

„Kto zemsty wzywa? — Ja, ten gnuśny osioł?“

W końcu zwraca się do rozumu swego czyli do siebie z wezwaniem do działania:

„Do dzieła więc, rozumie mój!“

Tu następuje część monologu słabsza o tyle, że wiele w niej czynników czysto ekspozycyjnych. Jednak i tu wahająca się wola stwarza widocznie potrzebę rozmowy z sobą:

„Boć przecie duch ów złym duchem być może!...
Pewniejszą nad to muszę mieć podstawę!“

W słynnym monologu (III, 1): „Być albo nie być“, broni się ponownie chora wola Hamleta przed koniecznością działania, uciekając się do myśli o samobójstwie:

„Być albo nie być — to ważne pytanie: —
Żali godniejszą jest szlachetnych rzeczą
Znosić pociski zawistnego losu,
Czy też się zmagać z mąk i bolu morzem,
Ręką obronną się z niego wydobyć? —
Umrzeć — spać cicho — wszakże to nic więcej —
Powiedzieć sobie, że na wsze boleści —
Nieszczęsne życia naszego dziedzictwo —
We śnie tym znajdziesz wieczne ukojenie: —
Czyż to nie cel jest godny pożądania?
Umrzeć — spać cicho — może śnić czarownie! —
W tem właśnie sedno rzeczy: Jakież sny to
Wówczas mieć będziem, kiedy życia jarzmo
Z siebie zrzucimy? Tu ponownie stajem:
To nędzy naszej lat przysparza tyle.
Bo któżby ścierpiał czasów tych ohydę
Łotrów przewagę i ciemięzców krzywdę,
Kto zawiedzionej miłości tortury...
Gdyby mógł dekret wolności wypisać
Szewskim kozikiem?...“

Czyż zastanowili się ci, którzy monologowi przypisują różne zbędne funkcye, nad pytaniem, dlaczego właśnie ten monolog stał się typowym przedstawicielem monologu w ogóle? Że nie służy żadnym celom ubocznym, nie zaznajamia nas z żadnemi tajemnicami, którychby autor innym sposobem nie mógł nam odsłonić, że nie daje nam w ogóle poznać myśli Hamleta, którychbyśmy już nie znali, to pewna. Ale i pięknością wysłowienia i poezyi, lub głębokością refleksyi nie-

jeden monolog mógłby z nim walczyć o lepsze. Skądżeż więc jego wyjątkowe stanowisko? Oto, ponieważ typowa dla Hamleta walka antagonistycznych popędów chorej jego woli znajduje w nim klasyczny wyraz. Jest to więc nie wynurzenie jakieś, lecz obraz walki, obraz ścierania się przeciwnych sił w duszy bohatera. Jest to zatem moment czysto i ściśle dramatyczny, który mu nadaje taką wagę. Hamlet upada pod ciężarem gniotącego go zadania. Myśl o samobójstwie puka coraz natarczywiej do jego duszy. Ale on i do tego negatywnego czynu zerwać się nie może i wyznaje w końcu:

„Tak to nas w tchórzów przemienia sumienie,
Tak świeżą krasę rażnych postanowień
Jałowych myśli chora zjada bladość
I przedsięwzięcia krewkie i gorące
Wykolejone względy przeróżnymi
Nie mogą zwać się już czynem..."

W monologu następnym (koniec III. 2) widzimy Hamleta rozprawiającego znowu o możliwem działaniu:

„Teraz do czarnych guseł czas sposobny
To nocy pora, w której groby zieją...
I samo piekło czeluście otwiera
Zarazą dysząc. O ja mógłbym teraz
Pić krew gorącą i czynów dopełnić,
Na których widok dzień by zbladł i zdrętwiał..."

Lecz popęd przeciwny, ostrzegający głos miłości wkrótce bierze górę:

„Cicho, wszak idę do matki! — O serce
Nie przecz przyrodzie!...
Niech słowo moje, nie stal ją zabija!..."

Podobny jest monolog (III, 3), w którym Hamlet rozważa, czy ma skorzystać z nadarzającej się sposobności zabicia króla:

„Modli się. Mógłbym to uczynić teraz;
Tak, teraz pora!"

Lecz popęd przeciwny szepce:

„Więc do nieba pójdzie —
Jestżeż to zemsta? — Tu rozważyć trzeba..."

I znów w następnym monologu (IV, 4) mamy chwilę opamiętania się, zrywania się do czynu po zawstydzającym przykładzie Fortinbrasa:

„O jakżeż wszystko przeciw mnie przemawia?
Jak wszystko bodzie zemstę mą leniwą?

Czemże jest człowiek, jeśli mu najwyższem
Dobrem życiowem zdrowy sen i jadło?..."

Więc przeprowadza porównanie swej gnuśności i skłonności do rozmyślań z zuchwałą brawurą garstki towarzyszy Fortinbrasa i woła w końcu ze wstydem:

„Gdyś jeszcze teraz, myśli, krwi nie głodna,
To w nic się rozwiej, przepadnij, niegodna!"

Widzimy zatem, że wszystkie monologi Hamleta są niemal w zupełności odbiciem wewnętrznej walki antagonistycznych kierunków jego woli: popędu do czynu i niemocy. To też formą mogą się nam miejscami wydawać przestarzałe. Podobnie jednak dzieje się, i z konieczności dziać się musi i z dyalogiem Szekspirowskim. Wewnętrznej prawdy atoli i dramatycznej siły ani monologu ani dyalogu ząb czasu naruszyć nie zdołał.

Ciekawe ze wszech miar są monologi Makbeta. I w nich toczy się wewnętrzna walka o czyn. Tam spełnić go miała wola chora, tu dokona go żelazna. Tamten czyn jednak miał być odwetem, aktem sprawiedliwości, tu cała dusza Makbeta wzdryga się przed jego okropnością. Tam sumienie blade zjadało świeżą barwę postanowień, tu jawi się ono w okazałej grozie cienia ofiary i spycha mordercę z własnego stanowiska.

Drugi monolog Makbeta znajdujemy w scenie siódmej aktu pierwszego. Rzecz ciekawa, nietylko sam monolog, lecz cała ta scena i w dalszym ciągu jest walką o to, czy zabić, czy nie zabić Dunkana. Walka ta toczy się najpierw w duszy samego Makbeta, a potem przechodzi w walkę między nim, a żoną. Zaczyna ją więc monolog:

„Gdyby spełniony czyn już ubił sprawę,
To raźnie działać byłoby najlepiej.
Gdyby mord zabił i następstwa wszystkie,
Rzecz dokonana i udałą była,
Cios pierwszy i ostatni wszystko kończył...
Zbawienie duszy chętniebym poświęcił.
Lecz czyny te już tu odnoszą karę..."

Takich i innych argumentów używa popęd przeciwny czynowi i w końcu odnosi zwycięstwo. Na ostatnie jednak słowa Makbeta nadchodzi żona i podejmuje spór na nowo, by wkońcu szalę zwycięstwa przechylić na stronę mordu. Jest więc ten dyalog między Makbetem a Lady Makbet dalszym ciągiem rozpoczętej w monologu walki o dokonanie czynu. Z początku spierają się dwa sprzeczne po-

pędy w samej duszy Makbeta, a potem toczy się tasama walka między nim a żoną.

Ciekawszym jest jeszcze poniekąd monolog Makbeta przed samem dokonaniem mordu (II, 1). Makbet ma wizyę sztyletu, wiodącą go do zabójstwa. Zjawisko znane psychopatologowi. Idea pewnego czynu tak się zagnieździła w chorym od niej mózgu, że panuje wszechwładnie nad wszystkiemi skojarzeniami, nawiedza umysł przeciw jego woli, słowem staje się przymusową, przyczem wyobrażenie czynu łączące się zawsze z jego ideą przechodzi w hallucynacyę. Makbet, który w ogóle ma skłonność do zastanawiania się nad stanem swej duszy mówi:

„Czy sztylet to, co błyska przed mem okiem
Z trzonem ku ręce mojej zawróconym?
Ha! daj się schwycić!
Nie mogę schwycić, — wciąż cię mam przed sobą!...
Widzę cię jeszcze, ostrze i rękojeść
Krwią pomazane — tej nie było przedtem.
Bo jej też niema. To krwawe me myśli
Jawią ją oczom jako wieszczbę czynu".

Jest więc ta wizya momentem wysoce dramatycznym, ogniwem koniecznem i organicznem akcyi, ucieleśnieniem i to istotnem wszechwładnie już teraz panującego nad duszą Makbeta popędu do dokonania mordu. Słowa zaś, które przytem wypowiada, nie są mu narzucone przez autora z nakazu techniki dramatu w celu zapoznania nas z stanem wewnętrznym Makbeta. Nie, one wyrywają się zadumanemu, raczej zahypnotyzowanemu Makbetowi z konieczności o wiele wyższej, z potrzeby jego duszy skupienia się w sobie rozprawienia się z sobą (w dosłownem znaczeniu!) wobec tej właśnie w wizyi ucieleśnionej myśli przymusowej. Że zaś g ł o ś n o z sobą rozprawia, to w myśl naszych wywodów zupełnie usprawiedliwione, gdyż w takich chwilach aparat hamujący wymówienie z pewnością nie funkcyonuje. To też żaden z środków i środeczków nowoczesnej techniki nie zastąpiłby tego monologu. Niema gra nie dałaby nam jasnego obrazu tej wizyi ani walki wewnętrznej, lecz co najwyżej obraz jakiejś wizyi i walki. Jakaś symboliczna postać, ciągnąca n. p. Makbeta do czynu byłaby tylko wybiegiem psychologicznie nieumotywowanym.

Podobnie rozprawą przed czynem jest monolog (III, 1)

„Być tem, czem jestem, jest to niczem nie być..."

Walką zaś już z sumieniem po czynie dokonanym jest grozą przej-

mująca rozprawa z widmem Banka (III, 4). Można ją uważać za monolog, gdyż Makbet zapomina chwilami o obecności dworu.

Podobnie za monolog uważać należy to, co Lady Makbet mówi podczas swych widzeń (V, 1).

Oba te ostatnie monologi są reakcyą po dokonanym czynie, walką wewnętrzną popędu przeciwnego czynowi, t. j. sumienia i popędu zachowawczego broniącego czynu, lub raczej broniącego spokoju umysłu. Są więc jak każda wewnętrzna walka ogniwem w akcyi dramatycznej, będącej w całości nieustannem ścieraniem się sił antagonistycznych.

W „Otellu" i w „Królu Lirze" mamy niektóre monologi zanadto eksponujące jak monolog Jaga (II, 1 i 2) lub monologi Edmunda i Edgara, dające program akcyi. Nie świadczą one przeciw technice szekspirowskiej, gdyż dla jasności akcyi nie są potrzebne, a odpowiadają jedynie ówczesnym zwyczajom teatralnym i upodobaniom publiki lubującej się w długich monologach, dziś są naturalnie przeżytkiem.

Przyjrzyjmy się z kolei niektórym monologom Schillera. Nie da się zaprzeczyć, że mowa jego przesiąknięta liryzmem refleksyjnym, lubuje się w pięknie budowanych, szerokich i patetycznych okresach retorycznych zwróconych do publiczności. Tyczy się to jednak zarówno dyalogu jak i monologu. Tem ciekawsze będzie spostrzeżenie, iż istotą swą odpowiada monolog jego pomimo to postanowionym przez nas wymogom.

W trylogii Wallensteinowskiej zajmują nas przedewszystkiem monologi Wallensteina. Oto jeden z nich (cz. 3a I, 4):

„Czyliż możliwe? Więcbym już mej woli
Nie dzierżył w ręku? Więcbym musiał spełnić
Rzecz, bom ją w myśli tajemnej był począł?
Bom nieodtrącił pokusy od serca,
Bom je kołysał tem samem marzeniem,
Środki gromadził na wypadek wszelki,
Drogi otwarte chciał mieć jeno wszędzie?..."

A teraz jakoby odpowiedź:

„Przebóg, jam niemiał zamiarów poważnych!
Nigdy niczegom ja nie postanowił.
Myślą się jeno bawiłem zuchwałą..."

Z każdem słowem, z każdą myślą rośnie nieodparte przeświadczenie, że droga do odwrotu zamknięta:

„Tak więc we własne wplątałem się sidła
I tylko gwałtem je rozedrzeć zdołam..."

W znamiennych zwrotach do drugiej osoby skierowanych pyta się:

„I czemżeż twoje dążenie? Czyś ważył
Sobie samemu to szczerze powiedzieć?
Chcesz wstrząsnąć mocą, co z dziedzictwa prawa
Uświęconego niewzruszenie władnie?...“

I znowu sam sobie daje odpowiedź:

„To walka siły ze siłą nie będzie!
Nie to mię trwoży. Z każdym ją podejmę,
Który mi widny stanie oko w oko...“

Trwoży go przeciwnik straszniejszy:

„To, co jest gminne i wiecznie wczorajsze
Co zawsze było i zawsze powraca,
Co jutro waży bo ważyło dzisiaj...“

Więc kończy wezwaniem:

„Bądź w posiadaniu, a będziesz i w prawie
I gmin ze czcią ci go wiernie dochowa“.

Tak więc cały monolog jest zagrzewaniem się do czynu, który w sytuacyi stworzonej przez dawniejsze kroki, zdaje mu się teraz być koniecznym, przed którym jednak zawsze jeszcze chciałby umknąć. Typowa walka przeciwnych popędów o czyn.

Rozpatrzmy się w końcu jeszcze w monologu Tella przed zabiciem Gesslera (IV, 3):

„Tym żlebnym szlakiem oto nadejść musi;
Inna do Küssnacht nie prowadzi droga —
Tu rzecz się spełni...

. . . .

Zrób porachunek z niebem namiestniku!
Precz odejść musisz — przeszła twa godzina“.

Apostrofą rozpoczyna się rozprawa Tella z własnem sumieniem i z przyszłą ofiarą, której obraz jest po części przedstawicielem własnego sumienia. Więc do obojga zwracając się, mówi:

„Cichym wiódł żywot i skromny — me strzały
We zwierza jeno godziły leśnego.
Mordem nie były myśli me skalane! —
Tyś to mię wygnał z mej ciszy ogrojca
Tyś w jad mi żrącej zwarzył nienawiści,
Mleko pobożnej i spokojnej chęci;
Do potworności myśl mą przyzwyczaił. —

Komu dziecięcia główka celem była,
Ten drogę znajdzie i do serca wroga.
Ja dzieci mych niewinnych bronić muszę
I wiernej żony od wściekłości twojej“...
. . . .
„Com w on czas ślubował
W srogiej katuszy owej jednej chwili,
Świętym jest długiem — ja go spłacić muszę“...

Tak umocniwszy się w postanowieniu, do swej broni się zwraca z wezwaniem, aby go nie zawiodła:

„Teraz mi, wierny łęku, zdzierż jedynie,
Któryś mi strzały tylekroć uskrzydlał“.

I znowu z sumieniem swem rozprawia, tłómacząc dzieciom, że owo ojciec tu siedzi na dzikim manowcu z morderczym zamysłem w sercu, lecz on i teraz o nich tylko pamięta. Rzecz przechodzi potem — zjawisko psychologiczne bardzo ciekawe — w monolog maskowany rozmową z strzelcem i Armgartą, których opowiadania myślom Tella dają pożywienie, tak, że często, pozornie im odpowiadając, sam z sobą myśli swe snuje. Więc woła:

„Czyliż i góry chwieją się w posadach?“...
„Nicże na ziemi nie trwa niewzruszenie?“

Lub:

„Najcichszy nawet w zgodzie żyć nie może,
Gdy na to sąsiad zły zezwolić nie chce?“...

Lub w końcu:

„I robak nędzny ma też żądło swoje“.

Widzimy, jak w tej ciężkiej chwili, poprzedzającej czyn, przed którym w głębi swej cała jego dusza się wzdryga — niezłomne jego postanowienie z wszystkiego czerpie dla siebie pokarm, by się umocnić, przyczem potrzeba rozmowy z sobą samym z żywiołową wybucha siłą.

Język dramatyczny Słowackiego tchnie też często liryzmem. Mimo to znajdziemy w jego monologach i wewnętrzną prawdę i należycie spełnioną funkcyę dramatyczną w naszem rozumieniu. Przykładów niechaj nam dostarczą „Kordyan“ i „Balladyna“, której monologi są wprost nieporównane.

W monologu wstępnym Kordyana (I, 1.) widzimy znudzonego życiem nie mędrca, jak Faust, lecz chłopca. Żądza czynów zrodzona

nietyle z miłością wezbranego serca, jak u Konrada, ile ze znudzenia i żądzy sławy, walczy z niemocą życiową, z kiełkującą myślą o samobójstwie. Pierwsza część monologu kończy się modlitwą, a więc wezwaniem siły do czynu:

„Boże! zdejm z duszy jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj...
Jedną myśl wielką rozniecі!“...

Omdlenie życiowe zwycięża jednak, Kordyan popełnia wkońcu samobójstwo, monolog ten więc, który po rozmowie z Laurą snuje się dalej, może być uważany za typową rozprawę z sobą przed powzięciem ostatecznego postanowienia.

Obrazem walki przeciwnych popędów woli są też wszystkie następne, liczne i długie monologi Kordyana, których nie rozbieramy. Najciekawszą i najwspanialszą jest cała scena piąta aktu trzeciego. Zbliża się chwila ostateczna. Kordyan ma zabić cara. I oto rozszczepienie chorej jego duszy staje się tak wielkie, że miotające nią w różnych kierunkach popędy woli w słuchowych i wzrokowych tworach hallucynacyi znajdują uzmysłowienie. Przedstawienie jest trochę niejasne. Kordyan słyszy ostrzegające go głosy Imaginacyi i Strachu i równocześnie widzi suggerowane sobie przez nie twory. W rzeczywistości strach, imaginacya i inne władze wywołują widzenia, przemawiają zaś kolejno jaźnie cząstkowe.

Z wielką jednak stanowczością i bystrem ujęciem istoty takiego stanu rozdwojenia, poeta już w nazwaniu widzeń wskazał na zaciętą walkę sprzecznych uczuć i popędów woli w duszy Kordyana. Z jednej strony zawzięte jego postanowienie, z drugiej strony nie dające się przemódz uczucie lęku i grozy i miększe popędy życiowe.

Kordyan słyszy ich głosy ostrzegające, ucieka przed rojem goniących go mar:

Imaginacya: Słuchaj! ja mówię oczyma.
Strach: Słuchaj! mówię biciem serca.
Kordyan: Nikogo niema,
Ktoś gada...
Imaginacya: Nie patrz na mnie, lecz patrzaj, gdzie ja palcem wskażę.
. . . .
Strach: Lecz patrz na oczy! nieruchome oczy!
Gdzie się obrócisz, patrzą za tobą.
Imaginacya (wspomnienie tkliwe): Czy czujesz woń jej warkoczy?

Pierwszy etap walki kończy się jednak otrząśnieniem się z pod władzy mar powstrzymujących go:

„Sen zniknął... Naprzód z bagnetem w pierś cara!“...

Lecz na wstępie do drugiej sali słyszy głos: „Stój!“ Walka rozpoczyna się ponownie.

Wspaniałe są dalsze jej momenty:

Strach: Nie patrz tylko za siebie — bo tam u podwoi...
Imaginacya: Patrz, liście z ludzkich uszu, z oczu ludzkich kwiaty
I zwykły nasionami języków się plemić...
Strach: Nie zaglądaj przez okna na ciemną ulicę!
Imaginacya: Z kościoła aż do zamku orszak zmarły długi.
Niosą żółte gromnice...
Wiele trupów... jeden, drugi,
Setny, nie przeliczysz więcej...
Kordyan: Gdzie idą?
Imaginacya: Tu.
Kordyan: Czy cara trumnami uduszą?
Imaginacya: Ciszej! patrz... jakieś straszydło
Z ognistą twarzą wyszło z sypialnej komnaty...

Straszna walka kończy się wyczerpaniem sił. Kordyan, który przed chwilą jeszcze krzyczy: „Pójdę mimo dyabłów głosy!“ — pada bez czucia krzyżem na bagnecie.

Czy monolog ten nie jest akcyą najistotniejszą, obrazem rozszczepienia świadomości? Czyli realistyczne przedstawienie wewnętrznej walki nie musiałoby być co do istoty swej z tem identyczne?

Do częstych i naturalnych zjawisk w literaturze dramatycznej należą monologi przed śmiercią. Charakter ich jest dwulicowy. Są one równocześnie pożegnaniem i obrachunkiem z życiem i przygotowaniem się do czegoś nowego, do śmierci. Że w takiej chwili istnieje potrzeba tak pierwszego, jak i drugiego, to zrozumiałe. Takim porachunkiem i przygotowaniem jest monolog Kordyana w scenie ósmej aktu trzeciego.

W „Balladynie“ zajmą nas monologi zbrodniczej pary. Monolog Balladyny (II, 1):

„Jak mało malin, a jakie czerwone
By krew“...

daje obraz kiełkowania myśli krwawych. Drugi jej monolog w tej samej scenie po zabiciu siostry jest pierwszem odezwaniem się sumienia, które odtąd wiecznie ją ma prześladować.

„Co moje
Ręce zrobiły? Oh... *(Głos z wierzby)*
Kto to?... zawołał ktoś? czy to ja sama
Za siebie samą modliłam się?... Żmija,

Kobieta, siostra — nie siostra. Krwi plama
Tu — i tu — i tu — i tu — Któż zabija
Za malin dzbanek siostrę?... Jeśli z bora
Kto tak zapyta? powiem — ja. — Nie mogę
Skłamać i powiem ja! — Jakto ja?... Wczora
Mogłabym przysiądz, że nie... W las!... w las... w drogę,
Wczorajsze serce niechaj się za ciebie
Modli. — Ach, jam się wczoraj nie modliła.
To źle! źle! — Dzisiaj już nie czas... Na niebie
Jest Bóg... zapomnę że jest, będę żyła,
Jakby nie było Boga".

Rozszczepienie jaźni występuje tu już bardzo jasno: „Kto zabija? — Powiem — ja!" — „Jakto ja?... W las! w las! wczorajsze serce niech się za ciebie modli". Kończy się monolog postanowieniem, a więc aktem woli: „będę żyła jakby nie było Boga".

I późniejszy monolog obłąkanej Balladyny na końcu tejże sceny, monolog przechodzący w dyalog z niewidzialną Goplaną jest jednak dalszym ciągiem walki z sumieniem:

„Wiatr goni za mną i o siostrę pyta...
Drzewa wołają... Gdzie jest siostra twoja?"...

W akcie trzecim rozpoczyna się scena druga monologiem będącym utwierdzaniem się w powziętym zamiarze wytrwania w walce:

„Więc mam już wszystko... wszystko... teraz trzeba
Używać... pańskich uczyć się uśmiechów,
I być jak ludzie, którym spadło z nieba
Wielkie szczęście... Wszakże tylu ludzi
Większych się nad mój dopuścili grzechów
I żyją"...

Walką z sumieniem, z typowem rozszczepieniem jaźni jest krótki monolog Balladyny po odjeździe Kirkora na tajemną wyprawę (w. 57—62):

„Odjechał... po co? Gdzie?... Sumienia wężu,
Ty mi powiadasz: oto mąż odjechał
Szukać Aliny"...

Na to odpowiedź:

„Ona w grobie". —

Replika:

„W grobie? Lecz jeśli znajdzie grób?" —

Po odejściu Kostryna mamy znowu monolog, nowe postanowienia kiełkują:

„Jak się ja prędko poznałam spojrzeniem
Z tym cudzoziemcem. — Ja mu nic nie winna —
Szukałam okiem przerażonem w tłumie
Kogoś"...

Potem po odejściu matki znowu walka z sumieniem (w. 151—162):

„Piekło!
Mieszam się — bladnę... Ja się kiedyś zdradzę
Przed matką, mężem... Wszystko się urzekło
Na moją zgubę"...

Scena piąta rozpoczyna się dwoma monologami dwojga zbrodniarzy, mających odtąd razem działać, a tajemnie walczyć przeciw sobie:
Kostryn mówi:

„Za pustelnika celą drzewami ukryty
Słyszałem tajemniczą powieść tej kobiety.
O, szczęście!"...
Mogę mieć ją i skarby — szczęśliwa godzina"...

Monolog ten jest trochę zanadto ekspozycyjnym. Monolog Balladyny jest obrazem dalszej walki z sumieniem i kiełkującej myśli zabicia pustelnika:

„O wszystkiem wie ten człowiek stary... powie drzewom"...

Kostryn donosi jej o przybyciu gońca z darami od męża. Balladyna pyta go o pustelnika, a gdy Kostryn odchodzi, aby gońca zawołać, następuje krótki, znamienny monolog Balladyny:

„Gdyby te dary, gdy nie przerażoną
Myśl. — Na co było pytać się Kostryna
O tego starca?"

Balladyna pyta więc sama siebie: „Pocoś pytała o tego starca", czyniąc sobie wyrzuty, że nieopatrznie się zdradza. Jest to typowe rozdwojenie jaźni, odpowiadające warunkom chwili. Monolog ten krótki, świadczy jednak najwymowniej o ogromnie intenzywnem wczuciu się poety w uczucia i myśli swej bohaterki.

Następny monolog Balladyny znajdziemy w scenie czwartej aktu czwartego, kiedy Balladyna z myślą o zamordowaniu Grabca zdąża do jego sypialni na wieżycy. Jest to, rozumie się, monolog przed rozstrzygającym czynem, rozmowa dwu części rozszczepionej jaźni. Zaczyna się monolog usprawiedliwieniem:

Nie mogłam spać, nóż leżał przy mnie — wzięłam".

Na to drugi głos wewnętrzny odpowiada:

„W koszuli — wstyd! gdyby cię (!) kto zobaczył
W koszuli z nożem w ręku?"

Potem głos inny: „Jak tu ciemno!..."
Potem już ciągle naprzemian różne głosy, które oznaczam osobnymi przytocznikami:

„Cyt!... jakiś szmer?" — „Wiatr mi zgasił świecę"...

Proszę uważać na to „mi zgasił", nie zagasił, lecz „mi zgasił". Takie podkreślenie pierwszej osoby okazuje, że jest zwrócone do drugiej osoby. Widocznie jednak coś w tem zdaniu było niedopowiedzianem, bo zaraz następuje odpowiedź na tę niewypowiedzianą myśl:

„To przywidzenie — nic nie słychać, zamek cały
Głęboko śpi..."

I znowu pytanie i odpowiedź:

„Lecz jeśli śpi ten człowiek
Z otwartą tak powieką? To co? to co?" —
„Jeśli dziś nie zrobię rzeczy, jutro
Żałować będę, wiem, żałować będę..."

Zapewnia: „wiem", zapewnienie zaś zawsze zwraca się do drugiej osoby. Potem:

„Wiatr zamknął za mną (!) drzwi, a ja myślałam
Że jaki ciemny duch zamykał za mną.
I dotąd nie spojrzałam w tamtą stronę,
Jakbym się bała spotkać z czemś okropnem".

Ogląda się i powiada:

„A widzisz, (!) nie ma nic, nic nie ma. Ciemne
Powietrze, mgła, żadnych nie widać mar".

I znowu różne głosy:

„Wszelki duch Boga chwali! Jaka to była
Błyskawica czerwona! jak wszystkie ściany
Widziałam białe" — „Cyt" — „Nie słychać nic" —
„Spiesz się!" — Lecz jeśli żar błyskawic lunie
Na moją twarz, gdy będę z nożem stała
Nad nim, to co?" — „Ogień pokaże tobie (!)
Miejsce, gdzie masz uderzyć (!)". — „O błyskawice!
Stwórzcie czerwony dzień na łonie nocy,
Bądźcie mojego czynu słońcem". — „Idę".

Jak tu się wzmogła pewność postanowienia, gdy błyskawice, których jasności jeszcze przed chwilą tak się lękała, wzywa, by świeciły jej czynowi.

Mniej charakterystyczny i bez porównania też słabszy jest odpowiadający tamtemu monolog Kostryna, zdążającego również na wieżę w tym samym celu, co Balladyna (IV, 5).

„Drzwi otworzone. Teraz mię fortuno
Prowadź i pomóż ze złotego cielca
Jak Jazonowi złote obciąć runo.
A ja przysięgam, że choć syn wisielca,
Będę na tronie, jako syn książęcy;
Dziś sługa gorszych, jutro pan tysięcy
Lepszych odemnie". — „Cyt!" — „To puhacz huczy
Na wieży zamku". — Idźmy na drabinę —
Wszystko gotowe. Mam pęk cały kluczy
Od bram zamkowych, płachtami obwinę
Konia podkowy — i z ową koroną
W pochmurnej nocy jak duch czarny zginę".
„A co nad wszystko, z cudzołożną żoną
Rozbrat na wieki". — „O szatanie prowadź!"

Jak widzimy dużo w tym monologu czynnika ekspozycyjnego i to go czyni słabszym. Pozatem atoli cały ton tak różny od tamtego świetnie charakteryzuje „syna wisielca", urodzonego łotra, który się jednak w duszy boi mniej pewnej siebie, ale demoniczniejszej Balladyny. Tak też i podwójna apostrofa i jasne przedstawienie sobie planu odpowiada stanowi duszy awanturnika, którego własne szczęście upaja i napełnia wiarą w powodzenie. Wyobrażenie bowiem dokładne dokonać się mających faktów jest tylko inną stroną tego samego zjawiska, którego jedną stroną jest popęd do jego spełnienia. Zresztą widzimy i tu głosy powstrzymujące i z drugiej strony utwierdzanie się w postanowieniu.

Pomijamy krótki monolog Kostryna, podczas dokonywania czynu przez Balladynę. W akcie piątym mamy jeszcze dwa monologi Balladyny, a mianowicie w scenie trzeciej kiedy planuje zatrucie Kostryna, lub samobójstwo. Oba monologi są obrazem skupienia myśli przed czynem.

Jak widzimy, liczne monologi Balladyny odpowiadają znakomicie jej koniecznym stanom duszy, pędzonej siłą nieodpartej konieczności po pierwszej zbrodni do dalszych czynów. Niemniej też odpowiadają te monologi napięciu dramatycznemu, którego są wyrazem. Przejawia się w nich wspaniała psychologia i pewna ręka dramaturga.

Wspomnieć chciałbym o dwóch jeszcze monologach, znajdujących się w utworach, które założeniem swem tak bardzo odbiegają od pospolitego realizmu, że tem bardziej zadziwiać będzie, jeśli i w nich znajdziemy potwierdzenie naszych psychologicznych przypuszczeń. Mam na myśli dwa pierwsze monologi Fausta i improwizacyę Konrada.

W pierwszym swym monologu Faust znużony życiem pełnem górnych a niezaspokojonych pragnień rozważa w rozmowie z sobą postanowienie oddania się sztuce czarnoksięzkiej. W apostrofie do jaśni księżycowej wyraża gorące pragnienie nowego życia, które ma sobie stworzyć. I znów po chwili biada nad dotychczasowem wołając:

„To świat twój, to! To się światem zowie!"
I pytasz jeszcze, czemu twoje serce
Bolem się ściska i w wiecznej rozterce?..."
. . . .
Nuże więc, precz uciekaj w kraj daleki!" —

Wezwany duch ziemi się zjawia, aby mu oświadczyć:

„Duchowiś równy, którego pojmujesz
Nie mnie!"

Następuje pierwszy wybuch rozpaczy przerwany jednak zjawieniem się Wagnera. Po jego odejściu zwątpienie zupełnie ogarnia umysł Fausta. Popęd samobójczy odzywa się, przeprowadza walkę z popędem samozachowawczym i zwycięża. Faust wita z rozkoszą truciznę, dawczynię śmierci. Wtem słyszy głos dzwonów i śpiewy wielkanocne. Popęd życiowy dotąd bierny zyskuje przewagę:

„Za cóż mię, dźwięki niebiańskie wiążecie
Słodyczą waszą i mocą z tym prochem?

W obu więc motywach wnętrzna rozterka i skupienie umysłu, celem wyjścia z niej, w obu walka, acz łagodna przeciwnych popędów woli, rodzące się z niej i kolejno zmieniające postanowienie.

„Improwizacya" ma charakter dwoisty, liryczny i dramatyczny. Nas tu ona zajmuje jako ogniwo dramatu. W dramacie tym więźniom, towarzyszom Konrada i jemu samemu przypada w udziele rola bierna: wspólnie z całą ojczyzną bezmocni znoszą na sobie gwałt wroga. Rola zaś czynna w ścisłem znaczeniu przypada jedynie przedstawicielom przemocy, Nowosilcowowi i jego towarzyszom. Taki nierówny podział antagonistycznych potęg dramatycznych*) na tylko czynne i tylko bierne

*) Dokładniejsze określenie akcyi dramatycznej, jako walki antagonistycznych sił w wyż przytoczonem dziele mem rozdz. VIII i IX. (do tej sprawy zamierzamy powrócić w osobnem studyum).

skrzywiłby budowę dramatu, z wielkiej tragedyi narodu cierpiącego krzywdę przemocy uczyniłby jedynie epizod, obraz dramatyczny, wspaniały, ale jednak obraz tylko, obraz nadto nie oddający całej prawdy. W istocie bowiem naród nietylko cierpiał gwałt, ale i bronił się przeciw niemu. Musiał zatem poeta ujawnić i uruchomić także i po stronie cierpiącej pierwiastki siły czynnej. W granicach treścią utworu wytkniętych nie mógł tego uczynić wprost przez akcyę, gdyż konieczne założenie całego utworu nie dopuszczało możliwości jakiegokolwiek oddziaływania po stronie cierpiącej.

Jednakowoż i w sposobie znoszenia cierpień może się ujawnić siła niespożyta. Przepiękny przykład mamy w micie o Prometeuszu. Wieszcz nasz poszedł za nim. Jako siłę przeciwstawną tyranii wroga wprowadził podobnie jak tragik grecki wielkość duszy i miłość. Stosownie jednak do odmiennej organizacyi psychicznej, a prawdopodobnie odmiennych doznań życiowych wprowadził siły te w odmiennem ustosunkowaniu. Miłość jest tu czynnikiem potężniejszym jeszcze od tytanicznej wielkości duszy, znajduje też ucieleśnienie nietylko w Konradzie, lecz i w dwóch innych jeszcze postaciach, księdza Piotra i Ewy. Lecz ani gołębia słodycz i cicha miłość Ewy, ani wielka w swem ekstatycznem zaparciu się miłość księdza Piotra nie byłyby jeszcze dostatecznym przeciwstawnikiem akcyi tyrana. Ksiądz Piotr odnosi wprawdzie nad nim zwycięstwo ale jest ono tylko moralne. Pobija go swą wielkością, ale go nie zmaga widomie. Jest on bowiem zjawiskiem nietylko wyjątkowem, lecz i nieuosobiającem też w sobie sił tkwiących w narodzie. Do dramatycznego zrównoważenia sił takie jednostkowe i wyjątkowe zwycięstwo nie wystarcza. Walkę więc z tyranem musi podjąć kto inny, tytan Konrad.

Nie z nim samym jednak ją podejmuje. Czemże bowiem jest ten gnębiciel srożący się nad dziatwą? Czy godny to przeciwnik prometejskiego tytana? Nie, on sam przez się jest niczem, ale on jest narzędziem czegoś nieskończenie większego od siebie — narzędziem zrządzenia boskiego. Więc Stwórcę samego, jak ongi przodek jego Prometeusz Zeusa, wyzywa Konrad do boju, do walki na miłość. Pomijamy tu, rozumie się, faktyczny stosunek historyczny improwizacyi do całości „Dziadów" Drezdeńskich. Nas tu zajmuje ostateczne ukształtowanie tejże całości i organiczne miejsce jakie w niej ma Improwizacya. Z tego zaś względu przedstawia się ta Improwizacya jako k o n i e c z n e o g n i w o w budowie dramatu. Proszę tylko zważyć jak w tym jedynym monologu wszystko jest czynne, zaczepne, pędzące naprzód w szalonym, zawrotnym rozmachu, z coraz gwałtowniejszą siłą

natarcia, aż do ostatecznego upadku, upadku, po którym jednak, aby nie było żadnej wątpliwości, kto tu jest właściwym zwycięzcą, następuje bezpośrednio scena egzorcyzacyi i zwycięstwo anielskiej miłości księdza Piotra. Konrad zwyciężonym został, lecz zmogły go nie gwałt i przemoc, które do tej tytanicznej walki nawet dopuszczone nie zostały, lecz coś, co po nad nim i nad nimi. W tym ogniu atoli, w którym się spala dusza Konrada, jawią się takie potęgi twórcze narodu, którego on jest przedstawicielem, że przy nich niezwyciężona pozornie przemoc wroga do znikomych schodzi rozmiarów.

Tak więc nieoceniony ten klejnot poezyi jest i pod względem dramaturgicznym wspaniałem zjawiskiem. Spełnia ważną bardzo funkcyę dramatyczną, wprowadza do utworu całego moment o niesłychanem napięciu, będąc przytem, jak tego dla monologu wymagać należy, obrazem niezwykłego skupienia w samym sobie i najintenzywniejszej walki staczającej się w duszy.

V.

Przytoczone powyżej liczne przykłady monologów dramatycznych potwierdziły w zupełności psychologiczną analizę istoty monologu. Pozostaje nam teraz wyciągnąć ostateczne wnioski. Duszą i treścią dramatu jest jak rzekliśmy, ruch i walka. Walka antagonistycznych sił wcielonych częściowo lub całkowicie w osoby dramatu. Osoby te więc walczą przeciw sobie, czasem przeciw innym wrogim sobie potęgom, a czasem walka wrogich potęg odbywa się w duszy jednej i tej samej osoby. Każda walka wymaga wytężenia woli, wytężenie to osiąga się przez zwalczenie przeciwnych popędów woli. Ponieważ zaś popędy te przywiązane są do wyobrażeń motywujących je i są równocześnie wykładnikiem sprzecznych uczuć, więc wyobrażenia i uczucia staczają tę walkę, która się też jak to wykazaliśmy odbywa zapomocą rozmowy lub rozprawy przy pewnem rozszczepieniu osoby jednej na dwie lub więcej. Te rozprawy, te starcia właśnie to są monologi. Monologi są zatem zjawiskiem k o n i e c z n e m w walce dramatycznej. Zjawiać się muszą jużto przed czynem jako etapem walki, lub po czynie, przyczem one same są znów dalszym etapem, już też one same odzwierciedlają walkę główną, jak przy wewnętrznej rozterce. Są one więc elementem na wskróś dramatycznym. I tem się tłómaczy owo częste zastosowanie monologu w dramacie. Dramat jest bowiem najodpowiedniejszem dla niego polem.

Monolog ten nie musi być koniecznie rzeczywiście wymówionym,

może się ograniczyć na wewnętrznej mowie. Nie uwłacza to jednak jego istocie i prawdzie, jeśli bez względu na tę drugą możliwość korzysta z pierwszej, aby monolog uczynić słyszalnym. Tembardziej, że, jak to również wykazano, stany podrażnienia lub depresyi, a więc stany rodzące monologi i z konieczności zjawiające się w dramacie są równocześnie owymi stanami, w których głośne wyrywanie się słów lub całej mowy najczęściej się zdarza. Nie są to oczywiście stany normalne, ale też stany normalne wogóle nie są przedmiotem dramatycznego przedstawienia. Akcya dramatyczna jako walka i to zacięta o życie musi z konieczności wyprowadzać osoby w nią wplecione ze stanu normalnego.

Stan normalny natomiast może być tylko przedmiotem przedstawienia epickiego. Epika może śród innych dać także obraz tego, co trwa, co nie jest w ruchu, co jest powszechne, lub powszednie. Zdejmując takie trwające obrazy życiowe nie ma ona ani takiej potrzeby ani sposobności wprowadzania monologów. Może się ona jednak bez nich obejść i wtenczas, gdy oddaje akcyę. Utwór epicki bowiem nie musi jej bezpośrednio przedstawić, może z niej zdawać sprawę. Co więcej: nawet w wypadku, gdy akcya przed nami się rozgrywa, ma utwór możność streszczania rozmów lub przemówień, tembardziej zaś monologów wewnętrznych lub głównych. Stąd rodzi się często złudzenie, że w pewnym utworze epickim nie ma monologów i że one w epice wogóle należą do wyjątków, że je zna przeważnie tylko literatura dramatyczna. Wystarczy atoli w miejscu streszczania lub mowy ubocznej podstawić dosłowną, aby się przekonać, że monologów w utworach epickich jest dosyć.

Przypuśćmy n. p., że w opowiadaniu jakiemś czytamy: „N. N. siedział pogrążony w myślach. Przypominał sobie szczegóły swego spotkania i musiał przed sobą wyznać, że postąpił śmiesznie i dziecinnie, jak chłopiec...“ Ten sam ustęp, gdyby autor chciał część myśli przedstawić nie w streszczeniu, lecz dosłownie, musiałby tak mniej więcej wyglądać: „Przypomniał sobie szczegóły spotkania i mimowoli musiał sobie powiedzieć: — Tak, byłeś niedołęgą, postąpiłeś jak głupi, śmieszny chłopiec, gdzie twoja sławna przytomność, przegrałeś haniebnie...!“ Lub inny przykład: „W duszy jego wzburzonej, kotłowały najsprzeczniejsze myśli. To postanawiał natychmiast zerwać, oświadczyć jej, co o niej myśli, to znowu zdawało mu się, że cała wina po jego stronie...“ Ten sam ustęp przy dosłownem przytoczeniu monologu mógłby wyglądać: „W wielkiem wzburzeniu mierzył komnatę szybkiemi kroki. — Tak — mówił do siebie — powiem jej wszystko, w twarz

jej rzucę: podła jesteś, gardzę tobą, znać cię nie chcę i nie będę! — Potem nachodziła go wątpliwość: „A czy też masz (ty!) prawo tak do niej przemawiać? Czy nie twoja cała wina? Przypatrz się twemu postępowaniu i powiedz kim ty jesteś!...“

Jak widzimy może to być prawdziwy monolog, ów, który określiliśmy jako rozmowę dwóch istot w jednej osobie. I rzeczywiście, monologów takich zawierałaby powieść lub nowela wiele, gdyby nie powszechna dążność oddawania ich w streszczeniu, dążność mająca swe źródło w wygodniejszej technice, streszczania tak monologów, jak i dyalogów. Bliżej nas to tutaj nie obchodzi. Ciekawem jest jednak pewne paradoksalne zjawisko. Oto podczas, gdy naturalizm w imię prawdy i realizmu w przedstawieniu ruguje monolog z dramatu, wprowadza go tenże sam naturalizm w imię tejże samej prawdy i tegoż realizmu do epiki, do opowiadania. Zjawisko to straci swoją paradoksalność, jeśli poznamy jego źrodło. Jest niem dążność nowatorska. Dramat miał monolog, więc go w imię bezwzględnego realizmu wyrzucono, powieść nie miała monologu, więc obserwując pilnie życie codzienne odkryto go dla niej.*)

Tak więc mniemali naturaliści, że ważnej dokonali reformy, wyrzucając z dramatu monolog. Że nie zrozumieli jego istoty okazuje się już z zarzutów, które przeciw niemu podnosili. Jeszcze bardziej widać to po środkach, mających wedle nich monolog zastąpić! Jednym z pierwszych jest niema gra. Oto aktor biega po scenie, kładzie się na wszelkiego rodzaju kanapach, fotelach, biegunach, stołach nawet, zapala nerwowo papierosy i rzuca je, słowem urządza pantominę, której wymowność znajduje się w odwrotnym stosunku do ogromnych jego wysiłków. Cóż bowiem możemy conajwyżej z tego wszystkiego poznać? Oto, że osoba, którą widzimy przed sobą znajduje się we wzburzeniu. Nic ponadto. Jakiego zaś rodzaju są myśli, które nią miotają, tego z wielką trudnością i to niezawsze można się domyśleć. Pomyślmy sobie n. p. przytoczony powyżej piękny monolog Balladyny przed zamordowaniem Grabca. Pewnie, że znakomita artystka mogłaby do pewnego stopnia wymownie oddać strach, który nią owładnął. O ile uboższym byłby jednak ów monolog, gdyby się musiał ograniczyć do niemej gry? I oto to ubóstwo takiego monologu niemego jest pierwszym wielkim jego brakiem. Nie tu jednak koniec. Mając na oku ten przykład możemy sobie wyobrazić, jak natężającą musi być taka niema

*) Porówn. w wyż przytoczonem dziele mem wyjątki ze zbioru nowel realistycznych Holza i Schlafa, p. t. „Papa Hamlet“, a mianowicie wstęp noweli „Die papierene Passion“ zawierający monolog matki Abendrot. Por. też tamże moje uwagi co do tego. Str. 8 i następ.

gra dla widza, który z napiętą uwagą musi śledzić ruchy osoby działającej i równocześnie konstruować sobie jego myśli. Natężenie to sprowadza znużenie, a znużenie zobojętnienie, czyli zniweczenie najpiękniejszych zamiarów artysty. W końcu trzecim brakiem niemej gry jest tkwiący w niej moment zastoju. W dramacie wszystko powinno być w ruchu. Ruch, pęd naprzód to dusza dramatu. Niema gra ruch ten w niebezpieczny sposób przerywa. Jak widzieliśmy widz siedzący przed częściową zagadką nuży się i przestaje się nią zajmować i czeka. Ta chwila czekania jest czemś w najwyższym stopniu szkodliwem dla całości wrażenia.

I pytamy dlaczego to wszystko? Dlatego, że naturaliści wmówili w siebie i chcieliby w nas wmówić, że monologi odbywają się tylko we wnętrzu człowieka, widzieć zaś możemy tylko gest towarzyszący im. Jest to przedewszystkiem niezupełnie prawdą. Gdyby jednak nią było to cóż? Jeśli, jak to już wyżej zaznaczono, odchyliwszy ścianę przypatrujemy się najspokojniej najtajniejszym uczynkom, to czemużbyśmy mieli nie módz, podobnie, odchyliwszy zasłonę duszy być świadkami jej myśli? Alboteż czemu odwrotnie żaden dramaturg nie każe spuścić zasłony, by oznajmić publiczności, że za nią się coś ważnego dzieje? Byłoby to śmiesznem. Podobnie jednakże śmieszną jest często osoba wijąca się przed nami, aby nam oznajmić, że coś myśli i żądająca, byśmy myśli jej odgadli.

Drugim surogatem monologu jest monolog maskowany dyalogiem. Osoba monologizująca rozmawia nie z sobą samą, albo z tworem swej wyobraźni, lecz z jedną z osób dramatu, zwierzając się przed nią z swych myśli, lub zdradzając je mimowoli. Środek ten nie byłby tak zły, gdyby nie miał zasadniczego błędu. Oto ma on zastąpić i może zastąpić tylko coś, co zdaniem naszem nigdy nie było monologiem. Monolog prawdziwy nie ma wcale na celu powiadamiania widza o czemkolwiek ukrytem. Ani o uczuciach, ani o myślach, ani o zamiarach osób działających. Owszem najmniejsza przymieszka elementu ekspozycyjnego psuje bezwarunkowo i najlepszy monolog. Monolog jest częścią istotną akcyi, jest jej zaczynaniem w duszy człowieka lub też echem, jest obrazem walki przeniesionej do wnętrza jednego człowieka. Stąd pierwszym i nieodzownym jego warunkiem jest właśnie samotność.

Przypomnijmy sobie Hamleta, który sobie wyrzuca brak woli, Fausta, biadającego nad zniweczonem swem życiem, Makbeta walczącego z swą ideą przymusową, Balladynę lub Kordyana strachem opętanych, a jednak z zaciętem postanowieniem naprzód idących, lub w końcu

Konrada lub Prometeusza wyzywających bóstwo do walki na miłość. W czyjej-że obecności mogłoby się to wszystko odbywać?

Natomiast ów wspomniany powyżej błędny, ekspozycyjny monolog, który jest jednym z środeczków techniki dramatycznej, a który z monologiem istotnym ma jedynie szatę wspólną, ten aczkolwiekby raczej całkiem usuniętym być winien z techniki dramatycznej, może jednak z powodzeniem być zastąpiony przez pozorny dyalog. Czyni się to w ten sposób, że stwarza się umyślnie w tym celu powiernika, lub przyjaciela, aby osoba druga przed nim wynurzać się mogła. Wybieg ten jednak prowadzi często do tworzenia postaci zbytecznych lub konwencyonalnych i winien być już dlatego samego jak najrzadziej stosowany, że i sama rzecz, którą ma zastąpić, jest zbyteczną.

Całkiem wyjątkowo może i prawdziwy monolog mieć pozory dyalogu, jak to widzieliśmy na przykładzie Tella i Makbeta. Dzieje się to wtenczas, gdy osoba pochłonięta swemi myślami rozmawia z s o b ą m i m o obecności innych osób. Warunek pierwszy monologu, samotność, jest tu atoli o tyle zachowany, że osoba monologizująca nie zważa na obecność innych osób.

Coś podobnego, acz nie zupełnie to samo, zachodzi w wypadkach, w których ktoś zwraca się do dziecka lub zwierzęcia, nie rozumiejącego słów do siebie skierowanych.

Kończymy. Z wywodów naszych okazało się, mamy nadzieję, niezbicie, że dążność do zerwania z monologiem ma swe źródło w zupełnem zapoznawaniu jego istoty i funkcyi. Monolog nie jest ani środkiem, ani wybiegiem technicznym. Jest celem sam w sobie. Jest procesem skupienia się przed czynem lub po czynie, procesem przygotowania akcyi lub reakcyi lub też właściwym ich tokiem, jest obrazem walki sił antagonistycznych we wnętrzu człowieka, w każdym więc wypadku ogniwem bardzo ważnem w ustroju dramatu, elementem nie zastoju, lecz ruchu, napięcia i pędu, a więc elementem nawskroś dramatycznym.

To też jego najpoczestniejsze miejsce jest w d r a m a c i e. Nie bez powodu też dramat posługiwał się nim z tak wspaniałem powodzeniem, nie bez powodu najwięksi tragicy w monologu byli rozmiłowani. Żyje i drga w nim bowiem nie tylko pęd i napięcie dramatyczne, lecz i wielki patos tragiczny, patos samotności i rozprawy z samym sobą, patos tajemnych myśli i żądz ukrytych, patos zmagania się z straszną zagadką istnienia.

ZYGMUNT BYTKOWSKI.

Nowe książki.

JÓZEF ATANAZY ROGRON, Wieczne Nowiny (poezye religijne. Tarnów 1909).

Bardzo osobliwa książka. Śmieszy i wzrusza na przemiany, niby taki ubożuchny, strugany „świątek“ przydrożny, bardzo niezdarny i zabawny, ale mimo to jakiś dziwnie przyjemny wyrazem, pobożniejszym od niejednego arcydzieła w ołtarzu, tajemniczy i uroczysty złożeniem koszlawych rąk, podniesieniem ufnych oczu. Nic innego, tylko taki właśnie „świątek“, który o niewiadomej godzinie dnia, jakaś prymitywna, wsiowa ręka przystraja wiernie w nastroszone wianki z macierzanek i rozchodnika, na którego dziwolążny widok przechodzień-esteta ruszyć musi ramionami, ale go chwyci niechybnie w Kodak dla osobliwości.

Wolałoby się nie znaleźć w książce J. A. Rogrona znajomych nazwisk św. Franciszka, Anioła Ślązaka i Novalisa; gdyby nie te źródła, świadczące o studyach i szukaniu świadomem (nie rozmyślnych dziwactw, ale pomysłów filozoficznych), byłyby „Wieczne Nowiny“ stokroć ciekawsze jako niezależny objaw, czyniłyby też autora dużo mniej odpowiedzialnym za biedne a liczne komizmy pomysłów i wyrażeń. Są zaś obok tych dziwactw obrazy, powiedzenia i pomyślenia tak piękne i głębokie, że się wydają jak żywe kwiaty zawieszone na sztywnych, struganych kikutach „świątka“... Całość zawiewa kadzidłem kaplic średniowiecza, prószy pozłótką wielkich gloryi wokół ciemnych lic anielskich, przypomina kantyczki i ów ogród klasztorny, w którym mnich-prostaczek z legendy wykonywał swe sztuki akrobatyczne ku chwale Najświętszej Panienki. *I. P.*

NADESŁANE DO REDAKCYI.

Kwaśniewski Karol: Z widzeń sennych (Poezye, nakł. autora, gł. skład w. Krzyżanowski Kraków).

Wróblewski Karol: „Genezis z Ducha. — Modlitwa“ J. Słowackiego. (Obraz duszy poety. — Lwów 1909. H. Altenberg, E. Wende i Sp.).

Poznański Czesław: Rzeźba francuska XIX i XX wieku (Lwów 1909, nakł. H. Altenberga). *O wydawnictwie tem, które już na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie niezwykle dodatnie, zamieścimy obszerniejszą recenzyę.*

Wize Kasimir Filip: Abriss einer Wissenschaftslehre der Asthetik (Berlin 1909, Verlag von R. Trenkel). *Tegoż autora ukazały się: 1. In der Stunde der Gedanken (Über das Wesen der Kunst), 2. Über den Zusammenhang von Spiel, Kunst und Sprache (in Zeitschrift für Ästhetik und allgemeine Kunstwissenschaft), 3. Friedrich Justus Riedel und seine Ästhetik, 4. Eine Einleitung der philosophischen Wissenschaften nach Aristoteles Prinzipien (in Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie und Soziologie), 5. Kants Analytik des Schönen (in Zeitschrift für Ästhetik etc.). Autor jest Polakiem, studyum powyższe nosi dedykacyę: Dem Andenken des grossen Dichters und Philosophen Juliusz Słowacki zu seiner hundertjährigen Geburtsfeier. Choćby z tego względu zasługuje, aby nań nauka polska baczniejszą zwróciła uwagę. Szkoda tylko, że nie pisze po polsku.*

Platon: Uczta, dyalog o miłości (przełożył, wstępem poprzedził i objaśnieniami opatrzył Władysław Witwicki. Lwów 1909, nakł. księgarni polskiej B. Połonieckiego — 1 tom „Symposionu").

Leopardi Jakób: Myśli (przełożył z włoskiego Józef Ruffer. — Lwów 1909, nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego — tom „Symposionu"). *„Symposion" — zbiorowe miano szeregu wydawnictw księgarni polskiej B. Połonieckiego pod redakcyą Leopolda Staffa. Wydawcy zapowiadają w pierwszej seryi biblioteki „Symposionu" przekłady: Platona, Montaigne'a, Vauvenargue'a, Waltera Patera, Diderota, Leopardiego, La Rochefoucaulda, Goethego, La Bruyère'a. Każdy tom S. stanowić ma „kwintessencyę filozofii życiowej innego myśliciela", „syntezę jego myśli o świecie i człowieku". — S. nie ma gromadzić teoretycznych systematów myślowych jako materyału do badań filozofii ścisłej, ale zbiera rzeczy stanowiące „praktyczną mądrość życia i dojrzałą wiedzę człowieka o człowieku".*

Zola Emil: Teatr (Spadkobiercy Rabourdin'a, kom. w 3 akt., Pączek róży, kom. w 3 akt., Teresa Raquin, dram. w 4 akt. — Przełożył J. Klemensiewicz. — Kraków G. Gebethner i Sp. Warszawa L. Biernacki i Sp. 1909).

*

Sfinks. Miesięcznik artyst. literacki i naukowy pod red. Wład. Bukowińskiego.

Przegląd Narodowy. Miesięcznik poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym i naukowym, społecznym, literackim i artystycznym; pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. (Red. Jerzy Gościcki).

Przegląd polski. *Miesięcznik artyst. literacki i naukowy wychodzący w Krakowie pod red. prof. Jerzego hr. Mycielskiego.*

Dilo. *Illustrowany miesięcznik poświęcony sztuce, wydawany przez Tow.: „Jednota Umelcu Vytvarnych w Praze".* Red. Alois Kalvoda *(art. malarz).*

La Nouvelle Revue Française. Revue mensuelle de littérature et de critique. (Comité de direction J. Copeau, A. Ruyters, J. Schlumberger).

Sprawozdanie XLI czytelni akademickiej we Lwowie. R. 1907/8 (nakł. Towarzystwa).

Sprawozdanie z Muzeum narodowego w Raperswilu.

Część druga — Wczoraj

Z listów Artysty
(r. 1866).

Żurawno 21 lutego.

. . . .

Są dziwne chwile i niepojęte zarazem, w których uczucia nasze szczególniejszej barwy nabierają; w których bez właściwej przyczyny, jedną razą upadamy na duchu i oddajemy się rozpaczliwemu zwątpieniu, inną znowu tak jakby jakąś niewidomą potężną ręką podpierani i naprzód gnani, nabieramy nieustraszonej odwagi i wszystko przełamującej herkulicznej siły! — Takiem-to dziwnie, silnem uczuciem i ja w tym momencie nawskróś przejęty jestem. Niema żadnej przeszkody lub zapory, którąby potężniejszą odemnie być mogła! Niema żadnej trudności, którejbym pokonać nie zdołał. Wszystko mi się z drogi usuwa, albo zwyciężone poddaje! I jestem panem ich wszystkich!... a jaki ja przecie mały, chory i bezsilny! — Jak często być muszę cierpliwym niewolnikiem, choćby najnieznaczniejszego zbiegu okoliczności! Jak często byłem, a i być jeszcze mogę, marną igraszką nieprzyjaznych losów?! — Tak jest — ale wiara w siły własne jeszcze mnie nie odstąpiła. Ona jest we mnie, a dziś nawet jeszcze większa, jak kiedykolwiek... Szczęść mi Boże!!

. . . .

4 marca ze Śniatynki.

...Wieczór nam prędko i zabawnie minął, bo tak jak zwykle, ja sobie rysowałem, a poczciwy Stacho[1]) czytał. Obrazy Litewskie były

[1]) Ś. p. Stanisław hr. Tarnowski.

na porządku dziennym, a z tych nieporównanie piękne Pamiętniki Kwestarza. Nieraz odcieszyć się nie można było tem złotem piórem naszego starego Chodźki. Co za humor, co za potoczystość wyrażenia się, ile jędrności i werwy, a malarz taki dzielny, jakich niewiele naliczyć by można między poetami naszymi...

5 marca rano po śniadaniu.

Mimo najserdeczniejszej ochoty do wszelkiej pracy... nachodzą mnie czasem chwile, gdzie pędzel i paletę na bok odłożyć muszę, a zatrudnić wyobraźnię zupełnie czem innem. Najczęściej uciekam wówczas do mojego malutkiego pokoiku i gryzmolę listy różne. Po półgodzinnej przerwie powracam do sztalugi i przestraszam się, odkrywszy w ostatnich pociągnięciach pędzla jakieś artystyczne, a raczej malarskie absurdum! Co żywo oczywiście wymazuję takowe i maluję na nowo, dzięki Bogu lepiej, jak było poprzednio. Myślałem długo, zanim doszedłem tajemnicy takiego dziwnego zapominania się. Są to chwile, w których wytężona wyobraźnia, a znużona dłuższą pracą, nagle staje się bezsilną, dopominając się odpoczynku. Wówczas bowiem tracę chwilowo zmysł porównawczy, nie mogąc słusznie osądzić, o ile to, co właśnie maluję, różni się od tego, co sobie w imaginacyi wystawiam. Takie to są czasem nasze artystyczne kłopoty.

. . . .

...To, czemu nic nie poświęcimy, dla czego nie cierpimy, tego i nie kochamy, choćbyśmy o tem najmocniej przekonani byli. Jest to tylko złudzenie chwilowe. A jak serdecznie miłujemy i uwielbiamy to, dla czego nie jedno się przebolało i przepłakało! Podam tu naprzykład, miłość do kraju i do ojczystej ziemi naszej...

. . . .

10. marca.

Ku wieczorowi byliśmy wczoraj w lesie! — Jakże tam pięknie było! Zielonego wprawdzie jeszcze mało. Biedne, już z daleka zieleniejące kreaturki przedwiośniane, wydobywając się mozolnie z pod grubej warstwy nakrywającego je suchego liścia, wyglądają jak pierwsi, odważniejsi wysłańcy, ciągnącej się powoli za niemi całej czeredy majowego kwiecia, zbłąkani na nieprzemierzonej puszczy, żółtego, je-

siennego liścia. Wyprężają swoje nieśmiałe główki do słoneczka, jeżeli się ono mimochodem nad biednemi ulituje — a poszle im kilka swoich promyków, nadstawiają mu malutkie kielichy kwiatu swego, prosząc go i błagając o słoneczną jego jałmużnę. Biedniątka i do mnie ramionka swoje wyciągały, do mnie się uśmiechały i chętnie dawały mi się zrywać, bo wiedziały, żem ich przyjacielem i stałym kochankiem...

...Zazdroszczę Paniom przyjemności słuchania odczytów literatury naszej, tem więcej, że miałem sposobność w tych dniach rozmiłować się i rozpatrzeć dokładniej w kilku jej prześlicznych płodach. Już wspominałem o Kwestarzu Ign. Chodźki. Przedwczoraj niestety przeczytaną była ostatnia stronnica tego arcydzieła. Z żalem rozłączyć się nam przychodziło z tym poczciwym gadułą!... Ileż to razy podczas odczytywania tej książki, zaskakało mi serce w piersi, ileż to razy łzy mi do oczów nabiegły... A jakież to przytem i zabawne! Druga równie piękna powieść są „Dworki na Antokolu“ także Chodźki...

...Mój Boże! Ileż tam prześlicznych i tych staropolskich uczuć, pełnych religii nieskalanej w wierze, niby drogich klejnotów, wziętych w spuściźnie po świętych pradziadach naszych, dochowało się w sercu tego wielkiego Mistrza! Od wczoraj czytamy „Nowe pamiętniki kwestarza“ także tegoż, ale już nierównie słabsze. Niema dziwu, bo arcydzieło prześcignąć jest niestety bardzo trudno...

...Tymczasem do książki trochę przybyło, a na sztaludze idzie raźno naprzód...

18 marca.

...Dziś po raz pierwszy po tylodniowej przerwie malowałem sobie bez żadnej przeszkody. Kończę jeden z tych obrazków... które przedstawiają Polkę w dwóch najwybitniejszych chwilach życia. Ten obrazek, przedstawiający ją szczęśliwą już skończyłem, ten zaś drugi, w którym jest bardzo smutna, właśnie mam w robocie...

Do Litwy jeszcze się nie biorę, bo początku jeszcze mi z Krakowa nie przysłano, a nie chciałbym, ażeby się później okazało, że następne obrazy, co do rozmiarów w figurach poprzednim nie odpowiadają. Na tę pracę cieszę się więcej, jak na wszelką inną, bo ta mi pójdzie wprost od serca...

...Wczoraj po obiedzie wyjechało moje poczciwe Szwagrzysko wraz z Parysem Filipim, rzeźbiarzem z Krakowa. Bawili tu u nas przez

dni kilka a przyjechali li dla tego aby zapolować na dziki. I byliśmy na polowaniu, ale na nieszczęście nigdzie z dzikami spotkać się nie mogliśmy. Ja na tem polowaniu po raz pierwszy, uniosłem się i zastrzeliłem dwoje prześlicznych sarniuków! Ale jakież gorzkie wyrzuty sobie robiłem. Tak nagle z krzaków wyleciały, że nie miałem czasu powstrzymać się w łowieckim zapędzie moim i wypaliłem a zamiast jednego, dwoje tego biedactwa przewróciło się na miejscu. Tej samej chwili pomyślałem sobie:...... Ale to już raz ostatni, już tylko do szkodliwych dzików strzelać będę. Na polowaniu jak zwykle bawiliśmy się bardzo dobrze, bo towarzystwo nasze było wprawdzie nieliczne ale bardzo dobrane...

...Myśl... o pracy mojej staje się od dnia do dnia... bardzo często przyczyną mojego zmartwienia. Ona spokoju i ciszy, a wreszcie, jeżeli nie uznania to przynajmniej złudzenia pewnego interesu u ludzi słusznie wymaga. A czyż w takim steku okoliczności mogę ja się tego spodziewać? — Niestety, ani myśleć o tem nie mogę. — Mnie stąd uciekać w świat, daleko, tam gdzie zupełnie li tylko sztuce i szczęściu mojemu oddać się mogę, tam gdzie już samo stworzenie nas o tem naucza jak każdą godziną serdecznej pracy ludziom posłużyć a Boga pochwalić należy! — Ach mnie do Włoch, mnie do Rzymu, jak najprędzej!!! — Na środki dostateczne do takiej dalekiej podróży zapracować trzeba. Jest nadzieja że je może zdobędę, ale kiedyż, kiedyż to będzie?!...

Ale nie — nie chcę jeszcze rozpaczać, jeszcze walka nie rozpoczęta, jeszcze wypadek walki niewiadomy, więc w Bogu nadzieja! — Może wszystko prędko i szczęśliwie dokonać potrafię, a jako tarcza od wszelkiej napaści rozpaczliwego zwątpienia, niech mi posłuży Psalm: „Kto się w opiekę!"...

...Ot i smutek odpędziłem! — Jest mi weselej i jakoś mi lżej na sercu...

Przestałem rysować... Możebym tego nie zrobił, gdyby nie to, że studya potrzebne do obrazu już spożytkowałem a nowych porobić nie mogę, dla braku do tego potrzebnych strojów...

Czwartek 7 rano 10 maja.

. . . .

...Nie naprózno ja z taką szczerością i nabożeństwem odmówiłem: „Kto się w opiekę"...

I otóż czego tak z duszy pragnąłem, ów kątek spokojny gdzie sobie pracować mogę, już mam... sami domyślili się zapewne, że mi tego brakuje i dopomogli do tego, że się już z całym zastępem moich kredek, wiszorów, bułek i etc. etc. etc. roztasowałem. Robiłem prawie dzień cały i wyrósł mi już jeden bohater strasznej Litwy mojej, wprawdzie nieskończony jeszcze ale już wyraźny. Dziś inni pójdą w jego tropy a może prędko przybędzie 4-ty obraz w szeregu. A więc „Górą nasza“ zawołam z całej piersi!

11 maja, piątek rano.

Zapewne i Ty sam... musiałeś to spostrzeżenie zrobić, że najwybitniejszą cechą mojego usposobienia wewnętrznego, jest pewne jakieś przerzucanie się z smutku do wesołości, z nadziei do zwątpienia. Że sądząc czasem z pozorów przedstawić się mogę jako biedna, od każdego wrażenia zależna kreatura. Niestety wprawne oko badacza słusznie by to do charakteru mego odnieść mogło, ale ja Ci na szczęście moje zaręczyć mogę solennie, że to jest tylko chwilowe, że mnie to odstąpi a na to miejsce nastanie ten pewien spokój znamionujący człowieka w głowie i w sercu już na całe życie porządnie zagospodarowanego... Nie szalona, nie waryacka ale potężna miłość do powołania mojego [jest] dla mnie najpewniejszą rękojmią, że się w nadziei co do przyszłego losu i przeobrażenia charakteru mojego zawieść nie mogę. Ta miłość... jest dla mnie dzisiaj tem samem czem jest dla młodego i dzikiego konia owa biała długa linewka, której używają aby konia nie męcząc ani lejcami ani uzdą ani batem, przyzwyczaić do spokojnego, pewnego i jednakowego chodu...

12 maja.

. . . .

...Jak deszcz nawalny spada na mnie jedno strapienie po drugiem, a ja pracować bez sukcesu nie mogę — ja stwarzać piękne rzeczy — ja apostołem a wieszczem w artyźmie moim być muszę — ja najdrobniejszą pracą moją podupadłego ducha bliźnich moich podnosić, ja ich pocieszyć, ja im odwagi i miłości dodawać muszę! — A skąd tego dla siebie mam ja zaczerpnąć??... Nie jest-że to czystą ironią dopatrywać wesołości na ustach biednego Artysty — i nazywać go

Wybranym? ...Prawda — jest on wybranym — ale z pośród największych nędzarzów, osłonięty tą samą podartą szmatą, co i tamci, z tą tylko różnicą, że tamtych piekło w błazeńską czapkę, a nas w wieńce laurowe przybrało!

. . . .

Poniedziałek 14 maja o 8-ej rano.

...Zdaje się, że dobre i zdrowe myśli napłynęły mi w tej chwili do głowy i rozpoczęły w niej prawdziwy jarmark. Sto „za“ i tysiąc „przeciw“ spiera się ze sobą, a chodzi tu o jeden z obrazków należących do Litwy. Walka zawzięta, bój krwawy, chcę odczekać wypadku tej bitwy. Otóż i jest — rozbite kolumny i przełamane szeregi całego zastępu dawniejszych zaprojektowanych myśli, ustępują przed nawałą nowo ożyłych. „Górą nasza!“ wołają najezdnicy i już ci drudzy wyparci z kretesem. I ja przerzucam się na stronę zwycięzców i w tym duchu rozpocznę dzisiejszą robotę.

15 maja wtorek 9-ta rano.

. . . .

W koło mnie krzyk, gwar i taki tłok w naszych trzech malutkich pokoikach, że ja doprawdy nie wiem jak mój dzisiejszy liścik wypadnie. Spało nas na kupie pięciu! Teraz ja ubrany siedzę przy stoliku i piszę, a oni się wszyscy ubierają. Jeden drugiemu co chwila pomiędzy materace po ziemi rozścielone z drogi ustępuje, a pomimo tego, trącając się co moment łokciami, co chwila przepraszają — a wszyscy razem krzyczą i gwarzą! — Sprzedają i kupują konie; ścigają się wzajemnie na koniach; sadzą płoty i rowy, albo i rogatki; biegają o zakład, a w tej chwili właśnie — o teraz — teraz założyły się ze sobą dwie strony, jedna utrzymująca, że stąd do Drohobycza jest mila austryacka, a drudzy że to jest tylko 5 wiorst rosyjskich. Zakład stanął — słyszę czasem pojedyncze, głośniej wymawiane słowa wśród wrzawy nieprzerwanej: Ale proszę Cię! — kiedy to być nie może! — za pozwoleniem! — z żoną moją! — wystrychnie się na dudka! — itp. W tej chwili zaczynają się wynosić. Za godzinę jadą z łańcuchem mierzyć drogę stąd do Drohobycza, a ja pocichu na konika aby list oddać na pocztę...

...Teraz w pokoiku moim zupełnie ucichło, słyszę tylko szemranie pióra po papierze [i] mój własny oddech...

Wtorek 15 maja pół do 7-ej wieczorem.

...Deszcz leje jak z cebra. Całe niebo oblekło się w szarą i posępną szatę... Niema gdzie oczów podziać. Cały widnokrąg zamroczył się wokoło, a mgły raz w tą, raz w ową stronę od wiatru gonione, zasłoniły mi mój ulubiony kątek na niebie, w który co wieczór wpatrując się z największem upodobaniem przypominam... Tym ulubionym kącikiem jest moja poczciwa, a tak dziwną żałością jakąś przejmująca, zorza wieczorna. Dziś jej nie widzę i nie będę widział... Już się porządnie ściemniło, tak że dalej pisać nie mogę.

. . . .

Ach graj dużo i długo... Ach... ile razy ta Muzyka pocieszyła [piszącego] w zmartwieniu, ile razy ona podźwignęła go upadającego już na duchu, ile mi ona chwil prawdziwie pięknych w życiu zgotowała. ...Ach o Muzyce powiedzieć można: że to jest mowa której Stwórca w tajemnicy swojej niezgłębionej używa, aby Go każdy uciśniony przeczuwał, do Niego się podniósł, ale nie sięgał do Niego! — I mnie ona nieraz uniosła, ale też pokornie poklęknąć przed Wszechmocnem Bóstwem nauczyła!... kochaj Muzykę!

Wtorek 22 maja 9-ta z rana.

. . . .

...sztuka, której się poświęciłem. — Ona była zawsze i jest dzisiaj tą jedyną pociechą dla [piszącego]... Ona jakgdyby ta najczulsza kochanka zawsze słówko nadziei, pełne miłości i współczucia, wyszepnie mu do ucha, zasmuconego powoli udobruchawszy, prowadzi do sztalugi — a w tej chwili on odżywa... I cóżby on począł, gdyby tak jak wielu innych, nie umiał sam sobie całe światy, pełne życia i czynu stwarzać w imaginacyi swojej — gdyby nie umiał duchem przenosić się w takie sfery, gdzie go żadne strapienie nię dosięże?...

Czy Ty mnie rozumiesz?... Szczęśliwe! — Wy już od dziecka chowane inaczej, zaprawiane już za młodu do powściągliwości i zatajenia wszystkiego co Wami wstrząsa — zaprawiane do zaparcia się najżywszych uczuć — do przytłumienia najgwałtowniejszej namiętności i do

zniesienia wszelkiego zawodu. — Wy nie wiecie, co się czasem dzieje w nieokiełzanem i rozhukanem sercu mężczyzny! — Takie serce gromami miota, piorunami ciska, całym światem potrząsa — a ono tylko pragnie! — tylko pragnie! — Są to dla Was tajemnice, którebyście chętnie dociekały — którebyście zbadały — ale Wam na to odwagi nie stać, bo Wy zbyt czułe, wrażliwe, albo słabiuchne kreaturki jesteście...

Ale nie do Ciebie skierowałem ja moją ostatnią frazę.

. . . .

Poniedziałek 25 maja 8-a rano.

...Może nigdy wywołanie ducha do pewnej kiedyś właściwej mu formy, nie wydało mi się tak rzeczą możebną, jak dzisiaj. Niegdyś zdawało mi się prawie niepodobieństwem samym duchem podnieść się tak wysoko i przyprowadzić go do tej potęgi, ażeby on nawet zmysłami naszemi zawładnął. Przez zlanie wszelkiego pragnienia i całej niezłomnej woli naszej w istotę ducha, nadać mu taką siłę i twórczość, ażeby on był w stanie stworzyć obraz dla oczu naszych, stworzyć harmonię dla uszu nie ducha ale ciała, tam, gdzie ani obrazu ani harmonii w rzeczywistości nie będzie. Jednem słowem: nie wierzyłem w cudy — ale dzisiaj o możliwości stania się cudotwórcą przekonany jestem. — A czyż mnie teraz wiele do cudu brakuje... ...Ale cud się nie stanie — a wiesz... dlaczego? — Bo ja sam nie chcę! a to z przyczyny, że trochę powątpiewam, ażeby twórczość ducha mojego była tak dalece potężną, ażeby, równie jak na zmysł widzenia i słuchu także na zmysł dotykania tak silnie oddziaływać potrafiła. Bo też znam siebie zanadto dobrze, że w chwili cudu, skoczyłbym jak szalony do wywołanego... I cóż? możebym [nic] tam nie znalazł, gdziem się... spodziewał... a tem dotknięty do żywego, najokropniej rozczarowany, jak niepyszny powrócił do stolika...

Ale bez żartów... — ja doprawdy w cudotwórczość wierzę, bo się od dnia do dnia o wzrastaniu potęgi ducha przekonuję.

Niedziela 10 czerwca o 10-tej wieczorem.

...Bodaj w krótkości podzielę się z Tobą wrażeniem, które z naszej dziewięciodniowej wycieczki w Beskidy do domu przywiozłem.

Południowe okolice obwodu Stryjskiego, Stanisławowskiego i odrobinę Kołomyjskiego zwiedziliśmy. Byliśmy u kamienia w Bubniszczu, u wodospadów Maniawy, Bukłowca i Prutu. Przejechaliśmy kraj bardzo bogaty w malownicze widoki. Nieraz zachwycaliśmy się najprześliczniejszą grą światła i cieni — raz na rozległym widoku nieprzejrzanych równin, to znów wpośród śniegiem i dziewiczemi puszczami zarośniętych gór i skalistych parowów. Gdybyś była widziała naszą biedniutką, naszą polską Maniawę — jak ona rozkosznie, jak zalotnie, a zarazem z jakim szalonym pędem rozbryzguje się, z bardzo wysokiej, a tysiącem ostrych kamieni najeżonej skały, spadając w głęboką a jakgdyby umyślnie w półkole zatoczoną kotlinę! Milion kropel jak milion brylantów, podrzuca i rozdmuchuje w powietrzu, milionem tych drobniutkich kryształów zasypuje patrzącego i bryzga i szumi, jak gdyby się gniewała na zachwyconego widza... ...Wodospad Bukłowca równie piękny ale większy i może groźniejszy. — ...Najwspanialszym jest wodospad Prutu. Słusznie lud okoliczny nie nazywa go szypotem, jak to mówią o Maniawie i Bukłowcu, ale nazwał go Hukiem. Bo też huczy, że zdaje się nieraz jakoby jego wody podrzeźniały się burzy i grzmotom, a z jego strasznie buchających bałwanów zda się co chwila że błyśnie albo piorun uderzy!...

...Byłbyś nieraz płakał, nieraz odwracał [się] aby nie widzieć... człowieka z głodu umierającego!...

...Wszystkie najpotężniejsze wrażenia bledną wobec tego straszliwego obrazu. Cóż są moje zmartwienia, cóż są cierpienia wielu nieszczęśliwych między nami, wobec tych biednych nędzarzy! — Tam — tam, niech idzie człowiek życiem przesycony, samobójca na godzinę przed śmiercią — tam niech pójdzie stracony dla ludzi i dla świata myśliciel — tam na wszystko zobojętniały filozof — a wzdrygnie się cały i przekona, że jest jeszcze na świecie cel, któremu życie poświęcić można. — ...to okropnie wygląda — to nie opisać, chyba odmalować można. — Ach gdybyś była widziała wlekącego się zaledwie starca, któremu już śmierć z oczu patrzyła, a który spodziewając się od nas jakowejś lekarskiej rady, nie przyznając się, że już oddawna nic nie jadł, pytał z całą skromną ale okropną naiwnością, czybyśmy mu nie powiedzieli „dlaczego mu tak z niczego nogi bardzo spuchły, że dalej chodzić nie potrafi — i czy jakiego lekarstwa na to nie wiemy?“ — Ach tego słuchać nie można! — Biedakowi tylko powszedniego chleba nie stało! Mój Boże, że tego u Ciebie on wyprosić nie mógł!?

Odeszliśmy prędko aby na to nie patrzeć, ale już niedaleko zobaczyliśmy biedne małe chłopię, zaledwie kilką dziurawemi szmatami

przysłonięte, chodzące a raczej zataczające się jakby w obłędzie, lub wpółsenne, chude jak szczypka, a oboma rękami wciskające jakieś duże zielone liście do gęby. Patrząc w ziemię a w jej łopianach, chwastach i zielonej trawie pokarmu wyśledzając, nie zważało na nas, a nawet pożebrać już nie przyszło! — Inne znowu blade z zapuchłemi oczami, a świecącemi jak czarny płomień, zbiegło na drogę i do nas [się] zbliżyło. Nie prosiło jałmużny tylko na zapytanie czy głodne, powiedziało, że ma boleści w żołądku, a głodne nie jest. Chleb, któryśmy mu dali zaniosło do Matki i czworga biednego rodzeństwa. Jaka tam nędza w domu, jaka na każdej twarzy, ach tam ona już w całem powietrzu! — Dlaczego milionów albo tysiący rozdać nie mogliśmy między ten biedny naród? — To na co się zdobyć mogliśmy ginęło jak kropla w morzu a zawsze inni, coraz to inni cisnęli się do nas a wszyscy głodni i chleba i chleba wołali. — Raz zatrzymawszy się na drodze przywołaliśmy kilku skulonych i leżących przy rowie takich biedaków. Najstarszy, na pytanie co brakuje, odpowiedział krótko i sucho: „Ej Pane, nam wsim odnoho brakuje!" i nic dalej. Drugi obudzony z zadumienia spostrzegłszy pieniądze na dłoni a więcej onych jak się może spodziewał, skoczył, popatrzył z dziką radością na rękę a potem drugą chciał uchwycić za szyję aby ucałować dawcę. Tysiące takich rozdzierających obrazów musieliśmy widzieć, a jak mało i mizernie przyczynić się do ich ratunku. — Aż mi lepiej, że na to już nie patrzę, że w domu jestem a wszystko minęło dla oczów moich. Niestety nie minęło jako żyjące, do Boga i do ludzkości o ratunek wołające nieszczęście!

Środa 11 lipca.

. . . .

Jestem w Śniatynce od wczorajszego wieczora. Dziś zabieram się do naklejenia wszystkich obrazów na kartony a jutro do ostatecznego poprawienia wszystkich błędów — tak aby w sobotę w południe być już ze wszystkiem gotowem we Lwowie a w niedzielę przyrządzić do wystawy.

...Tu u nas bardzo pięknie i milutko — ot jak zwykle. Mnie tu najlepiej, najciszej a najswobodniej... Ze Stasiem poczciwym, który już ma się znacznie lepiej, rozmawiałem o moich planach co do Litwy i Wojny — a on na wszystko zgadza się najzupełniej. Dlatego o podróży do Paryża przed pobytem w Pieniakach u PP. Dziedu-

szyckich ani myśleć nie można. Paryż jest dziś dla mnie ostatecznym środkiem pomocy...

...Wystawę Litwy ogłoszono za wstępem a dochód przeznaczono na korzyść rannych Austryaków! — t. j. z pułku Nużanów! — a co Ty na to...? — Śmiejesz się i może w duchu gniewasz...? — Dlaczego, to wiemy już oboje — ale tą razą gniewałabyś się może niesłusznie. Austryak a raczej Polak w austryacki mundur gwałtem ubrany a potem dla czyjegoś widzimisię posiekany na beefstek, miałby być dlatego potępionym? Taki w oczach moich biedniejszy jak wielu innych i dlatego takiemu raczej rękę do pomocy podać należy... — a dając pomoc żołnierzowi austryackiemu z pułku Mortini podaję ją biedniejszemu odemnie Polakowi!...

Lwów 13 lipca o 11-tej wieczór, kwatera u Fedorowicza.

...Od południa jestem we Lwowie. Prędzej wybrać się zdołałem jak przypuszczałem. Wszystko na mojej „Lituanice" gotowe prócz jednego rękawa i kartki tytułowej.

...I tak siedzę sobie w pokoiku, który tak często tego roku gościnnie [mnie] przyjmował... I znowu wszystko tak samo wkoło siebie widzę, jak niegdyś w zimie. — Wszystko pozostało jak było, tylko ja biedak tak zupełnie inny! — Ile szczęścia, a przytem ile zgryzot i udręczenia przeszło od tego czasu przez moje serce. Niedopoznania. Ach prawda, bo ja przedtem nie wiedziałem, że oprócz złodziei i żydowskich lichwiarzy są jeszcze inni źli ludzie na świecie! — Prócz tych, ja wszystkich kochałem, przed żadnym wstrętu ani obrzydzenia nie miałem. Dziś już bardzo wielu nie kocham i niestety wielu z nich nienawidzę! — Ten symptom... niech Cię może nie przeraża, bo mnie się zdaje, że każde uczucie, że wszelkie całą naturą człowieka wstrząsające uczucie, wyradza już przez to samo co do potęgi wyrównywające uczucie odpowiednie w przeciwieństwie. I tak zdaje mi się aby coś znienawidzieć trzeba coś innego wprzódy z całej duszy pokochać — i przeciwnie...

...Przez dzień jutrzejszy muszę zrobić ten nieszczęśliwy rękaw, choć doprawdy sam nie wiem, skąd ja na to modela wytrzasnę, a przytem do „Lituaniki" zrobić kartę tytułową... zrobię Pogoń ale może trochę inną jak ten znany herb Litwy, bo do ręki zamiast miecza, dam jej stargane kajdany. Papier na to będzie smutnego ciemno - szarego

koloru a litery i Pogoń będą czarne. Chciałbym ażeby już sama okładka robiła wrażenie strasznej boleści.

W myśli Wojna moja postępuje. Już kilka obrazów majaczeje, chociaż niewyraźnie. Ale zupełnie określonego planu całego szeregu jeszcze sobie utworzyć nie zdołałem — a to dla zbytniego zaprzątnienia wszystkich narzędzi intelektualnych i Lituaniką i jej przyszłością.

...W niedzielę po raz pierwszy przedstawi się [Litwa] większej publiczności. Ciekawym bardzo na zdanie, które o niej wypowiedzą. Boję się bardzo jednego zarzutu a to jest ignorowania w niej takich figur, co do ich charakteru, jak są Platery, Sierakowscy, Mackiewicze, a i Murawiewy — osobistości tak wybitne i tak we wszystkiem mające swoją właściwą cechę. Zarzut ten byłby mnie spotkał nieochybnie i słusznie, gdybym był nie odmienił tytułu „Lituania" na „Lituanica". Ale ta zmiana salwuje mnie po części, bo to wyrażenie, samo przez się powiada, że to są obrazy wprawdzie z Litwy, ale nie będące obrazem Litwy z r. 1863. Zresztą wszystko zobaczymy i nic nie mówmy przed czasem...

Sobota o 11-tej wieczór.

...Cały dzień przeszedł mi po części na rozmaitem chodzeniu a raczej łażeniu za interesami dotyczącemi jutrzejszej wystawy mojej „Lituaniki" a po części na poprawkach niektórych i na szkicowaniu kartki tytułowej. Jest to Pogoń ale z mieczem w ręku a nie starganemi kajdanami; pokazało się bowiem, że postać rycerza straciłaby może charakter litewskiego herbu Pogoni gdybym miecza nie był zatrzymał. Ale i tak dobrze, a nawet odpowiedniej do zakończenia mojej powieści litewskiej, bo w rzeczy samej biedni oni tych więzów nie stargali a mieczem właściwie wojować i wywalczyć się usiłowali.

...Rano o 9-tej byłem już z rysunkami u Mateczki[1]) I... jak to zwykle bywa, wpośród 6-ciu obrazów znalazł tam każdy swoje najmilsze. Mateczka także trzy obrazki szczególniej chwaliła, a w wyborze przekonała mnie o swojem pięknem i uczuciowem zapatrywaniu się na utwory artystyczne. Im bliżej poznaję tę kobietę tem większym dla niej przejęty jestem szacunkiem. A co mnie w niej zachwyca, to jest owo czyste zdrowe a wszystko tylko w wielkich zarysach pojmowane widzenie rzeczy, przy całej wrażliwej delikatności uczucia

[1]) Imieniem „Mateczki" nazywał Grottger czcigodną przyjaciółkę swoją ś. p. Izydorę Skolimowską z Dynisk.

i całej wrażliwości właściwej kobietom. W jej towarzystwie, zdaje mi się, serce jak lód zimne ocieple je a równocześnie zanadto miękkie, nabierze siły i hartu. Jak mało jest takich kobiet!

15 lipca Niedziela.

...Dziś od 10-tej otwarta już sala ratusza a w niej moje rysunki do widzenia. Dziś jeszcze od 6-tej do 9-tej byłem zatrudniony wykończaniem i poprawianiem niektórych.

Dziwnie jak dla mnie wszystko zobojętniało. Niegdyś byłby to dla mnie dzień bardzo ważny i pełen owego dziwnie przykrego a przecież i miłego niepokoju. Nie w twarzy widza albo znawcy, ale w jasności słońca, w szafirze nieba, albo zieloności drzew, lub w czemkolwiek innem, byłbym był z niecierpliwością starał się wyczytać wyrok, który o pracy mojej wypowiedzą. Byłbym był dziwnie aż do głębi wzruszony, uciekał może z przed oczu ludzkich, aby nic nie widzieć i niesłyszeć a w duchu cieszyć się tą myślą, że mi się ulżyło na sercu, bo to, co już oddawna wypowiedzieć chciało, przecież raz wyrwało się z piersi mojej i całą duszą przemówiło!... Możeby tak było jeszcze do niedawna a jakże dziwnie jest to dla mnie w tej chwili obojętne! Czy zrozumieją — czy nie — czy pochwalą — czy zganią, — wszystko, bez odgłosu obije się o duszę moją a niestety, ach, niestety, wołam, tylko jednę strunę we mnie poruszy — korzyść! — czy będzie jaka korzyść materyalna?!!! — I to smutno — prawda?... Gdyby nie to przekonanie, że to jest tylko peryod przechodowy w nieprzerwanej historyi uczuć i wrażeń moich, to bym dziś był nierównie smutniejszy. Ale mnie pociesza jeszcze zawsze ani na chwilę niezachwiana wiara, w prawdziwą moją miłość do sztuki. Ja ją kocham całą duszą...

...Przyjechał dziś jeden z najpoczciwszych moich przyjaciół Parys Filipi z Krakowa, przywiózł wiele pocieszających wiadomości o Matce, Siostrze i Panu Siostrzeńcu moim... Parys dziś wieczór jeszcze jedzie do Żółkwi gdzie restauracyę pomników tamtejszych przedsiębierze.

Środa 18 lipca, rano o 8-mej.

...Dzień wczorajszy przeszedł mi dosyć głośno i gwarno. Z rana siedziałem z moim poczciwym Władkiem Fedorowiczem w domu,

malując główkę Pańkowskiego i słuchając jego rozpowiadania o podróży, z której właśnie powrócił. Po obiedzie ku wieczorowi poszedłem do sali ratuszowej, gdzie mnie jeden z bliższych znajomych oczekiwał. Bardzo liczne grono ciekawych i mężczyzn i kobiet zastałem przy moich obrazach. Na szczęście nikogo znajomego tam nie było i tak uszedłem szczęśliwie wszystkim chwaleniom i winszowaniom w takich wypadkach nieuniknionym. Ale jakże byłem ucieszony, gdy między innemi weszły także dwie małe panienki, a ja w nich poznałem te same, za któremi dzień przedtem chodziłem po Jezuickim ogrodzie. Starsza może dwunastoletnia dziewczynka jest tak piękna i w rysach tak wyszczególniająca się, że zachwycony byłem czarem tej malutkiej twarzyczki. Druga, młodsza, także bardzo ładna ale mniej klasyczna co do rysów. Nic zupełnie nie wiedziałem, że to są córeczki Pani Alfredowej Potockiej. Była ona wraz z niemi, z wielkim interesem przeglądała Lituanikę, przyczem jej ciceronowałem — a że bardzo żywo przejęła się losem moich bohaterów, świadczyło wzruszenie, z jakiem zastanawiała się nad każdym obrazem, a w końcu dwoje łez, zapewne serdecznie i szczerze uronionych... Prosiła mnie potem równie i dwom maleńkim panienkom posłużyć za tłumacza... ...jakbyś był rozkoszował widząc tych dwoje lubych twarzyczek, patrzących z wytężeniem raz na obrazy, a raz na mnie, opowiadającego im smutną historyę o biednym litewskim borowym. Obraz ostatni gdzie jest Matka Boska, podobał im się najbardziej. Skromniutko podziękowawszy i z wypieczonym rumieńczykiem na buzi, wyszły za Matką, a za niemi i ja wyszedłem. Doprawdy... że tą razą byłem tak dziwnie spokojny a tak żywo przejęty całą doniosłością powołania Artysty-Polaka, że sam sobie sprawy z tego dać nie mogłem, a pomyślałem, jak okropne musi być życie i czucie Artysty, który się widzi niezrozumiałym, albo się o to nigdy nie troszczy — jak smutny los tego, który pragnie, ale nigdy nie umie być zrozumiałym... Maluję Pańkowskiego, ale bardzo z roboty nie jestem kontent — a dziś oczekuję napróżno Matki jego. Dużo mi na tem zależy aby widziała głowę jeszcze nieskończoną, bo w takim razie można jeszcze z łatwością wszystko poprawić. Przez dzisiaj jeszcze zostaną rysunki wystawione, bo mnie o to wczoraj bardzo z różnych stron proszono...

...Nie mam nadziei aby tu przez kogo zakupione zostały, więc odeszlę je do Krakowa do Szwagra, który je chce niezwłocznie sam fotografować, a oryginały albo sprzedać na miejscu, albo posłać do Paryża. Co do mnie to ja w każdy sposób jadę do Paryża, bo chcę raz już wykonać to coup d'etat rozstrzygające moją całą przyszłością.

Mając Polonię, Lituanikę i Warszawę razem w Paryżu, może i moja Wojna łatwiej do wziętości przyjdzie.

...Pierwszy obraz rozpocznę może jutro, a będzie on przedstawiał kikoro ludzi różnego stanu i wieku stojących na podsieniu i patrzących milcząco w stronę, gdzie na niebie wieczorem kometa złowrogi z długim ogonem ukazał się, straszne klęski i nieszczęścia zapowiadając.

Pieniaki 22 lipca..

...Od wczoraj od południa jestem już w Pieniakach. Gdyby nie mój ciągły wewnętrzny niepokój, to jakieś nieustanne oczekiwanie czegoś, co moim losem rozstrzygnąć potrafi... toby mi tu bardzo było dobrze. — Gospodarstwo — jedni z najzacniejszych ludzi, których poznałem tu w kraju, ludzie pełni życzliwości i najserdeczniejszej gościnności, są nam tak radzi i tak szczerze pragną nas zabawić, że doprawdy kiedyindziej pobyt w Pieniakach byłby mi bardzo miły i pożądany.

...Cieszyłem się już naprzód, że tu w Pieniakach rozpocznę moją „Wojnę" — ale trzeba było nieszczęścia, że mi się zachciało przyrządzić sobie papier na tę robotę przeznaczony. Pełen wiary w moją zgrabność wziąłem się do tego i... wszystko popsułem!... Cała nadzieja, że przy tej robocie kilka dni tu spędzonych, przeżyję sobie w spokoju, zniknęła.

. . . .

Wtorek 24 lipca po północy.

...Do południa siedziałem nad rysunkiem, który chcę tu w Pieniakach na pamiątkę zostawić, a który przedstawia trzech Sybiraków pracujących nad wyciosaniem skromnego drewnianego krzyża. Mógłbym to nazwać Rekreacyą na Sybirze. Obrazek nie wielki ale bardzo mroźny i smętny. — Resztę dnia wypełniło wykończenie portrecika dwojga małych panienek. — Jeszcze po herbacie zasiedliśmy przy stole i tu, tak jak gdyby we Lwowie w Twoim domu, było czytanie i rysowanie. Pan Włodzimierz czytał nam w głos ustępy z niezrównanego Mohorta, a [piszący] rysował dalej jeszcze nieskończonych Sybiraków. Ach — nieraz sobie myślę, że ja doprawdy może niewart jestem, aby mi ludzie tyle prawdziwej życzliwości okazywali? — Ileż razy

doznaję od nich tyle najwyraźniejszych dowodów serdecznego udziału i współczucia! — A wówczas przychodzi mi na myśl [czym ja] jako zwyczajny śmiertelnik, czy jako utalentowany artysta, zasłużył sobie na te względy? Czy mojej prostej i szczerej uczciwości, czy mojemu talentowi malarskiemu mam to do zawdzięczenia? Ani w jednem, ani w drugiem nie dostrzegam do tyla zasługi — i zaprzestaję dłużej się nad tem zastanawiać, myśląc w duchu: Może to Miłosierna Bozia za wiele i wiele doznanych w życiu przykrości — w ten sposób wynagradza to biednemu?... — I tak to być musi.

Środa 25. lipca..

Sybiraków skończywszy podarowałem zacnej naszej Gosposi a wzamian dostałem szczere i serdeczne podziękowanie. Daj Boże zawsze tak miłej zapłaty! — Portretu dwóch panienek i dziś jeszcze skończyć nie zdążyłem... Ale w piątek rano jadę już w każdym razie, a zabawiwszy przez sobotę i niedzielę we Lwowie... do Krakowa z mojemi obrazkami, gdzie po walnej naradzie rozstrzygną się losy Lituaniki... Prześliczny wierszyk „O Kobiecie“ odczytała mi dziś Pani Dzieduszycka. Pióra zdaje mi się Pani Żychlińskiej [Żmichowskiej] która pisała pod imieniem Gabryeli... Dlaczego ja myśli moich wypisać nie umiem? i nieraz bardzo żałuję, bo piękne bardzo — ach — czasem cudowne obrazy powstają w mojej myśli, zabłysną i niestety zgasną, dla wszystkich niewidziane, jakby w morzu zapomnienia!

Kraków 30 lipca.

...Pomimo że w kilku miejscach byłem starając się o salę dla wystawy Lutuaniki, nie dowiedziałem się jeszcze, gdzie właściwie będzie mogła być do widzenia. W Towarzystwie naukowem właśnie coś restaurują, a gdzie bywa wystawa Sztuk pięknych, niewolno — jak mi mówił Pan Sekretarz — innych obrazów wystawiać. I to jest Towarzystwo Sztuk pięknych, mające 4 czy 5 sal do dyspozycyi, stojących w tej chwili bez użytku! — Nie jest też to Kulików?

31 lipca Wtorek po obiedzie.

Jak mi się zdaje, to dopiero w Piątek będę mógł [Lituanikę] wystawić w sali Towarzystwa Naukowego, pod opieką kilku Pań krakow-

skich, które zapewne jej nie odmówią, jako w sprawie dotyczącej wsparcia biednych głodem dotkniętych włościan w Kołomyjskiem i Stanisławowskiem. [1]) — Czy nie jest to ubliżającem dla Krakowa, [że] się mieszkańcy nie postarali o zawiązanie komitetu ku pomocy tym nieszczęśliwym? — Jutro pójdę do kilku tych dam krakowskich, ażeby się trochę poumizgać...

11-ta wieczór.

Miałem dziś kilku dawnych kolegów Malarzów w odwiedziny. Izydor Jabłoński i Matejko. — Dosyć byli zadowoleni z Lituaniki. Matejko zrobił mi kilka słusznych bardzo uwag, według których jutro rano porobię kilka poprawek. Mówiliśmy bardzo dużo o myśli przeprowadzonej w tych obrazkach. Zdania były nie zawsze zgodne, bo pochodzące z tego, że nasze zapatrywanie różniło się czasem co do formy. Zresztą byli kontenci z pracy mojej.

...[Piszący] był niezmiernie ucieszony z dzisiejszego popołudnia... Byłem bowiem w pracowni naszego Delarocha-Matejki — i widziałem ostatni jego, jeszcze niezupełnie skończony obraz. Ach bardzo nim byłem zachwycony, mimo, że nie ze wszystkiego zadowolony. Przedstawia on Rejtana w chwili kiedy się rzuca u drzwi sali sejmowej i protestuje przeciw zezwoleniu na podział Polski... Obraz wspaniały w całem znaczeniu tego wyrazu, pełen życia co do koloru i pełen akcyi. [Patrzący] radował się widokiem tych żywych nadzwyczajnie plastycznych i prześlicznie skomponowanych figur. Ileż tam detalii pełnych wyrazu i prawdy — jaka uwaga na każdą najmniejszą drobnostkę — a ileż tam prawdy psychologicznej! — Nie zapuszczam się w detajliczną krytykę, bo ta w żaden sposób nie mogłaby Cię zaspokoić... dodam tylko, że mnie co do ogółu dlatego niezupełnie zadawalnia, bo co do akcyi ma kilka fokusów... Ma on ten błąd, że się na nim za dużo dzieje, co uwagę widza od głównej myśli obrazu trochę odwodzi — i przez to jej wrażenie osłabia. A wynika to z tego, że jakkolwiek większa część figur są aktorami głównego dramatu, to mimo tego jeszcze zanadto dużo innych, zajmuje się równocześnie w innej zupełnie materyi, a to do tego stopnia, że są dwie grupy, stanowiące $^2/_3$ obrazu całego, a nie wiedzące o tem, co się dzieje z Rejtanem. Zdaje mi się, że Autorowi o to chodziło, ażeby

---

[1]) Patrz powyżej ustęp opisujący klęskę głodową w Huculszczyźnie, dla której ofiar Grottger połowę dochodu ze wstępów na wystawę Lituaniki w Krakowie, przeznaczył.

wprowadzając równocześnie kilka dramatów na scenę, przez to tem dobitniej wyrazić zgiełk i zamieszanie obecnej chwili. Ale jabym tego przecież nie pochwalił. Przypuszczam, że w naturze może się to inaczej nawet nie działo — ale jabym się był przecież tą razą nie trzymał tak niewolniczo czczej prawdy — ale może coś dodał po własnej myśli i byłbym wszystkie postacie obrazu przedstawił mniej lub więcej zainteresowane protestacyą Rejtana, a przez to, zdaje mi się, że fakt ów, historycznie tak piękny i taki pełen wagi, byłby był przez to nabrał jeszcze większego i ogromniejszego znaczenia w oczach każdego, choćby najobojętniejszego widza. — W szczegółach mógłbym [też] kilku głowom zanadto wybitną, ba nawet do przesady zbliżoną charakterystyczność zarzucić. Zresztą jest wszystko prześlicznie skomponowane i malowane po mistrzowsku.

...Ach powiadam Ci... że przy tej pracy mojego rówieśnika byłem bardzo pokorny — biłem się w piersi i mówiłem w duchu „Biedny ty... jaki ty mały, jaki ty mizerak!"

...Ale gdyby nawet to porównanie prac naszych.., jeszcze więcej na niekorzyść moją wypaść miało... to [piszący] przecież głowy by nie stracił i dlatego uszów nie opuścił, a to dlatego bo czuję, że jeszcze daleki kawał drogi mam ja przed sobą i dosyć zasobu nieużytego w sercu i wyobraźni mojej... — Wierz [mu] że... kiedyś na porządnego Artystę z pewnością się wykieruje — że dużo zrobi a nad grobem nie powie sobie: „Niegodny! zmarnowałeś i nie poszanowałeś tego dobra, które Ci niebo dało — giń więc bez pamiątki, na wieki i wieki." ...Nic nie wiedziałem, że i w Czasie była krytyka o Lituanice. Posyłam Ci ją równie jak poprzednie, a to dla dopełnienia.

...Bardzo mi przykro, że już drugi dzień bez zajęcia przeminął a Pańkowska i Wojna czekać muszą. Niestety i jutro jeszcze zejdzie mi na niczem, aż chyba we czwartek już będę siedział przy robocie. Za 8 dni wybieram się z powrotem do Lwowa, gdzie wkrótce otrzymawszy paszport i potrzebny wijatyk, ruszam w drogę. Niechby mi tylko nic nie chciało stawać na przeszkodzie, bo doprawdy rozpaczałbym już nad sobą!... Ale może tak źle nie będzie — więc czapa na bakier i mina jak z komina!

1 sierpnia środa w południe.

...Deszcz leje bez opamiętania i zimno jakgdyby w późnej jesieni. Myślę o Śniatynce, o Stachu i o gospodarstwie jego. Wiedząc jak on duszą i ciałem oddał się zawodowi spokojnego rolnika, martwię

się, za każdą razą kiedy się na jakąś klęskę w gospodarstwie zanosi. Chociaż wszelkie zmartwienie starannie zawsze ukrywa, to przecież uczuwa je bardzo silnie, tak też i tą razą niemało on się martwić i kłopotać musi, ciągłe bowiem deszcze i niepogody, niezawodnie przyprawią i jego o wielkie straty. Miałem list od niego krótki i zwięzły, tak jak on jest w pożyciu domowem, ale bardzo szczery i serdeczny. Jedyny ten mój prawdziwy przyjaciel polecał mnie Bogu... i kończył: „Niech ...Cię chroni od różnych klęsk moralnych, na jakie tam będziesz wystawiony; pamiętaj, że w cichej wioszczynie pod górami masz zawsze przyjaciela, do którego w ostatecznym razie udawaj się, a ile siły jego pozwolą nie usunie się z posterunku, który raz zajął na polu walki Twojej z fatalnością!“ ...Poczciwy Stachu, masz we mnie wprawdzie niedołężnego, bo zaledwie sobie samemu wystarczającego, ale już do grobowej deski zobowiązanego prawdziwego przyjaciela!...

Dziś przedpołudniem był u mnie brat jego stryjeczny także Stanisław. Człowiek ogromnej zasługi i wielkiej zacności serca i ducha. Oglądał Lituanikę i bardzo był z niej zadowolony. Mówił, że, o ile zna tutejsze stosunki, to Panie krakowskie, bardzo szczerze zajmą się wystawą tych rysunków, co się tem więcej przyczyni do zapomogi Nieszczęśliwych.

3 sierpnia o 11-tej wieczór.

...Przez wczoraj i dzisiaj znowu nic nie robiłem, bo moja wystawa tyle mi dała do czynienia a właściwie do chodzenia, że mi się już doprawdy na piękne uprzykrzyło. Dzięki Bogu, już przecież raz wszystko załatwione a jutro o 11-tej uroczyste otwarcie wystawy 9-tego cudu świata. A wiesz dlaczego 9-tego? — bo ósmym cudem jest ta okoliczność, że już doprawdy przyszła ona do skutku i dlatego dopiero 9-tym są moje rysunki. — Wieczór przepędziłem u Matejki, gdzie bardzo mile tych kilka godzin na gawędzie spłynęło.

...Pisałem [już], że miałem zamiar oddania wystawy moich obrazków kilku tutejszym Paniom. Otóż ten manewr udał mi się świetnie..... Najdalej za dni ośm zdecyduję się albo do podróży, albo do podjęcia nowej pracy, jeszcze tu na miejscu. Do tego czasu muszę skończyć tego nieszczęśliwego Pańkowskiego, odesłać go i zrobić rysunek na intencyę moich dwóch braci, którzy obaj wielką biedę klepią, zwyczajnie jak na wygnaniu i na wojnie, gdzie każdy kawał chleba zło-

tem czasem opłacić trzeba. Starszy Jarosław, pisał niedawno bo 1-go lutego po raz ostatni, że zdrów i żyje, ale bardzo a bardzo biedny.

5 sierpnia niedziela o 11-tej wieczór.

Dziś cieszy się bardzo [piszący], bo nie próżniaczył tak jak tych kilka dni ostatnich, ale rysował sobie poczciwie i pilnie. Chcę zrobić Matkę z dziećmi, siedzącą przy drodze i wyglądającą jałmużny — w okolicy Delatyna. — Radbym, aby po skończeniu obrazu każdy z widzów posmutniał, a potem z ochotą dla dotkniętych głodem ofiarował jakiś datek. Niech Ci ta moja intencya stanie za bliższy opis rysunku mojego...

...Wystawa i dziś była bardzo licznie odwiedzana. Będąc tam około 12-tej aby Paniom patronkom... złożyć moje homagium, zastałem mnóstwo śliczności. Panien i chłopaczków ładnych co niemiara, ale wszystko nieznajome... Jednym z najzaciętszych odwiedzaczów wystawy jest tu bawiący... książe Radziwiłł, na oko jakieś poczciwe szlaguniskо. Dziś mnie zaczepił — nagadał bardzo wiele komplementów, a potem prosił i pytał czybym mu nie pokazał książki mojej, którą właśnie dla moich dwóch dzisiejszych Patronek przyniosłem. Więc ją pokazałem i jemu i tak zawiązała się między nami znajomość o tyle ścisła, że mnie prosił abym mu pozwolił odwiedzać się przez ciąg mojego kilkodniowego pobytu w Krakowie w celu przypatrzenia się rysowaniu mojemu.

7 sierpnia wtorek o 11 wieczór.

...Niestety całodzienną pracę nad obrazem tej biednej Matki o której Ci pisałem musiałem wczoraj wymazać — papier inaczej sobie przyrządzić — bo robię to nie kredą ale węglem — a to wszystko tak długo trwało, że do samego południa już nic na nowo wyrysować nie mogłem. W południe poszedłem do Towarzystwa Naukowego do moich dwóch Patronek, które już po raz ostatni dzisiaj siedziały odbierając pieniądze wstępu na wystawie... a nakoniec [poszedłem] do Muzeum Towarzystwa, dokąd przez samego Pana Prezesa zaproszony zostałem. Oprowadzał mnie po sali, tłomaczył wszystko, a [jam] gapił się oczywiście... Niedużo jest tam do widzenia, ale bardzo wiele do zamyślenia a może i do popłakania, bo wiele pamiątek nietyle mających wartość archeologiczną albo historyczną, ile naszą drogą, pamiąt-

kową. Między innemi, kurtka z czasów powstania Kościuszki, granaty z pod Grochowa, podpisy wszystkie własnoręczne, Kościuszki, Kilińskiego, Poniatowskiego itp., a jako wielka i szacowna pamiątka innego rodzaju, podpis ś-go Andrzeja Boboli. Oprócz tego bardzo szacowne starożytności przedchrześcijańsko-słowiańskie i inne bardzo piękne zabytki... Wystawa dziś zakończona w sali Towarzystwa, ale na dochód biednych Głodnych jeszcze znowu otwarta u mnie w domu. Dlatego też od PP. Wodzickich i X-ia Lubomirskiego przyszło zaraz zapytanie, czy nie zechcę posłać moją Lituanikę i w jedno i drugie miejsce do oglądania... Naturalnie, że przyobiecałem przysłać obrazy pod kondycyą, że dla biednych coś ofiarują. Sam po obiedzie poszedłem do Xia Jerzego aby go odwiedzić... i zarazem dostałem polecenie — ale właściwie przymówiłem się do tego, bo ma prześliczną głowę — zrobienia jego portretu w jak najkrótszym czasie, bo siedzieć do tego nie chce w żaden sposób. Ucieszyłem się tem bardzo, już bo też dawno chciałem jego głowę malować... — Daj Boże aby mi się ta robota szczęśliwie powiodła, bo na tem tą razą mój honor artystyczny poległ. Głowę ma tak piękną i charakterystyczną, że sam zmartwiłbym się i zwątpił o sobie, gdybym go dobrze nie zrobił. Dziś po obiedzie już zacząłem i dosyć obiecująco... Przez jutro i pojutrze musi być reszta zrobiona i cały obraz zupełnie gotowy.

9 sierpnia czwartek o 11 wieczór.

...Wczoraj cała familia Sanguszków i Lubomirskich zebrała się aby Lituanikę zobaczyć — nie było ich tu w Krakowie. Obrazy moje nadspodziewane wywarły na nich wrażenie. I starsi i młodzi przypatrywali im się z całą możliwą wrażliwością i zrozumieniem. Kilka par książęcych mokrych oczów przekonało mnie o ich niezwykłem poczuciu myśli narodowej. Nie, bez ironii, bo na tę doprawdy nie zasłużyli! Nie — doprawdy — tą razą przekonałem się, że i pod tą twardą skorupą arystokratycznej sztywności i obojętności można namacać serce równie czułe i tkliwe jak u innych dobrych ludzi! Xiążę obiecał zrobić przy tem składkę na biednych w Kołomyjskiem...

...Byłem na własne jej żądanie przedstawionym Pani Alfredowej Wodzickiej, kobiecie młodej jeszcze i dosyć przystojnej. Wyobraź sobie salonik pełen najmodniejszej piękności i czaru — kobietę ubraną po królewsku w prześlicznych jakichś negliżach różowych, z pudrowaną i w róże przystrojoną głową, z uśmiechem pełnym królewskiej

łaskawości i niejakiej figlarności, leżącą na szezlongu i bawiącą się sznurem dużych mieniących pereł, a naprzeciw niej [mnie] siedzącego na końcu stołka w swoim brunatnym kubraku i rozmawiającego z całą otwartością zwyczajnego prostaczka, — wyobraź sobie taką chwilę a będziesz miała wizerunek mojej porannej wizyty. Ale nie na tem koniec, bo tej prezentacyi zawdzięczam widzenie jednego z najmilszych obrazów Gersona, przedstawiającego biednego Górala na wędrówce... Jeden z najpiękniejszych obrazów polskich, jakie dotąd widziałem! — Były tam inne jeszcze także piękne, ale jakież blade w porównaniu do tego skromnego na oko a tak do głębi duszy przemawiającego arcydzieła...

...Dziś wieczór czytaliśmy Przedświt! Jakież to prześliczne! — Jakiż tam cudny jeden obraz

12. sierpnia Niedziela.

...Przyjechała dziś i pytała się o mnie jedna z kobiet, którą nadzwyczajnie wysoko cenię. Jest to Pani Ludwina Bobrowska, o której zdaje mi się, że Ci już wspominałem. Otóż przerywam sobie aby ją odwiedzić i przypomnieć [się] Jej drogiej przyjaźni.

O 10-tej wieczór.

U Bobrowskich zostałem na obiedzie, gdzie mi kilka godzin bardzo przyjemnie minęły. Przypominaliśmy sobie dawniejsze dzieje, więc nie dziw, żeśmy bardzo dużo gadali a dawną przyjaźń naszą jakby na nowo tem ściślejszym węzłem umocnili. Biorą mnie gwałtem ze sobą do Poręby — do nich na wieś — położonej tylko o milę od Oświęcimia, gdzie ta pamiętna, dla Austryaków jedyna zwycięzka potyczka stoczoną została. Że tu w Krakowie i tak jeszcze dni kilka pozostaćbym musiał, już dla paszportu a i innych przyczyn, więc też czasu źle nie użyję jeżeli do nich pojadę i tam ostatniej decyzyi o podróży mojej odczekam...

...Przed południem miałem miłą niespodziankę, bo dwóch biednych studentów z Towarzystwa Bratniej Pomocy było dziś u mnie z podziękowaniem za ofiarowaną im połowę z dochodu wystawy mojej Lituaniki. Wszystkiego razem zebrałem 125 fl. — Drugą połowę jutro prześlę do Red. Gazety Narodowej z prośbą o przesłanie jej

komitetowi zapomogi dla głodem dotkniętych w Galicyi — a wówczas powiem sobie z zadowoleniem, że jeżeli moja Lituanika nie nawróciła nieczułych, albo nie podnieciła ducha ojczystego, to przynajmniej już choć kawał chleba wysłużyła niejednemu biedakowi.

Poniedziałek 3 września.

... Wyjazd do Paryża odłożony do końca Października albo połowy Listopada! ...Wyjeżdżanie do kąpiel albo na wieś na lato jest w Paryżu tak ogólnym zwyczajem, że tam nietylko panowie możni, ale nawet biedniejsi, wszyscy kupcy, Artyści, nawet dziennikarze wynoszą się z miasta na kilka miesięcy na wieś lub do kąpiel, że o tym czasie nikogo w Paryżu zastać nie można. Zważywszy tę okoliczność ...że wszelka reklama bez której się obejść nie może [obraz] jest tylko wówczas korzystna, jeżeli ma licznych czytelników i interesentów... i tak aż do końca letniego sezonu, żadnego experymentu z tą antrepryzą przed [się] wziąść byśmy nie mogli, więc tam napróżno siedzieli i pieniądze wydawali... Stosownie do tego zarządziłem już wszystkiem. W piątek wyjeżdżam do Poręby do Bobrowskich, którzy mnie tak serdecznie za ostatniem widzeniem zaprosili do siebie. Tam zostaję dopóki „Wojny“ nie skończę. A z końcem Października albo w połowie Listopada jadę do Paryża.

...Przedwczoraj odbyły się chrzciny Pana Stasia. Nie było nikogo prócz najbliższych z rodziny, a trzymał go do chrztu 80-letni dziaduś z pod kościoła Panny Maryi i równie stara babusia. Jaki to był prześliczny obraz widzieć tego siwego brodatego staruszka, trzymającego na ręku różowe i jak jagódka świeże chłopiątko! Jak dziwnie odbijała od różowej, koronkami ubranej sukienki malczyka, jego uboga, podarta, żebracka odzież, jak cudnie patrzeć było na tego poważnego biednego Ojca Chrzestnego, na jego dziwnie pogodne i prawie młodością natchnione oblicze, a w oku i po twarzy, powoli, aż na siwą, długą brodę, spływającą łzę, jakiejś niewytłumaczonej pociechy. Jutro zabieram się do portretu starego Sawiczewskiego w stroju rektora uniwersytetu, do sali promocyjnej, tamże przeznaczonego i do piątku skończyć go zamierzam.

ARTHUR GROTTGER.

Erotyki.

VII.

Jak mam do ciebie przemówić!
Milczenie będzież wymową?
Na jakich gwiazdach mam łowić
Cudowne dla ciebie słowo?...

Gdy ludzkiej mowy nie cenię,
Niełatwo zbędę się troski —
Chyba się cały zamienię
W miłosne dźwięki i zgłoski!

Cała ta moja istota
Promienna, dźwięczna, szczęśliwa
Niech będzie jak harfa złota,
Co w twych ramionach spoczywa!

Usta nie będą próżnować
Choć się milczeniem zakują —
Całować mają, całować,
Aż się na popiół zcałują!

VIII.

Z ręką chodzę na piersi... Czy mi się wydaje
Że już się rozlatuje ta żelazna tarcza?
Jeszcze wczoraj zwidzałem z tobą wonne raje —
A dzisiaj na ból piekła siła jej wystarcza!...

Przeklinam mego z tobą spotkania godzinę! —
Przeklinam moją miłość — przeklinam sto razy! —
Przeklinam moją na hart wypaloną glinę! —
I mój ból od którego nie pękną te głazy!

IX.

Chce Bóg mieć ze mnie anioła!
Dał mi twą miłość tak wielką —
W złocistą gwiazdę chce zmienić
Mnie — com był mętną kropelką.

Twe usta czyste, spokojne,
Przyłóż mi luba do czoła —
A blaski z niego wystrzelą!...
Chce Bóg mieć ze mnie anioła.

Weź mnie za szyję — przyciśnij —
Z twych ramion skrzydła me wzrosną
Stanę się światłem i wiosną!...
Chce Bóg mieć ze mnie anioła.

X.

Srebrem księżyc sieje
Na słowiczy śpiew,
Łąka wonią wieje,
Upaja ten wiew,

Ziemia się kołysze
Jak w kadzideł mgle...
Ach, kocham cię!
Ach, kochaj mnie!

Niebo się odmyka,
Topnieje świat ten —
Miłość nas przenika
Jak aniołów sen —
Żyjmy mój aniele
I mrzyjmy w tym śnie...
Ach, kocham cię!
Ach, kochaj mnie!

XI.

Skowanaś ty ze mną ofiarą niezmierną,
Łza żadna, rdza żadna tych pęt nie przewierci,
Choć będziesz złą dla mnie, jeśli tylko wierną —
Nie opuszczę cię aż do śmierci.

Do czary radości wlewaj mi zgryzotę,
Mą duszę poddaną rozrębuj na ćwierci,
A stłumię dla ciebie dumę, moją cnotę —
Nie opuszczę cię aż do śmierci.

Gdy przyjdzie pokuta, ja wezmę ją całą,
Nademną nad jednym niech kara się sterci.
Mnie tylko niech ciężką okryje niechwałą.
Nie opuszczę cię aż do śmierci.

* * *

KORNEL UJEJSKI.

Citoyen.

Je vous adresse et vous recommande mon ami le citoyen Dzierzowski. Il a déjà combattu pour la cause italienne. Il vous donnera des renseignements sur la légion polonaise. Vous pouvez avoir une entière confiance en ses paroles.

Salut et Fraternité

Adam Mickiewicz

Paris aux Batignolles
Rue de la Santé N. 42.

1849. Mai. 7.

au
Citoyen Triumvir
Mazzini

Z epoki emigracyjnej.
(1833—1841).

Historya naszej literatury emigracyjnej po r. 1831 zapisała trwałemi głoskami Eustachego Januszkiewicza, jako księgarza-wydawcę, którego nazwisko związane jest raz na zawsze z pierwszem wydaniem arcydzieł takich, jak Pan Tadeusz, Nieboska, Anhelli i w. i. Wyjątkowe ówczesne piśmiennictwo nasze znalazło też wyjątkowego wydawcę. Januszkiewicz zasługiwał całem życiem swem na zaszczytne miano „Alda i Manucyusza literackiego odrodzenia i piastuna piśmiennictwa polskiego na tułactwie“, jak to pięknie określił J. Klaczko w swem wspomnieniu pozgonnem [1].

Za młodu nie marzył Januszkiewicz o zawodzie księgarskim. Urodzony w Nowogrodzkiem na Litwie w r. 1806, wychowaniec Uniwersytetu Wileńskiego, ukończył tamże Wydział Prawa ze stopniem kandydata Obojga Praw i wstąpił do słynnej wówczas w Wilnie Massy Radziwiłłowskiej, t. j. komisyi, zajętej od lat szeregu rozwikłaniem olbrzymiej, ale poplątanej sukcessyi po księciu Hieronimie Radziwille. W tej Massie pracowali przed nim tacy młodzieńcy jak Jan Czeczot, Onufry Pietraszkiewicz, Mikołaj Malinowski i i. — Eustachy Januszkiewicz został powołany na sekretarza generalnego owej Massy i przy ukończeniu likwidacyi zapewnioną miał od sukcessora, księcia Wittgensteina, olbrzymią nagrodę... Wyrzekł się jej bez wahania E. Januszkiewicz na pierwszy odgłos nocy listopadowej... Podążył wraz z innymi do Warszawy. Służył w korpusie generała Samuela Różyckiego,

[1] Bardzo piękne to wspomnienie pozgonne, zawierające dużo ciekawych wiadomości o życiu duchowem Emigracyi, wyszło p. t. „Eustachy Januszkiewicz“, Kraków 1874 (str. 29), jako osobne odbicie z „Czasu“. — E. Januszkiewicz umarł w Paryżu 29. Sierpnia 1874. — Ob. także J. Klaczki Pisma Polskie w układzie i z objaśnieniami F. Hösicka. Warszawa, 1902 str. 273—290.

odbył całą kampanię, z której wyszedł jako podporucznik w 2-gim pułku Krakusów z chlubną odznaką, z krzyżem *Virtuti militari*. Razem z korpusem Różyckiego przeszedł do Galicyi, a kierując się ku Francyi, podążył z Krakowskiego ku Morawom na Osiek. Miał tam baron Lariss dużo stosunków i ułatwiał emigrantom przejście austryackiego kordonu wojskowego. W gościnnym domu bar. Larissów w Osieku ujrzał 25-letni Eustachy Januszkiewicz po raz pierwszy pannę Eugenię Lariss. Puszczający się na pielgrzymstwo młodzieniec nie mógł marzyć o rychłem poślubieniu panny, która uczuciom młodzieńca zaufała. Z pozwoleniem matki panny Eugenii zawiązuje się między młodymi korespondencya. Pierwszy list do Osieka pisze Eustachy Januszkiewicz już w pochodzie na emigracyę z morawskiego Brna d. 29 listopada 1831 r. To był początek długiej, dziesiątki lat trwającej korespondencyi z panną Lariss. Listów zbierały się stosy; emigrantowi trudno było rozniecić ognisko rodzinne. Panna Lariss czekała. Korespondencya nieprzerwana trwała aż do r. 1851; po dwudziestu latach narzeczeństwa odbył się ślub Eustachego Januszkiewicza w Osieku.

Ogromna ta emigracyjna korespondencya zawiera obok szczegółów ściśle osobistych i prywatnych, sporo wiadomości ciekawych z ówczesnego życia umysłowego naszej Emigracyi.

Jako inicyator-wydawca *Pielgrzyma Polskiego* zbliżył się Januszkiewicz zaraz z początku Wychodźctwa do koryfeuszów piśmiennictwa, do Mickiewicza, Lelewela, Zaleskiego, Goszczyńskiego, Słowackiego, Mochnackiego, Goreckiego, M. Czajkowskiego, Witwickiego i w. i.; żył z nimi przyjacielsko, z niektórymi spotykał się codzień. Narzeczonej do Osieka pisał o wszystkiem, co go nad Sekwaną podtrzymywało na duchu; w licznych swych listach przekazał nam Januszkiewicz niejeden rys ciekawy, niejeden promyk światła, objaśniający ciężką dolę wychodźcy pielgrzyma. Klaczko, który poznawszy Januszkiewicza dopiero w r. 1850 nie mógł szczegółowo wiedzieć o początkowej jego pracy wydawniczej w latach 1833—1840, dał przecież bardzo trafną i żywą charakterystykę umysłowości tego idealnego wydawcy-księgarza. Januszkiewicz razem z Aleksandrem Jełowickim założył w r. 1833 w Paryżu księgarnię nakładową polską. Jełowicki dał kapitał, Januszkiewicz doświadczenie prawnika administratora.

Korespondencya z narzeczoną zawiera ciekawe szczegóły tego jedynego w swoim rodzaju przedsiębiorstwa, nie wywołanego ani fachowem przygotowaniem, ani instynktem spekulacyjnym, ale wielkiem, szczerem, gorącem umiłowaniem literatury ojczystej i bystrem, pra-

wdziwie litewskiem zrozumieniem, czem dla narodu w owych latach pogromu i ucisku Mikołajowskiego być miała poezya-krzepicielka, poezya-otucha! Klaczko świadczy, że Januszkiewicz miał „smak w rzeczach literackich rzetelny, sąd trafny i ustalony“. Lubił i znał szczególnie literaturę z końca XVIII wieku, a że miał pamięć niepospolitą, przytaczał z pamięci setki wierszów, nieraz mało znanych. „Przemyślny, zabiegliwy, niezmordowany w usługach, niezrażony niepowodzeniem a nawet niewdzięcznością tych, których niejednokrotnie zobowiązał, wciąż wynajdywał zajęcia dla towarzyszów wygnania, co piórem władali i z pióra żyć musieli“ (Klaczko). Znał też, jak mało kto, cały świat literacki emigracyjny. Nie dziw, że najgorętszem uwielbieniem otoczył arcymistrza pieśni, Adama Mickiewicza, że dbał o wszystkie jego potrzeby, że w trudnej chwili życia poety (w r. 1838) dał mu dowody bratniego przywiązania. Trafnie i pięknie określił Klaczko ten rzadki już dziś, częsty za czasów filareckich, objaw prawdziwej przyjaźni: „przyjaźń Januszkiewicza nie czekała katastrofy, by dać o sobie świadectwo; objawiała się właśnie w codziennem pożyciu, przy najmniejszej sposobności; umiała się w nieskończoność rozdrabniać dla nieskończonych drobnostek, miała delikatność i czułość serca niewieściego“.

Listy jego do narzeczonej są proste, szczere, bez jakiejkolwiek czułostkowości; ujmują naturalnością, swobodą opowiadania, pewnym zdrowym realizmem, co nie przeszkadza, że ilekroć mowa w nich o Mickiewiczu, przebija ze słów Januszkiewicza głęboka cześć dla ubóstwianego przezeń Adama. Z wielu ustępów, tam zwłaszcza, gdzie Januszkiewicz pisze o stosunkach politycznych i gdzie daje wyraz poglądom historyozoficznym, zalatuje wyraźne nieraz echo częstych jego rozmów z Mickiewiczem (np. w liście z dnia 4. listopada 1833). Liczne też mamy wzmianki w tych listach o utworach Mickiewicza, nietylko wydanych, ale zamierzonych i zagubionych potem. Historyka literatury zainteresuje i to, co Januszkiewicz pisał o Nieboskiej, lub Anhellim. Jego surowy sąd o poezyi Słowackiego będzie znamiennem świadectwem epoki i nie różni się od charakterystycznej obojętności emigrantów dla natchnień tak dziś wielbionego poety. Z tych wszystkich względów mniemam, że wyjątki z korespondencyi Januszkiewicza, poniżej po raz pierwszy podane z autografów, obudzą zainteresowanie. Przypomną one ogółowi naszemu i czasy świetne literatury emigracyjnej i postać niezwykłą księgarza-wydawcy, tak zasłużonego społeczeństwu. Podajemy zaś listy Januszkiewicza nie w całości, dlatego, że zawierają one bądź ustępy natury zupełnie prywatnej,

nic ogół nie obchodzącej, bądź też nowiny polityczne, bieżące, które po latach siedemdziesięciu straciły chwilową, informacyjną wartość i nie mają pretensyi do druku.

Starałem się natomiast z listów, nieraz bardzo długich, wydobyć to, co nie tylko interesowało ówczesne pokolenie, ale i dla dzisiejszego ma wartość; mam przekonanie, że nie pominąłem nic istotnie ważnego. Możność zaś korzystania z tej ciekawej i obfitej korespondencyi zawdzięczam Córce jedynej śp. Eustachego Januszkiewicza i Jej małżonkowi, panu Konstantemu Popielowi. Obojgu składam i na tem miejscu należne a bardzo gorące podziękowanie.

We Lwowie, w lutym 1909.

JÓZEF KALLENBACH.

*

LISTY EUSTACHEGO JANUSZKIEWICZA.

22 Stycznia 1833. Paryż.

Zdaje się, że tą razą niespadnie już wina na mnie, ani Panie potrafią się usprawiedliwić z przerwania korespondencyi, bom ja i w Grudniu pisał i teraz w nowym roku długo na próżno czekając, pierwszy daję inicyatywę... bogdajbym tylko był tak przynajmniej szczęśliwy jak w roku przeszłym. Przyjazna Ich pamięć o mnie kazała mi nieraz zapominać, żem między obcymi; każde Ich pismo przenosiło mię śród gór Karpatu, i czułem wtenczas, że ojczystem oddycham powietrzem, że rozmawiam ze swoimi, że ich uczucia podzielam. Nigdym ja sobie niewyobrażał, żeby położenie nasze było tak okropnem, jak ono jest w istocie, a zwłaszcza gdyby los kazał na obcej umierać ziemi. Byłem świadkiem skonu jednego z moich przyjaciół (posła Zienkowicza). Na dni kilka przed śmiercią prosił nas, żebyśmy mu wszystkie ojczyste pamiątki powtórzyli, na jego twarzy widać było jakieś wysilenie pamięci, która je wszystkie rada była zachować, żeby i tam... w grobie! litewskie odnawiała wspomnienia.

Kiedyśmy o latach młodych, o powstaniu rewolucyjnem mówili, zapalał się, i przysięgał, że żyć musi, bo niepojmował, żeby można było umierać bez oglądania raz jeszcze rodzinnych brzegów, pozostałej tam matki i przyjaciół.

Ah! to okropna jest myśl sama, żeby powiedzieć sobie, że się rozbrat wziąć musi z przeszłością, że tu na pustyni dla serc naszych nową trzeba szukać rodzinę, nowych przyjaciół, zacierać w pamięci domowe pomniki lat dziecinnych, ów krzyżyk złocony niedalekiego kościoła, topole albo lipy, któremi wśród lata odbywały się przechadzki, mostek na młynowej wodzie, albo drobniejsze nawet szczegóły, które dla wielu może (gdybym im o nich mówił) byłyby urojeniem, dziwactwem, dla mnie są one rozkoszą i śród nich szczerze się przyznaję, że mi żyć lubo. — Dla mnie one jakiś czarodziejski mają urok.

Pochowaliśmy ziomka naszego na cmentarzu *Père La Chaise* — a obrzęd

ten coś miał tak wspaniałego, gdy do grobu polską rzucono ziemię, że mi niepodobna jest opisać ówczesnych uczuć. Pomyślałem sobie: może i mój los taki, że mi tylko w reście życia tyle narodowego pozostanie, że odrobinę ojczystej ziemi życzliwy jaki współrodak udzieli...

Musiałem aż przekreślić, żeby się z żałobnemi pożegnać myślami; miałemże o czem pisać z Paryża, żeby Panie martwić, kiedy tam macie równie łaskawych sąsiadów, co nieskąpi są w tem, żeby ród ludzki dręczyć. Ale też z drugiej strony i nic lepszego niemam donieść. Sejmu Polskiego z łaski Kaliszanów niebędzie, jak to Panie już wiedzieć muszą, jeśli moje broszury dochodzą. Dotąd wyszło ich 11.—12-sta wyjdzie 25-o [1]. Słyszałem, że Kraków ma także cenzurę, może też ona z łaski swojej i na moje spadła bazgranie. Wszakże niema tego złego, coby na dobro niewyszło. Jeśli tak jest nieszczęsna ta ramota więcej już Pani nudzić niebędzie. Tutaj to się ród emigracyjny do nudów nawyka; mam takich 200, którzy czytają, a że czytają tego mam dowód, bo na cóżby za druk płacić mieli? pochlebia to pisarzowi, któremu o to tylko chodziło, żeby jak zimowe długie wieczory przepędzić, inaczej bez zatrudnienia zbyt kosztowne.

10 Lutego 1833.

. . . .

Ja rad jestem tylko z dobrego przyjęcia jakie pismo moje u współziomków znalazło, a tego jest najlepszym dowodem że mi pierwszy ten oddział 24 numerów około tysiąca franków przyniesie czystego dochodu. (Co rocznie 3000 franków uczyni). A prócz tego zysku, którym niemożna w Emigracyi gardzić, pochlebia jeszcze i miłości własnej i zachęca do pracy, która mogę szczerze powiedzieć, że dotąd była arcy-niedbałą, ale od 1 kwietnia wielkiej ulegnie reformie, jeśli p. Eustachy nienabierze z przyjściem lata nałogu do próżnowania, jak to już czynił w roku przeszłym, naśladując konika polnego w owej bajce Krasickiego. Tylko żem się do wielu przedsięwzięć na raz zaangażował. Z księgarzem Bossange Hectorem wszedłem do małej współki założenia księgarni polskiej w Paryżu, albo raczej takiego bióra komissowego, że wszystko co wychodzi w Emigracyi przesyłać będziemy do Polski, i nawzajem sprowadzać, co Emigracya z księgarni polskich by żądała. Nadto jestem wydawcą kilku ksiąg polskich, które tu przedrukować mamy i t. p. Jestem więc w najrozleglejszem znaczeniu entreprenerem książkowym pod tytułami: redaktora, wydawcy, prota [2], księgarza, komisanta — ale co mi to szkodzi, że mię nazwą, Bóg wie wreście, jakim przezwaniem, bylebym moją pracą jaki dla ogółu przynosił użytek, a potrafił zapracować dla siebie, nieoglądając się na pomoc drugich; ani od rodziny, której z łaski panów emigrantów skonfiskowano majątek. Niechże mi teraz P. Mikołaj daruje, że mu czasem artykuł niepowabny wystrzelę, bo też w najdotkliwszą i mnie stronę uderzył. A choć mi więcej zaszkodził, aniżeli mu nawzajem wypłacić się mogę, przecież zemsta choć w części pragnie zaspokojenia. P. Tęgoborski źle robi, że memu dziennikowi niedaje wstępu do Krakowa. Jeśli to urzędnik przedajny, możeby się dał przekupić? pieniędzy mu niedam, bo niemam, ale a r t y k u ł, np., że jest wyjątkiem od

powszechnej reguły. Mimo to jednak posyłam ciągle numera moje. Jeśli niedojdą do Osieka, przynajmniej przelezą w Galicyę i ktokolwiek je przeczyta. — Ja na tem tylko grosz jeden każdą razą tracę. — Niechże więc policya austryacka, czy inna pożera ten grosz wdowi, a Osiek jeśli łaskawy, może czytać moje bazgranie, drukowane na cienkim papierze. — Ośmielam się je przesłać raz jeden, bo lękam się zawsze posyłać, żeby tą drogą nie przyczynić jakiego kłopotu. A ja wolałbym, żeby mi tu rękę ujęto, aniżeli gdybym w jaki sposób stał się powodem do jakich ze strony rządu napaści. Wiadomości z Polski niemamy żadnych. —

. . . .

25 Lutego 1833

Człowiek z natury ma wiele skłonności do lenistwa; drażliwy z położenia dzisiejszego, z trudnością do pracy daje się nakłonić. Wszakże od 1. Kwietnia spodziewam się ulepszenia redakcyi, przyjmując do spółki dwóch literatów A d a m a Mickiewicza i B o h d a n a Zaleskiego. Jeśli więc co będzie na przyszłość dobrego to im nie mnie właściwie należeć będzie. Duch oppozycyi z pismem PP. Mochn[ackich] zjednał mi popularność. Znalazłem 513 czytelników, a jeśli wszyscy dłużnicy popłacą, uczyni mi redakcya przychodu z czterech miesięcy do 1000 fr., które będę mógł użyć na ulepszenie pod każdym względem mojej gazety. Jeśli do Krakowa niebędą dochodzić egzemplarze, znajdę ja inną drogę, mniej kosztowną jak poczta i pewniejszą, aby Osiek zaopatrzyć choćby jednym numerkiem. Czasem go Panie z nudy przeczytacie. Dotąd jednak zawsze pod adresem H.., posyłam. Może przypadkiem zabłąkają się te numera. Ale nie tak mi ich żal jak K s i ą g n a r o d u P o l s k i e g o które dawno posłałem, a które pono los tenże sam co gazetki spotkał. Wydaję wkrótce tłumaczenie francuskie tychże ksiąg, może się mi uda szczęśliwiej, choć w tłumaczeniu do Osieka przesłać. Z wielu miar zyskają one pochlebne przyjęcie.— Lecz à propos moich numerów, które dziś załączam, winienem uprzedzić, że tam są wyjątki z Pamięt. Zaliwskiego, którym niewierzę i nad którymi surową krytykę przygotowałem. — Ale wydawcy zyskali u mnie zwłokę, nim dzieło samo niewyjdzie. — Były powody, które mię skłoniły do zaniechania chwilowego sądu nad dziełem, pełnem niedorzecznych kłamstw i fałszów.

5 Lipca 1833.

List ten może uprzedzi przyjście 8—16 numerów P i e l g r z y m a, które tąż drogą na cieniutkim papierze wyprawiam. Jest to już i koniec mojego dziennikarskiego zawodu. — Pielgrzym przeszedł dziś już w obce ręce i ja dawny gospodarz, zamówiony mam w nim tylko czasowy popas, gdy się chętka do pisania zjawi. — Jest to przykre położenie być wydawcą publicznego pisma — wszystkich niesposób pogodzić, wszystkim dogodzić jeszcze trudniej — a ciągłe łajania, nieprzyjemności, już mi się sprzykrzyły. Jeśli kiedy tamtym się uprzykrzy wymyślać, może znowu do pisania się wezmę. —

Ale zdaje się, że to nie nastąpi, tem bardziej, że mam inne projekta wydawania rodzaju *Revue* literackiego, w którem będzie literatura, filozofia i sztuki piękne. Może też zamiar przyjdzie do skutku ogłoszenia po polsku *Magasin pittoresque* — to ostatnie przedsięwzięcie, jeśli się uda, stanie się bardzo pożytecznem. Wydawane w sposób taki, żeby po całej Polsce rozchodzić się mogło, upowszechni wiadomość rzeczy koniecznych dla każdego stanu i wieku. 52 arkusze w rok ze 200 najmniej rycinami niebędą kosztować jak dukat 1. czyli na tydzień groszy 10. Nadto zajęty teraz jestem handlem i spekulacyami: wkrótce okólnik naszej *Librairie et agence polon.* przyślemy — i niejeden ze znajomych moich zdziwi się patrząc, jak polska roślina przyjęła się na spekulacyjnej ziemi francuskiej. — Ale, jak mówią, bieda wszystkiego nauczy.

. . . .

Przed kilką dniami otrzymałem nowe wezwanie od pozostałych synów Ant. Radziwiłła, bym przyjąwszy najwyżej konfirmowaną amnestyę wracał do kraju i do ich interesów. Przekładano mi, że układy moje z nimi i z Wittgensteinami, w których mi złote zaręczono góry, są jeszcze w całej mocy, bylem tylko wrócił. Odpowiedziałem, że jest jeszcze dla mnie coś droższego nad majątek, czego się utracić lękam i dla tego niewrócę. Do Poznańskiego możebym jeszcze pojechał, gdybym widział bezpieczeństwo osobiste. Nie tak mi chodzi o marne zyski, jak o chęć przyłożenia się do skończenia interessów, na których tysiące familij cierpi — z powodu których tyle rodzin i od tak dawna płacze i końca swej nędzy niewidzi. — Przysięgam przez Boga, że własnego pożytku nieradbym szukać — i tu go znajdę z trochę większą pracą, ale chciałoby się polskiem oddychać powietrzem.

. . . .

20 Lipca 1833.

. . . .

Na nieszczęście już pierwsza godzina się zbliża i poczta odchodzi — muszę śpieszyć z ukończeniem listu, którego się wstydzę, tak szkaradnie i bez sensu pisany. — Ale mi przerywano — to Gorecki bajkę mi nową o ziarnku pszenicy deklamował, to mój następca, redaktor Jański donosi, że trzeba iść do drukarni, to znowu, jak czytam list O... i znajduję wzmiankę że przez wzgląd dla moich oczów Panie tak krótko pisały! jakżeż dopiero ja króciuchno pisać powinienem! — Dla Panny Redaum mam bardzo drogi podarek — jaki? — proszę odgadnąć, tylko powiadam wczesno, że bez ceny. — Oto rękopism własnoręczny Mickiewicza części jego poezyi. Czekam tylko pewnej okazyi, bym go przesłał — inaczej żałowałbym, żeby się miał gdzie w drodze zatracić. — W zamian zaś żądam tylko częstego pisania — bo na Boga przysięgam, że mi dzisiaj ta tylko jedyna rozkosz pozostaje. — Od Matki i od rodziny dawno niemam ani słowa — spodziewam się lada dzień — ale to może nadzieja tylko. — Jeśli zaś mię druga rodzina zapomni, będę złorzeczyć i Bogu i ludziom — ze smutku gotówem zamrzeć, a wtenczas nie będę mógł pisać się szczerze życzliwym przyjacielem i sługą

Eustachym.

4 Listopada 1833.

. . . .
. . . . . sprawa ogólna nienajlepiej nam wróży — jeśli są jakie nadzieje, jakie przeczucia, to tylko w sercach ludzi nierozpaczających o przyszłości, wierzących w nieśmiertelność narodów, tak jak Polska pełnych poświęcenia za ludzkość, tak jak ona mających niezłomną wolę stania się narodem. Ale garstka jej dzieci, rzucona między obce ludzie, daleka od bogów domowych, od tego wszystkiego, coby jej w każdej chwili całą malowało przeszłość, prawie prześladowana w przybytku wolności, zaczyna wątpić o sobie, czy jej dosyć wystarczy sił do przetrwania w długiej wędrówce, której końca nieodgaduje — której przyszłość fatalna. Wraca do kraju, do oswobodzonej Ojczyzny: długie lata wzniosą między rodzinami i przyjaciółmi jakąś przestrzeń zapomnienia — jedni drugim obcy — niepoznani — w kraju własnym tułacze — a co najgorsza, że o pokoleniu emigracyjnem sąd już wyrzeczony — bohaterowie rewolucyi dowiedli nieudolności swojej — Ojczyzna, świat cały wie, że od nas samych zależało być wolnymi — a myśmy sprawę publiczną zmarnowali, oszukując siebie wzajem, dysputując się i kłócąc. Takie myśli mi przechodzą po głowie, kiedy wśród spokojnego o północy Paryża list ten piszę — może ta spokojność, tak sprzeczna ze stanem mojej duszy, tworzy we mnie tak ponure obrazy — bodajby to było wszystko złudzeniem! — bodajby to było nieprawdą, że dla nas już szczęścia niema! — Ja też zaprawdę to szczęście na wielką chcę mierzyć skalę, a nie pojmuję, że jest więcej od nas nieszczęśliwych. My możemy się przynajmniej użalać, cieszyć się szczęściem drugich; nam wolno otwarcie nienawidzieć naszych tyranów, nam wolno niekłamać wymuszonych przysiąg posłuszeństwa i wierności.

Minęła północ — zatem mamy dziś 4 Listopada — dla mnie uroczyste święto, nie dlatego, że kiedyś Suworow nieszczęśliwą rzezał Pragę, ale że mi przypomina dzień imienia drugiej mojej matki, niegdyś tak rozkosznie obchodzony w Osieku. — Kiedy porównywam nawet późniejsze czasy, rok temu, chcąc ten dzień uświęcić, rozpocząłem był zawód literacki; obcy temu rodzajowi pracy przy szczerej tylko chęci stania się pożytecznym ziomkom moim, możem i zasłużył na jaką życzliwą wzmiankę w dziejach tułactwa naszego — dziś kiedym więcej, jeśli nie nauki i doświadczenia, to przynajmniej śmiałości nabrał — trzeba mi wyrzekać się imienia swojego i niemódz w niczem przyczynić się dla dobra ogólnego, w ustroniu patrzeć się na piękne usiłowania drugich współbraci. — Niechże i tak będzie! — dziś mi nie godzi się ani płakać, ani wyrzekać — jest to święto wesela — więc się raduję i cieszę; — nie zawsze będzie niebo pochmurne, a jeden silny promyk słońca rozjaśnia horyzont — może i ze mną się tak stanie, a wtenczas wynagrodzę moje ubóstwo dzisiejsze, ten brak choćby kilku lichych kwiatków, z którychbym mógł upleść bukiet na tak solenną dla mnie uroczystość. Pozostał mi tylko listek pomarańczowy z Osieckiego sadu, towarzysz moich trosk i wesela, posyłam więc go, żeby opowiedział, ileśmy razy wspominali wzajem ominione czasy, życzliwych ku nam mieszkańców Osieka; a powiernik moich uczuć, on świadczyć za mną będzie, że jedyne życzenie, jakie mi jeszcze pozostało, jest to widzieć ojczyznę wolną i choć raz w życiu

być jeszcze w Osieku. — Nim ten list dojdzie, upłynie zapewne i 15 Listopada — chciałem Pannie Eugenii w dzień Jej imienin uiścić się z obietnicy przysłania rękopismów Adama, ale ich poczcie nie śmiem powierzać; wreście przesłanie byłoby nadzwyczaj kosztowne. Ja się spodziewam rychło wynaleźć pewniejszą okazyę i wczesno za ich dojście zaręczam. Nieśmiem przypominać P. Eugenii, że od dwóch lat zawsze mi przysyłała listek pomarańczowy z wazonu, który zdobi zazwyczaj ucztę w dzień Jej imienin — proszę o tę jałmużnę i teraz — a za to choć nie swoją, ale cudzą piosnkę posyłam:

Innym pokój, szczęście w domu,
Mnie ogniska, dachu niema,
Niema ręki podać komu!
Pusty! głuchy świat pielgrzyma.

Szczęściem zbiega rok za rokiem,
Jak godzina po godzinie;
Próżno kłócić się z wyrokiem,
Przeszło wczora i dziś minie!

Ludzie inni, ja tu inny,
Inne życie dziś tułacze;
Luby kraju mój rodzinny!
Czyliż jeszcze cię zobaczę?

Darmo wzdychać mi głęboko,
Jątrzyć serca niepokoje;
Nie tam, nie tam patrz me oko,
Nie tam lećcie myśli moje!

Smutny ranek mgłami dymi,
Łąk i gajów skrył widoki;
Prowadź kiju mój pielgrzymi!
Niedbam, gdzie me zwrócisz kroki.

Naprzód, naprzód, dalej w biegu!
Droga coraz mniej daleka;
Przecież stanę na noclegu,
Chociaż, niewiem gdzie mnie czeka.

Jakże spocząć w domu miło,
Widzieć w koło szczęście, zdrowie!
To co za mną, to już było,
Co przedemną? Pan Bóg powie.

. . . .

23 Maja 1834.

Ciekawym bardzo odpowiedzi, jakąbym dał, gdybyście mię też Panie zapytały trafem, dlaczegom od sześciu tygodni nie pisał? Zapewne nie dla braku chęci lub też, żeby nie było o czem pisać, bo więcej niż kiedy w przeciągu tak krótkim czasu zaszło wielkich i ciekawych zdarzeń. — Ale te właśnie zdarzenia nie były tego rodzaju, żeby obudzały gadatliwość, żeby piszącego czyniły skorym do dzielenia z drugimi tego, co czuł, widział i słyszał. Ja przynajmniej uważałem w sobie dziwne jakieś usposobienie do milczenia — ono też bodaj najwłaściwsze w chwili, kiedy tyle nadziei razem schodzi do grobu, kiedy tyle ofiar na jeden raz śmierć z sobą zabiera. Wiadome są zapewne wypadki Lyonu i Paryża w połowie kwietnia zaszłe. Dowiadujecie się też Panie i o śmierci Jenerała Lafayetta. Pierwsze zrodziły powszechne otrętwienie, wątpliwość, czyli warto coś dla przyszłości poświęcić, czy ufać jeszcze zawodnej nadziei, że kiedyś ludzkość wyższe i świetniejsze odbierze przeznaczenie — aż tu niedługo skonał przykład niezachwianej wytrwałości — a tryumf jednych stał się dla drugich żałobą niczem wynagrodzić się niemogącą, bo zgon Lafayetta przypadł w chwili, kiedy najmniej dla sprawy, której był obrońcą za życia, mógł stać się użytecznym. — Wszakże Opatrzność zsyła zawsze Anioła pocieszyciela, który pod rozmaitą postacią schodząc pośród nas, goi nasze rany i do wytrwania w dobrem zachęca. Takim Aniołem pocieszycielem dla Francyi dwa pisma świeżo wyszłe P. Chateaubriand: *l'Avenir des peuples* i De la Mennais: *„Paroles d'un Croyant"*. Dwaj dawni legitimiści, dwa geniusze dzisiejszego wieku, opuszczając przeszłe błędy, wystąpili do walki w obronie upadającej sprawy. — Skoro tłum w szrankach dostrzega tak silnych rycerzy, choćby i po przegranej nabiera serca i o zwycięstwie nierozpacza. Założę się, że niema w Paryżu jednego mieszkańca, ktoby już pisma De la Mennais nieczytał. — Genialne pióro w obronie najpiękniejszej sprawy stawającemu pisarzowi zapewniło długie, niespożyte imię. — Jakbym też chciał Paniom całą tu książkę De la Mennais przepisać — może też wkrótce i nadarzy mi się zręczność jej przesłania, tymczasem wyjątek najbardziej nasze położenie interesujący tutaj umieszczam. Rozdział XL. *Il s'en allait errant sur la terre* . . . .

. . . .

W smutku, w kłopotach szukamy jakiej takiej rozrywki wszędzie, gdzie się ona znajdzie, a niemało też przyjemności nastręcza wystawa płodów narodowych, na którą od 1 Maja zapatrujemy się codziennie. — Bawi to zmysły, a zarazem i naucza i pobudza życzenia, żeby w naszej Polsce kiedy choć połowa była tej industrji, jaka się tu w każdej gałęzi rękodzieł, sztuk i rzemiosł objawia. Dla mnie, com rad choć na obcą patrzeć pracę, jest wielkie szczęście, że się znajduję pod tę chwilę w Paryżu. Nie trzeba mi zwiedzać Francyi — co tylko jest najlepszem, wszystko tu widzę na miejscu.

Dziennik jeden genewski donosi nam o jakimś Bobińskim, który w Karpatach wojnę prowadzi — niewiadomo tylko z kim — może się znowu na Łysą górę czarownice zebrały. — O krakowskich awanturkach powiadają nam przyjeżdżający tu z Polski — dzięki Bogu, że się na tem skończyło.

18 Czerwca 1834 Quai Voltaire, 11.

List z Krakowa 22 i listek z Wrocławia 29 Maja doszły mię prawie jednocześnie; tylko ostatni, niemający oznaczonej ulicy i numeru, po przyjściu do Paryża błąkał się od 12 do 17, nim do mnie trafił. Co też to za dobroć tej rodziny Osieckiej, żeby o obcym dla niej wygnańcu tak pamiętać, tylą go przyjaznemi słowy obdarzyć i chcieć mu jeszcze wmówić, że się niedość czyni dla niego, że się mu czas tak dobrze użyty zabiera, że się nadużywa jego pobłażania i t. d., i t. d. Przez Boga przysięgam, że jeśli mi Panie podobne rzeczy pisać będziecie, albo listów odbierać z poczty nie będę, albo też zawrotu głowy dostanę, siląc się nadaremnie je przekonać, że ich przyjaźń, dobroć, pamięć o mnie są długiem mojego serca, z którego się nigdy nie wypłacę, dość im zawdzięczyć nie potrafię, a co gorsza że to ich właśnie pobłażanie powoli mię narowić poczyna i nieraz marzy mi się, żem wart istotnie tych względów i w tem najmilszem upojeniu zasypiam aż do chwili, kiedy odpisywać przyjdzie. Wtenczas dopiero smutna rzeczywistosć oziębia i serce i umysł i uczucia, i jak na przekorę zamiast być wymownym, staję się rozwlekłym, suchym i pióro pisać nie chce, pewne zawczasu, że nie potrafi zrównać wzorom, jakie ma przed sobą, nigdy dość wypowiedzieć, co czuje dusza wygnańca, ogarnąć wszystkie jego myśli, przeszłość i przyszłość i wspomnienia i nadzieje. Litości więc i przebaczenia nie skąpcie mi Panie — a i tego nie wiem, czylim prawdziwie godzien?...

Szóstego Czerwca miałem zręczność posłania trzeciej *livraison: Les femmes célèbres*, alem zapomniał obiecanych nieśmiertelników jako pamiątki po Lafayecie przesłać. Pójdą więc one w drogę razem z P. Tadeuszem, którego już druk skończony — nie prędzej jednak jak w połowie przyszłego miesiąca. Około tego czasu spodziewam się otrzymać dar P. Eugenii, bo właśnie teraz piszę do Czecha, aby mi niektóre książki nadesłał, będzie miał więc porę oddania mi mojej własności, do której łaska Babuni i P. Eugenii daje mi prawo. Mama z dobroci swojej nie wzgardziła choć niepodobnym pielgrzymem. P. Eugenia zapewnia mię, że podobniejszy znalazłby jeszcze przyjęcie i gościnną w Osieku gospodę — nie trudno mi o niego, ale jeden warunek! komu się z losu dostanie, tego nawzajem portret mieć będę. Jabym rad mieć tu z sobą całą rodziną Osiecką, tak jak mam portret mojej Mamy, który mię doszedł z Warszawy przed kilku dniami, i z którym cały się dzień pieszczę — rano życzę mu dnia dobrego, żegnam go, gdy z domu wychodzę i za przyjściem witam na nowo i tak mi się zdaje, że jestem w kraju, w Litwie i w Osieku razem. — Przez wszystkie polskie gazety, jakie tu tylko mamy ogłosiłem wezwanie do P. Seweryna Manget — ale to niedobry rodak jakiś — bo pomnę, że przed kilką laty jużem go szukał, a on się odezwać nie raczył. — Jakbym mu był wdzięczen, żeby daniem wiadomości o sobie pomógł mi do wyświadczenia małej przysługi, do zrobienia dobrego uczynku, a to się mi tu tak rzadko zdarza — wyjąwszy dzisiaj — bo donosząc, że *Kordyan* jest Słowackiego Juliusza, robię dobry i bardzo miłosierny uczynek Mickiewiczowi. — Nie godzi się tak mało trzymać o talencie Adama, żeby mu przypisywać Kordyana, a jednak nietylko w Krakowie, ale i po innych miejscach za jego pracę poczytano. — Wypada mi się skarżyć na nieprzyjazny dla mnie po-

wtórny wyrok Ministra spraw wewn., P. Thiers, który mi żądanego powrotu do Paryża odmówił. — A miałem wiele nadziei, bo w tych czasach jak tu we Francyi, tak i w Anglii Polacy w ogólności życzliwości więcej doznają. Nie otrzymawszy tedy pozwolenia przyjazdu z Bruxelli, siedzę jak pierwej w Paryżu.

. . . .

18 Lipca 1834.

. . . .

Mimo nieskończonych próśb moich wydawca P. Tadeusza nie chciał zezwolić na to, abym mój egzemplarz posłał do Galicyi przed 1 Sierpnia. Około tego czasu przyjdą jego paki i wiadomość, że Tadeusz już jest w Galicyi — rząd więc nie dowie się wcześniej i nie przeszkodzi dojściu. Tak mię prosił, zaklinał, żem nareście dał mu słowo, iż go do 1 Sierpnia zatrzymam. Jeszcze więc o cierpliwość moich czytelników proszę, ale za to choć długo oczekiwane, kiedyś przyjemnie jeden lub dwa wieczory zajmie.

Tymczasem posyłam dla P. Adeli poezye jednego z moich przyjaciół, Antoniego Goreckiego. Jeśli ten dar ma jakąś wartość to chyba, że mi był na pamiątkę dany przez Autora. Ofiarując go P. Adeli, posyłam go do Osieka, tej Sybilli wszystkich moich porewolucyjnych pamiątek.

Nieznajomy ale kochany przezemnie uczeń z Pragi nie odmówi może przyjęcia słów wieszczych Lamenego. Czytając, niech pamięta, że dla niego cała przyszłość — ona jego dziedzictwem.

. . . .

Mickiewicz ma się żenić z P. Celiną Szymanowską, córką fortepianistki i bodaj, że ślub odbędzie się pierwszych dni września.—Szczęśliwy poeta! Szczęśliwsza jeszcze Celina, która imię swoje unieśmiertelni do razu, łącząc z Adamem przyszłość swoją.

. . . .

21 Stycznia 1835.

Od chwili ostatniego pisania, nic tu u nas ważnego nie zaszło prócz śmierci Maurycego Mochnackiego. Jako pisarza wielka szkoda dla literatury polskiej, dość pod te czasy ubogiej, a surowo w kraju prześladowanej. Żal tedy szczery czujemy po stracie Mochnackiego, którego proza za model piszącym o historyi lub literaturze służyć będzie. Od dni kilku Czartoryski, żona i małe książątko chore. Sam nawet chory niebezpiecznie, ma mocną gorączkę z przeziębienia nastałą. Wszakże wszelka jest nadzieja, że do zdrowia powróci. Smutna to jest epoka, w której taka jak ja Gazeta ograniczyć się muszę na nowinach prywatnego życia Emigracyi — a mojażli to wina — kiedy prócz śmiesznej farsy wypowiedzianej wojny Stanom Zjednoczonym, cały świat w pokoju, w egoizmie: kiedy nikt o biednej Polsce nie myśli, kiedy nawet sprawa nasza i inne niegdyś tak rozgłośne, dzisiaj nie służą już ani do spekulacyi księgarskich, ani teatralnych i kiedy nareście

zaledwie po tysiącznych staraniach, po dostarczeniu modelów kostiumów i baletnika do uczenia, dyrektor balów Opery zgodził się na przedstawienie kilku tańców polskich!

Wracając tedy do domowych spraw naszych, na ten raz nic niemam, czembyśmy się pochlubić mogli, bo ani tem, że Hauke Maurycy z banku Jelskiego skradł 30.000 fr. i dziś w więzieniu, ani tem że odkryto między naszymi trzech szpiegów moskiewskich i potrafiono tak ich wplątać, że mimo Pozzo di Borgo[3] policya francuska wyprawiła ich do Anglii, t. j. precz z Francyi; ani tem, że się kłócimy z każdym dniem goręcej i jak harcerze na ostre gonim jedni na drugich i stąd kłótnie, swary, pojedynki. — Z razu rzewny poojczysty żal tłumił drobne niechęcie, a nadzieja lepszej chwili weseliła każdego. Dziś i biedno i smutno — irytacya ciągła, zwątpienie — to żrzódła wszystkiego złego. — Dawniej posłałem był na ręce Czecha *Emilię Plater*, dziś dalszy ciąg *Femmes célèbres* P. d'Abrantès a w dodatku piękny sonet Goszczyńskiego D o D o b r y c h P o l e k, wydrukowany w nowem piśmie *Pospolite Ruszenie*.

Kiedy w nocnej podróży zerwie się szaruga,
I błędnemi widmami krąży po drożynie;
Jak miła wówczas gwiazdka, co we chmur szczelinie,
Na zbłąkanego okiem opatrzności mruga!

Szlachetne, czyste dusze, wy, jak gwiazdka druga
Wschodzicie na burzliwej naszych dni dziedzinie,
I przyświecacie błędnym. — Ta chwilka przeminie!
Tam w dali, noc tak chmurna, pielgrzymka tak długa. —

Tam znowu zgaśnie światło waszego spojrzenia;
Cóż nam wtedy zostanie? — Zostaną wspomnienia,
Co promieniem dusz waszych, jak brzaskiem zachodnim
Śród nocy naszych przygód wiecznie będzie świtać!
Gdybyż ten blask zachodu spłynął się ze wschodnim,
I tutaj gdzie nas żegna, mógł kiedy powitać! —
. . . .

31 Maja 1835.

Chociaż list był zaadresowany na *rue des Arts*, a mojej ulicy miano jest *St. André des Arts*, przecież doszedł mię szczęśliwie i cała jego podróż nie zabrała więcej nad dni 16. — Odebrałem go bowiem 29, a był pisany 13. Możem zanadto wierzący, ale i tą razą wierzę, że owo westchnienie do Boga, którem młody Mochnacki list zakończył, wiele się przyczyniło do rychłego dojścia. — Nie możemy całego naszego życia rozumem sobie wytłómaczyć, najważniejsze tajemnice są dla nas nieodgadnionym hieroglifem i gdyby nam w pomoc nieprzychodziła wiara, czemżeby było nam istnienie? Biada temu, kto tej jedynej zaprze się pociechy — biada narodowi, który straciwszy wiarę religii powoli przestaje we wszystko wierzyć! — Na nie-

szczęście patrzę na to z bliska — tu w około nie wierzą w nic świętego, w nic ziemskiego nawet. — Każdy jest u siebie i dla siebie, a gdy mu to życie się przykrzy, kończy je samobójstwem, rozumiejąc, że schodzi ze świata, nie zostawując żadnego długu bez zapłaty — wkrótce wymażą z dykcyonarzy niepotrzebne słowa: familia, przyjaźń, miłość — tu niema ojców, dzieci, małżeństw, przyjaciół, tu żeby szanowano prawa, trzeba, jak zręcznie powiedział jeden z dzienników za każdym artykułem kodeksu żandarma postawić i kata.

. . . .

W trzydziestu leciech jestem dziecięciem! i iluż tu mam takich, którzy się śmieją ze mnie, żem litewskiej ziemi i litewskich kwiatów sprowadził i pełnom wazonów na oknie w koszyku, na kominku poustawiał i gdy wieczorem wracam do siebie, każdy z nich z osobna witam i lżej mi w sercu, bo mi się zdaje, żem w swojej Ojczyźnie. — Wierzcie mi Panie, że kiedy to piszę, szczerze płaczę i niewstydzę się niemęskiego żalu. — Niepłakałem straty ojca, siostry, przyjaciół; ale kiedy ze stratą Ojczyzny wszystko się traci i kiedy wspomnieniem żyć trzeba, na to nie mam dość siły. — Pamiętam, kiedyśmy Wisłę przeszli — jeszcze na chwilę przed przejściem śpiewałem z innymi — jeszcze nasz żołnierz miał broń w ręku, nasze chorągwie stały przed nami. — Ale kiedy je zawieszono w kościele jak portret ojca na katafalku i kiedy nas tyrolskie strzelcy i węgierskie huzary otoczyli w koło, jak krewni otaczają jamę, do której trumnę wpuszczają, — wtenczas, ah! wtenczas słyszałem łoskot ziemi rzucanej na wieko i rzuciwszy się na ziemię dzień cały płakałem. — Poczciwy mój Różycki [4] przyszedł do mnie, cieszył mnie i razem ze mną płakał. — Czy był jeszcze kto trzeci? — nie wiem — ale wiem, że kiedyśmy do Zatora przyszli, tam poczciwy komisarz obiadem przyjmował — wszyscy biesiadowali, a wieczorem do późna w karty grali. — Ah, ja to pamiętam, jak gdybyto było dzisiaj. — W tej chwili — wtenczas jeszcze wstydziłem się wyznać, dlaczego płaczę — odnowiła się mi rana na nodze i złożyłem bole na nią — wolałem ten śmieszniejszy dać powód do płaczu, niż powiedzieć, czego może wówczas tak jeszcze dobrze nie czułem, jak dzisiaj, że nam bodaj na zawsze rozstać się trzeba z nadzieją.

Poczciwe Austryaki cwancygierami zapłacić chcieli tę stratę — inni brali; ja nie wiem dlaczego, alem na tę symonią odważyć się nie mógł, choć tylko 18 dukatów całego miałem funduszu. Ale zło nie rychło opuszcza człowieka; cwancygiery za mną przyszły aż do Paryża. Przywiózł mi je Różycki powiadając, że to z listy żołdu dla oficerów sztabu na moją część wypadło. Wyparłem się i Różyckiego i jego sztabu, bo to było dla mnie świętokradztwem.

Gdyby mi krwią przyszło płacić wszystkie oddane posługi w mojej podróży do Francyi i od chwili opuszczenia kraju, oddałbym chętnie krew moją, zaprzedałbym siebie, gdyby koniecznie pieniędzy za to chciano, ale żeby mi wolno było raz jeszcze wrócić i te święte miejsca odwiedzić. Dla pielgrzyma polskiego Polska jest dzisiaj nowa Jeruzalem, jest to Mekka, jest to Grób Chrystusa!!

Kocham Polki, bo one umieją do mało z siebie znaczących rzeczy wysoką przywiązywać wartość. — Małoż to jest takich, dla których byłaby

zagadką prożba Szanow. Sąsiadki Osieck., aby jej byle jaki autograf Adama przysłać. — Ja z tej prożby poznaję, że ta, co prosiła, kocha Polskę i żeby jej co rychlej żądaną uczynić przyjemność, nim Adama zobaczę i coś u niego dostanę, wynalazłszy szpargał, który dochowałem, tutaj przyłączam. — Jest to recenzya Pamiętnika Pułkownika Różyckiego, umieszczona kiedyś przed laty w pierwszym numerze Pielgrzyma pod tytułem Kopernik. Jam chował wszystkie brouillony, aby kiedy, jeśliby mi chciano przyznawać jego pismo, uniknąć odpowiedzialności, składając oryginały własnoręczne. — Odpowiedzialności za wielkiego pisarza brać się nie godzi, bo to śliska droga i kto się pod cudze pióro podszywa, często karku nadłamać może. Ale dziś, kiedy mię pretensya do pisania odpadła i kiedy wiem, że mię nikt o dobre pisanie nie posądzi, mogę spokojnie rozrządzać mojemi *pièces justificatives*. Czy dostanę co lepszego? — nie ręczę, bo nasz Adam, jakkolwiek mię kocha, jest trochę kapryśny, — ale mu wszystko przebaczę, nawet nie wiem co jest takiego, za cobym się mógł na niego obrazić. — Obowiązuję się jednak usilnie nań nalegać. — Stan jego interesów ma się lepiej. — Wydaje rychło coś w języku francuskim. — Tego coś nikt nie wie, bo pono tak jak z dziecięciem, póki go nie ochrzcą, nikt nie wie, jak się nazywa.

20 Lipca 1835.

. . . .

Niech was, Kochane Panie, nie trwoży spółka, do której od 1 Lipca wszedłem. — Materyalnie zyskać więcej na niej mogę, niż stracić, a za jej pomocą po dwakroć skuteczniej służyć jestem w stanie sprawie publicznej; a ta uwaga już dostateczną byćby powinna na skłonienie każdego Polaka do wejścia do spółki nietylko z Jełowickim, ale z Mefistofelesem! Na pochwałę zaś Jełowickiego to powiedzieć mogę, że jest nadzwyczaj delikatny w rzeczach pieniężnych, ani zbyt interesowny. Mamy wzajemne zaufanie — on mnie wszystko powierzył — na mnie, na mojem doświadczeniu i moim rozumie polega i do niczego się nie miesza. Ja bardzo małą część, bo 6-tą wnoszę pieniędzy, a podział zysków prawie równy, bo moja praca szacowana jest tyle, ile ich pieniądze. — Będę miał zręczność zrealizowania dawnych moich funduszów i jeśli zapłacą moi dłużnicy, będę miał kilka tysięcy franków na wszelki przypadek. — Gdyby się jedynie pracowało dla zysku, może by praca ta nie była tak przyjemną, ale my pochlebiamy sobie przynajmniej, że jest inny, piękniejszy, szlachetniejszy cel, który nas do tej entrepryzy przywiódł. Napisałem ja był kilka myśli o zakładzie naszego nowego domu, ale ich drukować, jak pierwej chcieliśmy, niebędę, boby korzyści niewiele przyniosło, a rozgadywać o pożytkach naszych zatrudnień nie jest politycznie i więcej zaszkodzić niż pomódz mogłoby. — Wpisuję je tu tylko, żeby jaśniej wytłumaczyć, dla czegom tu na wygnaniu poświęcił się księgarstwu, a nie innej jakiej pracy, żebym na jaw wyprowadził przekonanie moje.

Kopia projektowanego okólniku.

„Literatura ustna i pisana jest duszą ujarzmionego narodu; gdyby jaka siła mogła mu wydrzeć jego literaturę, jego poezyę, naród ten stałby się ciałem bez duszy, byłby bez powrotu zabitym i nie wymarzyłby, nieprzygotowałby przyszłości swojej. Literatura ujarzmionego narodu, ciągiem snów i marzeń przerzuca go z rozkosznego łoża nadziei na łoże rzeczywistych jego boleści, dopóki go nie przebudzi. — Siła tej literatury, jak uderzenie pulsu, świadczy o sile żywotnej ujarzmionego narodu; utrzymując i podniecając tę siłę, można przyspieszyć chwilę jego przebudzenia, bo literatura uzbroić może i powinna naród uciśniony, literatura sama jest orężem i nowe oręże potworzyć jest zdolna. — Ta nieoszacowana siła narodu polskiego, po żadnym upadku naszym tak wielką nie była, bo też i powstanie nasze nigdy tak wielkiem nie było. — Ta siła sprowadziła była to ostatnie powstanie, ta siła wyprowadzi jeszcze silniejsze ostateczne, w którem Ojczyzna nasza zajaśnieje całym blaskiem naszej ku niej miłości.

„Pracowaliśmy w tej mierze, żeby ułatwić rozkrzewienie się literatury naszej przez wydawanie celniejszych jej płodów; ale usiłowania nasze nie były dostateczne, bo dotąd jedynie literaturę emigracyjną wspierać mogły, a na tem niedość; bo jakkolwiek w tułactwie naszem mamy znamienitych pisarzy, nie wystarczą oni dla narodu, bo nie są w narodzie. Jednako czują wszyscy Polacy, ale odcienia ich uczuć tak są różne, jak różne ich jest położenie; jednako czują, ale inaczej myśli Polak pozostały na ojczystej ziemi, inaczej Polak tułacz; inaczej Polak więzień, inaczej Polak wtrącony w szeregi nieprzyjacielskiego wojska. Gdyby te wszystkie myśli mogły się zlać w jedno ognisko, utworzyłaby się stąd najcudniejsza harmonia, urosłaby niepokonana siła i jedność, której dlatego niemamy, że chociaż spojeni sercem, jesteśmy rozstrzeleni duchem, i w tem to cała trudność. Jednym z najcelniejszych środków jej pokonania jest druk, który się jak woda przesączy i wesprze drugą potężną siłę, to jest tę tajemną tradycyę, która z dziwną szybkością polskie plemię przebiega, która jest chmurą, piorunami brzemienną; a myśli wielkie przerzynając i oświecając ją jak błyskawice, zwiastują liczne zniszczenia dla wrogów naszych.

„Druk i tradycya w dzisiejszej doli naszej są jedyną podporą ducha narodowego, bo wrogi pozmiatały wszelkie pamiątki z ziemi naszej i tylko mogiły braci naszych nam pozostały.

„Druk i tradycya, wspierając się wzajemnie przyspieszą chwilę narodowego powstania. — Ale w Polsce niema druku, bo jest cenzura, a więc skargi braci naszych, ich płody literackie twórczym duchem natchnione, ich myśli o wyjarzmieniu Ojczyzny, aby na drogę druku wtoczyć się potrafiły, potrzebują bezpiecznego chronienia, które dziś tylko za granicami nieszczęśliwej Polski znaleźć się może. Na to schronienie zakładamy w tułactwie drukarnię polską. Bogdajby ona jak najrychlej drukowała biulletyny wojska polskiego! ale nim nastąpi błoga chwila wojny narodowej, niech się na drodze nieustającej walki z nieprzyjaciółmi naszymi znajdą dobrzy pisarze i liczni czytelnicy, a chwila ta przyspieszona zostanie. Znane nam są przeszkody, które nieprzyjaciele nasi do rozkrzewienia się literatury polskiej stawiają, ale nie przestaniemy zachęcać najusilniej braci naszych, aby gorliwością

swoją przewyższali wszelkie przeszkody, aby łączyli w jednym celu usiłowania swoje, bo tylko wszyscy razem i zgodnie pracując, zdołamy dźwignąć kamień grobowy, który dziś całą Polskę przywalił, ale jej nigdy nie zgniecie.

„Na nic się nie przydadzą najlepsze książki, jeśli licznych czytelników mieć nie będą; ażeby więc, o ile to od nas zależeć może, liczbę ich pomnożyć, zakładamy księgarnię polską, a nadto zakład połączony Drukarni i Księgarni Polskiej zajmie się tem wszystkiem, co go w stosunkach z krajem utrzymywać będzie“.

. . . .

Zaczynamy prace nasze od drukowania nowej książki do nabożeństwa — pierwszy ten snopek naszego żniwa, jak skoro zebrany będzie, przyniosę go do Osieka. Będzie to jeszcze z niemałą dla mnie korzyścią, bo Panie modląc się na nich, czasem i o mnie wspomniecie i za mnie zmówicie paciorek. Potem zaraz drukujemy Mickiewicza *l'Histoire de l'Avenir*. Ma być to coś osobliwszego — jeszczem nie czytał, ale sam Mickiewicz powiada, że wiele hałasu narobi.

. . . .

9 Marca 1836.

. . . .

Niewiem, czylim kiedy pisał o Nieboskiej Komedyi. Drukowano ją tutaj, ale po wydrukowaniu wszystkie egzemplarze schowano. — My tylko mamy jeden egzemplarz — jesteśmy pewni, że ją pisał Zygmunt Krasiński, syn Wincentego — talent nadzwyczajny. — Dołączam tu opis dziecięcia nazwiskiem Orcio, pod tym nazwiskiem jest sam poeta Zygmunt . . .

. . . .

Możeż być co naturalniejszego jak ów opis dziecięcia, które w kolebce rokowało coś wyższego nad owe poziome istoty, które schodząc ze świata nie zostawiły śladu, że były na nim. Zresztą cała kompozycya jest wielka — tylko że autor szuka usprawiedliwić ojca — że nasze powstanie narodowe przemienia w rewolucyę socyalną i do niej wszystko wkleja, co się we Francyi działo, a czego u nas nigdy nie będzie. — Teraz drukujemy Irydjona; niewiadomy jest autor, ale pisarz znakomity. — Jest to opowiadanie dramatyczne, jak chrześcijanizm na ruinach bałwochwalstwa krzewił się w Rzymie. Epoka rozprzężenia wszelakiego tamecznych czasów dziwnie ładnie opisana.

. . . .

Dowiadujemy się, że droga żelazna ma iść z Wiednia do Lwowa — czy nie przechodzi przez Kenty? Od Wiednia ma iść do Tryestu i we 3 dni ze Lwowa do Tryestu dostać się można. — Byłoby to bardzo wygodnie.

. . . .

31 Marca 1836.

Nigdy poczta austryacka tak skorą nie była, jak wioząc listek P. Eugenii z 16 Marca. — Rzecz nadzwyczajna! 13 dni biegł tylko z O. do Paryża, tak właśnie jakby mu się chciało koniecznie na dzień 29 Marca

stanąć u kresu podróży; choć takie nie było jego przeznaczenie — ale to pewna, że dla mnie przyjście jego uczyniło ten dzień więcej jeszcze uroczystym. Oddano mi z poczty wieczorem w chwili, kiedyśmy do stołu siadać mieli.— Mimo to, że jak zwyczajnie nasi ziomkowie na proszone obiady nieregularnie przychodzą (a zwłaszcza poeci) i każą jedni drugim czekać na siebie, ja jeszcze sam wyszukałem pretekst do zwłoki — zaintrygowałem z kucharzem, żeby chwilę czasu ukraść moim biesiadnikom i poświęcić ją na odczytanie listu — tymczasem w czasie mojej nieobecności gotowała się dla mnie siurpryza — jeden z młodych moich przyjaciół[5], zachęcony od starszych poetów, napisał mi wiersz — można go uważać za improwizacyę. — Ponieważ postanowiłem całkowite pół arkusza zapisać, mogę mieć przeto pozwolenie na umieszczenie kilku z niego wyjątków:

„Niedawno, gdym był dzieckiem kochany Eustachy,
Fantazyą budowałem nadpowietrzne gmachy;
Stroiłem, zaludniałem, idealne kraje,
Grały srebrne strumienie, piały chórem gaje
We wtór duchowi memu — cicho — tkliwo — miło,
Miłość i przyjaźń drogę życia ukwiecała,
W progu wieczności sława z wieńcem mię czekała,
To było Niebo! tylko Boga w niem niebyło!
Bo kiedy chciałem sięgnąć za uroku szaty,
I te postacie wiotkie, przejrzyste, kryształne,
Ująć dłońmi, dotychczas duchowi widzialne;
Poznałem, żem ubierał nicość w słów szkarłaty,
Że mój świat i świat prawdy, są dwa różne światy.
Ta w mojem Eldorado anielska kochanka,
Na ziemi była sobie to parafijanka...
Przyjaciel, co miał dzielić troski i wesela,
O wszystkiem w świecie różne odemnie miał zdanie.
Walny chłopiec! jedyny na bal, polowanie,
Niechże sobie szczęśliwie poluje i strzela!
A sława, co mi brzmiała jak pieśń czysta, święta
Z Geniuszu i Ofiary na ziemi poczęta,
A na ostatnich krańcach wieczności kończona,
Z wieku w wiek, jak z ust do ust, od echów miliona
Posyłana — wraz skrzypła, niby ton fałszywy,
Jej symbol — błazen w rynku stwarzający dziwy,
Jej księga nieśmiertelna — szarlatańskie dzieje,
Śmiech wziął — a człek niekocha, z czego raz się śmieje.
Otóż strącony Anioł wlokę się po ziemi,
I milczę, by nie nudzić spomnieniami memi:
Zresztą Poezya w duszy, jak niebios dywany,
W których kanwę, gwiazd milion od Boga utkany,
Wcielona w słowo jest to mętny odblask w wodzie,
Który falanga wałów rozbija w pochodzie —
Toż myśl, co na tle niebios dziewicza, nietknięta,
Wiedząc siebie i czując, błyszczy jasna, święta,

Maż zstępować na ziemię i szarzać się w tłumie,
Gdzie ją tysiąc potrąci, a jeden zrozumie?...
Cudownie!... czyż nie prawda drogi Eustachy?
Niestety! muszę urwać tak ślicznego wątku,
Bo prezes mojej głowy wzywa do porządku:
By co prędzej rzuciwszy fantastyczne gmachy
I pomnąc, z jakiej pióro jest w ręku przyczyny,
Powinszowanie pisać na twe imieniny.
Do rzeczy tedy: ale zanim się namyślę
Co tu życzyć? Na czele tę uwagę kryślę:
Poezya i realność, co tylą wiekami
Tak się mają ku sobie jak ogień ku wodzie
Odkąd świat stoi — pierwszy raz dzisiaj są w zgodzie,
Kiedy ja, że cię kocham, mówię ci wierszami.
Teraz czem cię obdarzyć? — gdybym był poetą,
Śpiewałbym hymn przyjaźni, hymn szczytny, uroczy,
Myślby moja świeciła ognistym kometą,
Przy którymby pobladły gwiazd zazdrośne oczy.
Ten hymn byłby tak dźwięczny, pełny, silny, czysty,
Że byłby najpiękniejszym tonem w tej muzyce,
Którą ziemia spowiada niebu tajemnice,
I dziękuje za jego płodny deszcz gwiaździsty.
W tej muzyce żywiołów, co jest ślubnym wiankiem
Między ziemią kochanką, a niebem kochankiem —
Gdybym...
...Po urwiskach przypuszczeń, próżno myśl się ima
Z łodzi ojców rzucona na obłędu morze.
Nam cała przyszłość — blade spodziewania zorze!
Cała przeszłość — wspomnienie! a dziś — kij pielgrzyma!
Bogdaj nam Eustachy życie z nudnej pleśni
Wyszło jak słońce z nocy. — Bogdaj przeszłość cała
Niedorzucona zwrotka nieśmiertelnej pieśni
Znów z pól naszych ku niebu tryumfem zagrała,
Takt bił miarowy tentent parskających koni,
Pijana radość serca i szczęk starej broni.
A szeregi Serafów do rajskiego progu
Spłynęłyby — i wisząc w miękkiem chmur posłaniu
Łowiły dźwięk — i zawżdy przy strofy konaniu
Chórem brzmiały niebieskim z polskiem: s ł a w a B o g u!
Znowum wpadł w zapał — teraz będę miał na pieczy,
Aby, gdym głupio zaczął, zakończyć do rzeczy.
Otóż zanim będziemy hasać na rumakach,
I pytać starej sławy w Batorego szlakach,
Nim powstanie nadejdzie — cóż robić potrzeba?
Wiatr żądzy niechaj chmury nagania i płoszy,
Bo ze łzy i z uśmiechu, z walki i z rozkoszy
Złożyli ludzkie życie Alchemicy z nieba.

. . . .

16 Lipca 1836.

. . . .

U Mickiewicza będę w przyszłą Niedzielę i wspomnę mu — tylko że on jest kwaśny od niejakiego czasu i nie pisze, tylko wychodzi do gaju i stanąwszy nad mrowiskiem dziwuje się ogromnej ruchawości mrówek i ich żelaznej pracy. Klaudya umarła — to już Panie wiecie. — Stawimy jej w Genewie pomnik. — Alzaczczycy ubóstwiają ją i nie wierzą, żeby ona niemiała być Aniołem.

8 Września 1836

. . . .

Przedwczoraj korzystając z paszportu mojego do Daumont, odwiedziłem po raz drugi Adama. Pokazywał mi przysłany od Adolfa widok Inyma, owej mieściny syberyjskiej. — Kiedyś nasz Adolf [6] podróżował po Włoszech z Adamem, dziś oni na dwóch krańcach świata. Piszę ja trochę w parabolach do Mamy o owym rysunku, aby dała wiedzieć Adolfowi, że on jest w rękach Adama, że tak mu za pamięć wdzięczny i tak rad z posiadania jego, że mi nawet do przerysowania nie pozwolił.

. . . .

14 Marca 1837.

Dotąd Osiek był dla mnie ogniwem, wiążącem biednego i smutnego tułacza z kochaną Litwą i z temi, którzy po nim tęsknią, a po których on płacze; bo już nawet i we śnie nigdy się nie zamarzy, żeby kiedyś ujrzeć to co się straciło i choć dzień jeden przeżyć szczęśliwie. — Dzisiaj Osiek zbliżył dla mnie i najodleglejsze strony — i z jego łaski czytam wyrazy kochanego Adolfa... Kartka jego ręką pisana, którą Eugenii zwracam, odświeżyła w mojej pamięci wszystkie chwile radosne, upłynione, bezpowrotne, kiedyśmy razem z nim uczęszczali na lekcye Lelewela w Wilnie i razem słodko dumali o przyszłych naszych losach. On miał wrócić na Podole, tam się ożenić i zamieszkać — ja z Litwy ani na krok nie myślałem wyruszyć, bo Litwa była dla mnie rajem, i nie pytałem nikogo, czy jest gdzie większe szczęście na świecie? Któżby był wtedy powiedział, że ja się z Litwą, on z swojem Podolem rozstanie! i może na zawsze... Łatwo sobie przeto wystawić to wzruszenie, jakiego doznałem czytając jego wspomnienia tych upłynionych czasów i ten wiersz „Nieznajomej, dalekiej..." etc. napisany przez Adama w imionniku Pągowskiej, kochanki Aleksandra Chodźki, z którym mój Adolf (jako poeta także) był w przyjaźni. Adam czytał jego kartkę i westchnął smutnie i przypomniał pobyt swój w Rzymie z Adolfem — i z gorzkim uśmiechem powiedział: Otóż to przeznaczenie Polaków!... Przeznaczenie czy los, czy wola Tego, co światem rządzi, a zawsze nieubłagana, nieprzeparta ani prośbą, ani łzami, ani krwią przelaną w obronie najświętszej sprawy... Kartkę Adolfa zwracam... ponieważ Eugenia chce ja

do zbioru autografów zamieścić, a więcej jeszcze, że ona jest jej własnością...

. . . .

W tej chwili był u mnie Adam, chciał parę słów ręką swoją napisać do Adolfa, ale lękając się, by też go na biedę nie naraził, prosi P. Eugenią, aby odpisując mu, raczyła przypomnieć: Jazdę na osłach z damami do Alby i pobyt tam kilkodniowy — bo Adam powiada mi, że choć Adolf był chory wtenczas, miał się jednak za najszczęśliwszego i wyznał przed nim, że jeszcze nigdy tak szczęśliwym nie był jak wówczas.

. . . .

Powieści kozackie[7] przyszlemy przez przyjaciela, któremu można będzie za egzemplarze pieniądze złożyć a on nam je do rachunku wliczy. — Biletów na powrót odsyłać nam nie potrzeba — to byłby koszt próżny. — Wcześnie polecam te powieści jako nadzwyczaj ładne, a między niemi szczególniej Kościół w Grużyńcach. Powieści te są pisane przez człowieka, który dopiero o literaturze zaczął marzyć w Paryżu i dlatego tak są oryginalne; tyle mają ponęty, tyle obrazów nowych, niewidzianych dotąd gdzieindziej, że się je czyta z niepojętą przyjemnością. Pisarz ich ortografii nie zna — ale ma czucie i zna naturę, a kozaczyznę i Polskę kocha przedewszystkiem.

. . . .

Dziś znowu osnowany projekt kolosalnej pracy wydania dziejów upadku Polski od Stanisława Augusta aż do dnia dzisiejszego, pod dyrekcyą Lelewela. Będzie to kodex dyplomatyczny ostatnich czasów Polski, krwią i łzami pisany. — A czy się uda — nie wiemy?...

. . . .

Lubecki odjeżdża w Sobotę do Petersburga — pedogra go dręczy niemiłosiernie, a tej pedogrze przyszło w pomoc zmartwienie, że się misya nieudała w Paryżu. — Odjeżdża i Dmitrieff z nim razem — mój wielki przyjaciel, choć Moskal. Jeśli rysunek mojej figury niepotrafi malarz skończyć przed sobotą — bo mi na myśl przyszło choć zapóżno posłać go przez Dmitriewa mojej Matce — będę prosił Eugenii, aby swojej dla niego nieodmówiła opieki — ale tą razą będzie podobieństwo niezawodne.

15 Lipca 1837.

Co to za trzpiot ze mnie, to Panie nie macie wyobrażenia; a przecie już lat trzydzieści minęło. Eugenia ciekawa była wiedzieć, czy posyłka wiedeńska doszła czy nie?... ja wiedząc i pisząc do Osieka 28 czerwca zapomniałem o tem uczynić wzmiankę i zapomniałem także posłać wizerunek Zatora, jeszcze niezupełnie wykończony. Żeby przeto i tą razą przy gawędzie niezapomnieć po raz drugi zaczynam od tego, że grosze doszły P. Rautens[trauchową] i że ta nie wiem już jaką koleją, ale zdaje się kupnem manuskryptu Tadeusza oddała je Adamowi. Musiało być więcej jak 3 tysiące franków, bo złożył u mnie do schowania 1500, poszło 1000 na wykupno brylantów; potem inne wydatki dają mi do rozumienia, że około 3000 przysłano. Adamowa wyjechała z dziecięciem do St. Germain na mieszkanie

przez lato, a Adam jest jeszcze w Paryżu, z którym pozawczora grając po sous w marjasza, nb. w karty polskie, przegrałem 5 fr. — On, co nigdy nie wygrywa, był tą wygraną tak ucieszony, jak pewno nie więcej nim był po odebraniu owych 3000 fr. Patrzcie więc Panie, co ze mnie za spekulant! jaką małą ceną okupuję moję i drugich rozkosz. Przyznam się jednak, że mię gniewały trochę marjasze, bo ich Adam każdą razą miał 60, 80 — I jakżeż było wygrać?...

. . . .

Piękne rzeczy przyszlę tą razą: jest to Historya odradzającej się Polski od 1792 do 1832 przez Joachima Lelewela. Ciekawa bardzo książeczka, a potem kilka innych, bo też już dawno Panie nowego pokarmu pielgrzymskiego nie kosztujecie.

25 Lipca 1837.

Biedne nasze życie: walka bolesnych i przyjemnych wrażeń; szczęśliwy jeszcze, kto jak ja po doznanym smutku odbiera z Niebios pociechę i łzy żalu niedługo płyną, bo je wnet rosa radości obmyje. D. 15-go wieczorem skonał na mojem ręku dobry mój przyjaciel, od wszystkich kochany i żałowany Karol Wodziński. — 19-go otrzymałem list Eugenii, 6-go pisany; 22-go stracony od 2-óch lat, błąkający się na Libanie, po Egipcie, Nubii zjawił się mi w liście z Liworno kochany Słowacki, a nazajutrz w mojem objęciu miałem Seweryna, który pod sekretem tu do nas zawitał, nim do wód odjedzie. Niechże mi Panie powiedzą, czy jest co kapryśniejszego nad nasze biedne życie? Z dawna przygotowany byłem widzieć umierającego Karola, bo jego choroba była nieuleczoną; ale się nie obeszło bez wzruszenia, zwłaszcza gdym między papierami znalazł spisaną ostatnią jego wolę, a w niej na końcu te wyrazy: „Owoż cały testament tułacza, który prócz rzewnych słów spółczucia, podzięki i pożegnania niema nic zapisać swoim przyjaciołom. Ty wiesz ile w mojem sercu było miłości dla tych, których kochałem i czciłem. Powiedz to B. i moim na Wołyniu i moim na ziemi wygnania. — Smutno, posępnie zamykaćby było oczy tutaj daleko od polskiej kochanej krainy i od mojej biednej, stęsknionej rodziny; ale mi ten smutek rozpierzcha błoga, jasna, niezachwiana wiara w Boga i przyszłe lepsze życie, obiecane i kupione przez Zbawiciela Chrystusa. — Od czasu, jak ta wiara spłynęła z nieba we mnie, dusza moja i serce napełniły się nieznanym pokojem rezygnacyi i nadziei. Ta wiara świeciła jak gwiazda przewodniczka ciemnym dniom tułactwa mego i z nią da Bóg zstąpię cicho na łoże wiecznego spoczynku. Nigdym więcej jak teraz niekochał Boga, ludzi, Ojczyzny, rodziny i przyjaciół. Błogosławione niech będzie na wieki imię Ojca Niebieskiego, który mnie w tym stanie postawił. Żegnam cię“...

Żebyście Panie lepiej poznały mojego zmarłego przyjaciela, jeszcze tu wypiszę parę wierszy z listu jego zostawionego do matki:

„Ale moja najdroższa Karolino, ty list ten odbierzesz, gdy ja już będę przed obliczem Ojca Niebieskiego. Wiem, jaki to cios dla ciebie i dlatego na miłość twoją macierzyńską, na wszystkie cierpienia, którycheś w życiu doznała, zaklinam cię! znieś go z pokorą i rezygnacyą Chrześcijanki! Kto

umiera w Bogu, jak ja mam nadzieję umrzeć, tego można żałować, ale cicho i spokojnie. Życie — to czyściec, to podróż. Połączymy się prędko wszyscy w wiecznej Ojczyźnie naszej, gdzie niema łez i cierpień. — Oh! połączymy się pewnie, czuję to teraz więcej jak kiedy. Pokój więc i błogosławieństwo niech będzie nad tobą, droga Karolino, i nad temi, co jak ty drogie memu sercu. — Gorączka więcej mi pisać przeszkadza. — Żegnam was... — Przyciskam was wszystkich do serca, pojmiecie jak czule, jak dusznie, wszak to raz ostatni. Do zobaczenia moje najukochańsze, moje najdroższe! tam wysoko u najlepszego Ojca, który żałujących i kochających przyjmuje do Siebie". —

Darujcie mi Panie, że ich tak długo zgonem mojego przyjaciela zająłem.

. . . .

Z kolei muszę tedy donieść i o Słowackim i o Sewerynie. Otóż pierwszy zwędrowawszy Rzym, Neapol, Grecyę, Azyę, Egipt, Nubię, wrócił do Livorno i Florencyi, widział piramidy, grób Chrystusa, Jeruzalem, Betleem i wszystko, co godne widzenia i list swój w ten sposób zakończył:

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima,
Mój Eustachy!

Jeszcze głowa djabła warta,
Jeszcze czuję morskie strachy,
Słyszę wycie lwa, lamparta,
Mój Eustachy!

Jeszcze długo spocząć trzeba,
Nim przywyknę widzieć dachy
Zamiast płócien, drzew i nieba,
Mój Eustachy!

Ty napiszesz mi, jak stoją
Poetycznej muzy gachy,
I co piszą i co broją,
Mój Eustachy!

Dla nich rosły świeże laury
I brzęczały druku blachy
Gdym ja gonił Kofty, Maury,
Mój Eustachy!

Niech śpiewają więc Te Deum,
Żem rok zgubił, budząc Grachy,
I Scypiony w Kollizeum,
Mój Eustachy!

i t. d., i t. d., boby końca nie było — a i tak ze środka 6 strof wyrzuciłem.

15 Maja 1838 Paryż.

. . . .

W interesie J a n u s z a[8] napiszę w tych dniach. Nie wiem jakie były układy z Alex. Jeł.[owickim], ale dalibóg, jak znam Alexandra, tak sumiennie ręczę za niego, że jednego szeląga w życiu swojem nikomu nie zatrzymał. Jeśli nieodesłał pieniędzy z przedaży, to dowód, że ich nieodebrał -- że ich niemiał. — Od lat 4-ech ani szeląga nie przysłał mu P. Bochenek, który miał skład wszystkiego: na 3000 fr. podał ksiąg spalonych, a co do reszty oświadczył, że nie czas teraz ani możność robienia rachunku. Na Jełowickiego krzyczą wszyscy, bo wszystkim się zdaje, że kiedy kto drukuje, to musi wiele zarabiać, a tu w Emigracyi jest tylko dowodem, że kto drukuje wiele, musi wiele wydawać. I Jełowicki wydał, co miał — teraz niema, więc i wydawać przestał; — a potem niema i co takiego, coby warte było. Czy łatwo zarobić, uważcie Panie, kiedy nam samym druk Wernyhory 500 egzemplarzy kosztował 1600 fr.; — przedajemy po fr. 8 i 13-ty egzemplarz dajemy darmo. — Cóż tedy, gdybyśmy wszystko przedali — (co nie nastąpi), wypadnie do podziału z autorem? Na książkach zaś, przedstawiających jaki taki odbyt, Panowie Autorzy kładą ciężką rękę i wszystko garną dla siebie. Pobożny Witwicki wziął za pierwsze wydanie Ołtarzyka 3500 fr., a za drugie stereotypowe 4500. Czy jest na kuli polskiej jaki wydawca, coby tak płacił? — Coby 6000 dał za Tadeusza? i t. p. Otóż powtarzam, że jak się rozpytam u Jełowickiego o układach z Januszem, propozycye nasze zakomunikuję — 1000 fr. nie jest to drogo, ale gdy druk dwa razy tysiąc kosztować będzie, wogóle 3000 za 500 egzemplarzy 2-go i 3-go tomu poezyi, gdy jest pewność, że się 500 nie sprzeda po fr. 8 za 2 tomy, cóż się zostanie? — pewna strata — i dlatego sami autorowie na swój rachunek niechcą wydawać, a obwiniają tych, co łożą pieniądze na tak niepewne spekulacye.

. . . .

27 Czerwca 1838.

Kiedyś pisząc do Słowackiego, a idąc za radą Eugenii, radziłem mu, aby pisał prozą. Młodzieniec usłuchał rady i przysłał mi do druku poemat mały pod tytułem A n h e l l i. *Le style est tout:* powiadają Francuzi — i żeby to istotnie tak było, poemat Słowackiego byłby wyborny, bo ładnie napisany; ale widać, że tak nie jest, że trzeba myśli, coby ożywiła martwy, choć pięknie wykowany posąg. Ja przeczytałem Anhellego i z naiwnością całą przyznaję się, że go nie rozumiem — mimo to, że Słowacki w liście swoim komentarz do niego przysłał. Podług niego ma to być z i d e a l i z o w a n y S y b i r, bo powiada mi: „Mój Eustaszku (widzicie Panie, jak pieści mnie poeta) niech serce twoje skłoni do mnie to, że posłuchałem rady i że pisałem prozą bez żadnych wyskoków imaginacyi, nie pozwalając sobie żadnych opisów, żadnych wykrzykników, spokojnością hamując exaltacyę i ubierając wszystko w szaty Chrystusowe. Może ci kilka scen tego poemaciku uśmiech wyciśnie przypominając Emigracyę. Wreście jest to zideali-

zowany Sybir — ja sam zidealizowany, a wszystko razem jest tylko nastręczeniem kilku obrazów dla malarza, jeśliby się taki zjawił w Polsce". — Co to znaczy ów szkic skreślony dla malarza, kiedy biedny artysta nieodgadnie, czego chciał poeta? Kiedyś Bujalski potężnie zemścił się nad Słowackim, rysując sceny z Lambro (jest to także poemat Słowackiego). — Nudny był Lambro, to prawda, ale za to pocieszne rysunki Bujalskiego, bo kto tylko patrzał na nie śmiał się do rozpuku — ludzie i zwierzęta podobni byli do siebie. Nie daj Boże, żeby podobny malarz zdarzył się dla Anhellego.

. . . .

Zapał do żenienia się nie ustaje. Wczoraj Józef Potocki przeleciał z Florencyi przez Paryż do Londynu, goniąc za jakąś nimfą Albionu, z którą ma się poślubić zaraz po koronacyi Królowej. Drugą manią emigracyjną jest jeszcze katolicyzm. Już to nie sekret, że ja bardzo złym jego jestem kapłanem, kiedy ten szał religijny ultramontański manią nazywam — ale są prawdziwi kapłani, a do nich naprzykład należy owa gmina Portsmouth, dawniej tak szalona, dziś biorąca nazwanie: wyznawców obowiązków społecznych. Znacie Panie Walerego Wielogłowskiego — był to także filozof podług dykcyonarza Bayla i Woltera, a dziś pobożny pielgrzym, gotów nieść włosiennicę na barkach i iść pieszo o żebranym chlebie do jakiego Jacka w Kompostelli. Żona nieboraczka, chcąc nie chcąc, musi się trzy razy spowiadać na miesiąc. Ordęga idzie tąż koleją. Żeby był czas i miejsce po temu, możnaby na żart założyć jaką sektę Mahometańską i założyć się razem, że P. Walery i Ordęga porzucą katolicyzm i zostaną Mahometanami. Są dusze tak niespokojne, tak chciwe nowości, że je zdrowy rozsądek kontentować nie potrafi. Dobrze mi niedawno odpowiedział deputowany Zwierkowski, maniak w swoim rodzaju. Kiedym go pytał: „Cóż Panie Walenty? spodziewam się, że teraz siedząc w Chantilly, gdzie tylko jest czterech Polaków (licząc w to starych Jeneralstwa Małachowskich) — nie myślisz już o żadnych ogółach, szczegółach i t. d. i że do żadnego nie należysz". „Nie — nie należę, ale my sobie w Chantilly ogół [9] zawiązujem". I cóż na chorobę taką doradzić?

. . . .

10 Lipca 1838.

Z nowin najnowszą jest urodzenie syna Mickiewiczowi. Będzie mu na imię Lolo, albo Władysław, albowiem takie imię przyniósł sobie, rodząc się w dzień Ś. Władysława. Adam kontent nieskończenie i radości swej dość wypowiedzieć nie umie. Tylko Marynia [10] jego trochę oburzona, że przyjście na świat braciszka pozbawiło ją niektórych przywilejów, co dotąd za swoje monopolium uważała.

. . . .

22 Lipca 1838.

. . . .

Przyrzekłem w jednym z moich listów, że stanowczą odpowiedź co do

Janusza przeszlę niezadługo, i właśnie teraz przy tak dobrej okazyi wypisuję odpowiedź Aleksandra na moje zapytania:

„Zadziwia mnie pretensya Janusza. — I jakże ów chce, żebym w jego interesie jemu donosił, kiedym do tej chwili nie wiedział i nie wiem na pewne, kto on jest? kiedy on osobiście do mnie się nie zgłaszał i kiedy Boch[enek] od chwili wyjścia z druku Pieśni zaprzestał ze mną stosunków. Bądźże tak dobry, uproś osobę, która cię zagadnęła o Januszu, aby mu dała wiedzieć: 1-o że się spodziewałem za moją dla niego usługę dobrego słowa, a tymczasem dowiaduję się, że mi go odmawia, nad czem boleję mocno; 2-o że za sprzedaż Pieśni należy się mu odemnie około 700 fr., że kiedy chce, może temi pieniądzmi dysponować, a życzeniem mojem byłoby, żeby na zapłacenie tej należności wziął pieniądze od Bochenka na mój rachunek, albo od Choszowskiego owe 500 fr. za Węglińskiego mi należne; o czem ją (sic!) objaśnij obszerniej; 3-o Jeżeli chce może owe 700 fr. wstawić na koszta druku dalszych tomów; 4-o albo mu księgarnia wydrukuje swoim kosztem, przyjmując go do połowy zysków. Ty wiesz lepiej, Eustachy, niż kto inny, czyli możemy korzystniejsze ofiarować warunki, gdy nam druki wszystko pochłonęły, a z nich jedynym zyskiem... własne przekonanie, że się służyło dobrej sprawie."

Był list Alexandra przydłuższy, ale go skracam, bo nie chciałbym przypuścić Eugenię do tajemnic naszych; rozwijać przed nią wszystkie rozkosze, jakie nam sprawia owo służenie powszechnej sprawie, a nad któremi w chwili żywszego nieco uniesienia się rozwodził się Alexander.

. . . .

9 Sierpnia 1838.

. . . .

Pan Hignet, który wczoraj z małżonką swoją do Warszawy odjechał, był u mnie parę razy. Z początku byliśmy z sobą na stopie grzecznej obojętności, ale za drugim jego przyjściem brat mój poznał w jego osobie dawnego przyjaciela Juliusza Słowackiego, z którym w latach 1829 i 1830 razem mieszkał. Dopieroż tedy nastąpiły wylania się uczuć przyjacielskich dla poety; wzajemne zaufanie uchyliło wszelkie obawy i byliśmy jak dawni znajomi.

. . . .

27 Października 1838.

. . . .

Adam Mickiewicz pojechał do Lausanny starać się o miejsce professora lit. łacińskiej — zdaje się, że je zamieni na inne, które mu tu w Jouy[11] ofiarują. Do nowin należy, że były redaktor Tygodnika P. Słowaczyński, wchodzi także do Seminaryum. Powiadają nawet, że Cezary Plater ma zamiar w podobnymże celu wyjechać do Rzymu. Chopin wyjeżdża do Hiszpanii — to także oryginalna dla artysty podróż — jechać do Madrytu w chwili,

kiedy tam wcale o muzyce niemyślą. Kończę druk *Kirdżalego*, ale z takim niesmakiem, że aż mi uszy więdnieją, kiedy go czytam. Dziwię się i autorowi, że tak mizernie go napisał i kilku jego przyjaciołom, a zwłaszcza P. Alex(androwi), że ma tak gust zepsuty, iż w Kirdżalim może się smaku dopytać.

20 Listopada 1838.

. . . .

Adam Mickiewicz w celu starania się o miejsce w Uniwersytecie Lausańskim odjechał był przed miesiącem do Szwajcaryi. W dziesięć dni po jego odjeździe, Adamowa dostaje obłąkania zmysłów...

Przez dwa tygodnie prawie nie odstępując na chwilę, dzień i noc przepędziłem obok niej i byłem świadkiem tego najokropniejszego stanu umysłu człowieka, gdy w nim gwałtowna burza zrujnuje dawny porządek. Były chwile szczytnej inspiracyi i wtenczas mówiła o religii, o stosunkach człowieka z Bogiem, o jego powinnościach, w tak wspaniałych okresach, językiem tak silnym, pełnym ozdób biblijnego stylu, że się zdawało słyszeć mówiącego Adama. Była jedna a może i ostatnia chwila uspokojenia — jakoż to było w Piątek 9. Listopada, — oświadczyła mi, że chce grać na fortepianie; — grała przez godzin dwie, a potem pytała mię, czyli ja chcę, by mi zaśpiewała — i śpiewała Wilią; nigdy mi ten śpiew tak okropnym i miłym zarazem nie wydawał się, jak w tej chwili. Śpiewała ze łzami w oczach i z takim ogniem duszy, że się zdawało, że pierś, co te tony wydaje, już innych nie stworzy, że z ostatnią nutą wszystko w tej piersi zamrze...

W niedzielę przeszłą Adam wraca z Genewy. Na progu mieszkania słyszy krzyki obłąkanej i cały ogrom nieszczęścia stanął przed jego oczyma. Oniemiał — i przez dwie godziny ani słowa do nas przemówić nie chciał; tylko ją chciał oglądać. Na szczęście w pomoc przyszły mu łzy; płakał długo, potem uzbroił się w męstwo: poszedł do niej; poznała go, uspokoiła się zupełnie, przez godzin trzy rozmawiała z nim najrozsądniej, a potem — znowu do pierwszego stanu wróciła...

Adam zniósł to nieszczęście z męstwem i pokorą; on dzisiaj więcej spokojny od przyjaciół swoich, bo mu Bóg dał więcej hartu i zgadzania się z wolą Boską, której wyroków nikt nie odgadnie.

...Nigdy może Adam nie miał okoliczności przekonania się, w jakim jest szacunku u swoich — dzisiaj miał tego dowód, kiedy nie było i jednego w Paryżu, coby tylko zasłyszał o nieszczęściu nie biegł zaraz do mieszkania jego i nie pytał, czyby się na co nie mógł przydać. Do pilnowania w dzień i w noc, gdy dwóch tylko trzeba było na przemianę, gotowych było piętnastu lub dwudziestu.

Damy polskie koleją także przy niej siedziały.

Trudno mi dzisiaj o czem innem pisać, tak mam głowę rozbitą, tak mi w oczach stoi biedna Adamowa, do której w nieszczęściu przywiązałem się, jak gdyby moją siostrą była. i nikt z otaczających ją, w takich jak ja nie był łaskach i przez czas dłuższy. Do tych miejscowych cierpień przybyły wiadomości z Litwy. Ile to tam nieszczęść naraz uderzyło w ten biedny

kraj: klasztory pełne więźniów, oskarżonych lub podejrzanych wolno więzić, a dobra ich sekwestrują...

. . . .

27 Grudnia 1838.

„Biedny, nieszczęśliwy Adam“ — i ja od tych słów zacznę, od których czuła i dobra Eugenia zaczyna swój list z 11 Grudnia. Wycierpiawszy tyle, ile mu jego siły wystarczyły i widząc, że sam zupełnie upada na zdrowiu, a poświęceniem się swojem nie wróci ukochanej Celinie straconych zmysłów, zdecydował się nareszcie oddać ją do domu zdrowia i przed czterema dniami uplacował ją w jednym z najlepszych zakładów.

Nie wiem teraz, co pocznie, czy przyjmie miejsce profesora literatury łacińskiej, ofiarowane mu w Lausannie, gdzie kursa od 8 Stycznia rozpoczynają się. Czy jego biedna głowa może teraz zająć się przygotowaniem się do tych lekcyi, kiedy myśli jego będą przy żonie, przy biednych dzieciach?! Oto jest wzór prawdziwego męczennika, na który my patrząc powinniśmy wszystkie nasze cierpienia uważać za żadne i dziękować Bogu, że nas strzeże od podobnych nieszczęść miłosierdziem swojem.

. . . .

8 Marca 1839.

Chwała Bogu, że się skończyły teatra — bale maskowe. — Eugenia znajdzie wypoczynek dłuższy, a ja znajdę w nim moją korzyść, bo zamiast króciutkich listeczków, jakim np. jest ostatni z 18 Lutego, będę miał długie, od dawna już przyobiecane. — Nim to nastąpi, trzeba podziękować za to, co jest, a zwłaszcza za te żmudne wypisy z Rozmaitości lwowskich, które dla nas są niezmiernie pożądane. Tygodnik Petersburski i Gazeta Poranna niezawsze umieszczają tego rodzaju doniesienia. Tygodnik Poznański (zapewne znajomy Eugenii) późno do nas przychodzi, prywatnych korespondencyi z literatami nie mamy; a więc łatwo pojąć, jak każda, by najmniejsza, wiadomość literacka znajduje u nas gościnne przyjęcie. Wspomina mi Eugenia o P. Bobrowiczu; żeby on tyle miał wiadomości, dla wydawcy potrzebnych koniecznie, ile Breitkopf i Härtel talarów, żeby po polsku tak dobrze umiał, albo tyle przynajmniej, ile sztuki brzdąkania na gitarze, byłoby i jemu i nam czytelnikom lepiej. — Na nieszczęście poczciwy Bobrowicz nic nie umie, więc naszych klassyków wydaje tak jak drukowano dotąd, bez żadnych objaśnień i komentarzy. Niemcewicz, kiedy wydawał swe pamiętniki o dawnej Polsce, drukował je w miarę jak złapał jaki dokument, bez porządku i doboru. Bobrowicz, mając teraz cztery tomy już gotowe, niezadał sobie pracy w ułożeniu tych dokumentów bezładnych w chronologiczny porządek, ale je przedrukował, jak były. Niesieckiego przedrukowanie z dopełnieniem krytycznem, tak jak miał to uczynić Lelewel z notat Czackiego, byłoby niezmierną dla literatury i historyi przysługą. Bobrowicz go dopełnia: ale jak? Oto, jeśli jaki szlachcic zechce coś

o swoich antenatach dopisać, Bobrowicz na końcu to kładnie. Mimo to jednak błogosławię ja imiona Breitkopfa i Härtla za to, że tyle ksiąg polskich rzucili w obieg i po cenie dość przystępnej... nie mogę tylko Bobrowiczowi darować, że się nieporadził kogo, znającego się na Wydaniach Biblii, [Wulgaty], że drukując ją dla katolików wziął za model wydanie podsunięte zdradziecko przez protestantów i puszczone w obieg pod imieniem Wuyka. Ale wracając do Niesieckiego, niech Eugenia skłoni sąsiadkę do kupna. — M i c k i e w i c z powiada, że gdyby go kiedy na lat 20 zamknięto w więzieniu, a dano mu tylko Niesieckiego, miałby co do czytania i rozmyślania na lat 20 — i że za każdem nowem odczytaniem nowe znajdowałby w nim skarby. — Mickiewiczowa ma się lepiej i jużby ją z domu zdrowia odebrano, gdyby nie Marzec. — We wszystkich chorobach powiadają wszyscy, że Marzec najniebezpieczniejszy.

. . . .

Mickiewicz nie widuje nikogo, żyje prawie samotny — o Lausannie zawsze myśli i czyni przygotowania do mającego wykładać się kursu.

. . . .

Służba moja Kościołowi i Papieżowi zdaje się, że skończy się z 1 Lipca i M ł o d a P o l s k a z obawy, aby się niezestarzała, przestanie wychodzić. Wyłącznie poświęcona interesowi religijnemu, katolicyzmowi, nie mogła znaleźć u wszystkich łatwego przystępu. — Piszący dziennik chce przedewszystkiem, aby był czytany, a tu niejeden na widok tiary przestrasza się i łaje pismu, nie czytając. — Z wielu tedy powodów umyśliliśmy z Panem Stanisławem [14] pogrzebać M ł o d ą P o l s k ę, a coś nowego stworzyć. — Ale to jeszcze w projekcie...

. . . .

19 Grudnia 1840.

. . . .

Za dni cztery Mickiewicz rozpoczyna kurs swój. Jest to równie wielka dla nas Polaków uroczystość. Kiedyś ojcowie nasi w Bononii, Ferrarze wykładali Prawo Rzymskie, ale niebyło przykładu, aby zazdrośna Sorbona Paryska otworzyła krzesło swoje dla Polaka. Kiedy my patrzymy na koleje, jakiemi Mickiewicz doszedł do katedry, to nam się ten zaszczyt lichym zdaje, niegodnym ani Mickiewicza ani Sorbony — ale gdyby Minister Oświecenia powołał był go z własnego natchnienia, gdyby mu dano to miejsce, nie jako zapłatę dla P. Foucher, Redaktora *Courrier Français*, o, wtenczas byłoby czego i nam się radować i winszować Adamowi! Teraz zależeć będzie od Mickiewicza, od jego geniuszu okryć się blaskiem nie pożyczonym, nie wyżebranym, ale rodzinnym, polskim. I my mamy nadzieję, że Francuzi nienawistni obcej sławie, dadzą mu poklask. — Ciężka to próba na tak niewdzięcznej roli, jaką jest sucha niwa lingwistyki słowiańskiej, języków od małej liczby słuchaczów rozumianych. —

We czwartek mamy w klubie *Kucyą* [15], a po lekcyi przyjaciele Adama ułożyli zaprosić go do mnie na herbatę. — Jest to dzień jego święta. Ma być Chopin, Kątski, do piana, Szczepanowski z gitarą; będzie i septuor

wokalny i kwartet wokalny. Jednem słowem tyle muzyki, że chcąc nie chcąc zostanę i ja muzykalnym. Gorecki ma mieć wiersz do Adama: będzie to tedy rodzaj owacyi dla niego po pierwszej lekcyi w Kollegium mianej.

. . . .

20 Stycznia 1841.

. . . .

Eugenia płacze nad Adamem że przestał być poetą, a we trzy, albo cztery dni otrzymać musiała mój list [16], w którym jej donoszę, jaki to tryumf odniósł Adam poeta. — Kiedyś to Edmund opowie, wygra, wyśpiewa. Na to trzeba się przygotować, bo Edmund pewnie niezapomni ani jednego szczegółu, bo takie chwile rzadkie w życiu, zostają tak niezatarte, jak grom nieszczęścia, co odrazu obala człowieka i powstać mu niedozwala.

. . . .

Mickiewicz coraz więcej ma słuchaczy, coraz śmielszy i coraz nowe nam pokazuje pejzaże na obszernej dziedzinie słowiańskiej. Wczoraj mówił o języku Słowian, o jego tworzeniu się, o jego przymiotach. — Słuchaliśmy go z niewymowną rozkoszą. P. Georges Sand siedziała przy nim, a przy niej stał Chopin.

. . . .

EUSTACHY JANUSZKIEWICZ.

OBJAŚNIENIA WYDAWCY.

Wszystkie listy pisane są z Paryża.

1) Mowa tu o Pielgrzymie Polskim, wydawanym początkowo w luźnych, z odmiennymi tytułami, numerach w Paryżu przez Januszkiewicza, od 4-go Listopada 1832 r. Bliższe szczegóły o tem wydawnictwie podaje Wład. Mickiewicz, Żywot A. M. t. II. str. 237—239. Ob. także Bibliografię Estreichera.

2) Z franc. *prote*; tak nazywają w drukarniach francuskich głównego kierownika, korektora itp.

3) Ambasador rosyjski w Paryżu.

4) Generał Samuel Różycki, w którego korpusie służył Januszkiewicz.

5) Stanisław Ropelewski, głośny potem redaktor Młodej Polski i złośliwy krytyk poezyi Juliusza Słowackiego. On to zapewne wpływał na sądy ujemne Januszkiewicza.

6) Adolf Januszkiewicz, brat Eustachego, słynny z urody i nieszczęścia. „Idealniejszego nadeń człowieka rzadko można spotkać na świecie“ — pisze Odyniec w Wspomnieniach z Przeszłości (Warszawa, 1884) gdzie wiele podał szczegółów o Adolfie (str. 145, 147—150).

7) Michała Czajkowskiego.

8) Wincentego Pola.

9) Ogółem na emigracyi zwano zebranie większe, komitet narodowy. Najliczniejszym był Ogół paryski. Na prowincyi w miastach i miasteczkach powstawały drobne ogóły. Por. Gadona: Emigracya Polska, Kraków, 1901. Tom I. str. 134 i un. i Tom III. str. 17—18.

10) Marya, pierworodna córka A. Mickiewicza, Pani Gorecka.

11) Jouy. Liczne są miejscowości we Francyi tego nazwiska. Nie wiemy dziś, co miał na myśli Januszkiewicz.

13) „Wilia, naszych strumieni rodzica“. Pieśń tę z Wallenroda śpiewała Celina Mickiewi-

czowa jeszcze jako panna Szymanowska w Petersburgu 1829 r. Ob. Wład. Mickiewicza t. I. str. 363.

14) Ropelewskim.

15) Wilia Bożego Nar., podczas której K u c y a, lub K u t y a (pszenica gotowana z miodem i makiem) stanowi na Litwie i Rusi niezbędną potrawę. Ob. K a r ł o w i c z a Słownik Gwar polskich, p. w. K u c j a.

16) List ten dochował się, ale nie podajemy go tutaj, ponieważ znany już jest od dawna i zużytkowany przez samego Januszkiewicza i historyków literatury. Ob. Chmielowskiego, Ad. Mick. (1886) t. II. str. 323 i nn. — Wład. Mickiewicz, t. III. str. 30—33.

*

UWAGI PO ZAMKNIĘCIU NUMERU:

Str. 413. Listy Grottgera przygotowano do druku opuszczając w nich wszystko to co miało charakter więcej osobisty, albo nie miało większego znaczenia artystycznego lub biograficznego. To co w klamrach [ ] pochodzi od redakcyi. Lamus poda dalszy ciąg listów artysty w 2 seryach: „Technika Wojny“ i „Rok ostatni“ (z Paryża).

Str. 436. Ujejskiego Erotyki I—VI drukowano w tym zeszycie Lamusa.

Str. 439. Autograf listu Mickiewicza do Mazziniego, udzielony łaskawie przez Panią Helenę Dąbczańską.

Myłki druku: Zesz. IIgi: Str. 261 w. 4 z dołu zamiast: T. VIII, ma być: T. VII. — Str. 262 w. 5 z dołu zamiast: Atala (Amelia) i René, ma być: (Amelia i) René.

Myłki druku: Zesz. III-ci: Str. 356 i 360 w nagłówkach stronnicowych zamiast: Wiosna, ma być: Lato.

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

	Str.
Mieczysław Smolarski: Gdzie huf ten wasz?	3
Maryla Wolska: Była raz królewna...	5
Jan Kasprowicz: Z cyklu „Chwile".	14
Zofia Rylska: Dalekie echa.	22
Włodzimierz Tetmajer: Bronowskie wczasy.	32
Stamir: Mgławice.	37
Leopold Staff: Śladem stopy antycznej.	52
* * *: Rondo.	58
Stanisław Wyspiański: Wernyhora.	59
Jan Gw. Pawlikowski: Słowacki w okresie mistycyzmu.	61
J. H. Retinger: Humorysta dni dzisiejszych — Jules Renard.	78
Marek: Na czasie.	85

Część druga — Wczoraj:

	Str.
Kornel Ujejski: Moja autobiografia.	89
Kornel Ujejski: Erotyki.	102
Mieczysław Romanowski: Z pamiętnika.	106
Bohdan Zaleski: Wzrok anielski.	109
Adam Asnyk: Sonet.	110
Cyprjan Norwid: Przyczynek do „Rzeczy o wolności słowa".	111
Cyprjan Norwid: List.	117
Th. Gordon Hake: Polish Hymn. — Tłómaczenie J. Kasprowicza.	118
Ze starszej Eddy — wedle miary oryginału przełożyła Maryla Wolska.	122
Rozmaitości: Wiersze okolicznościowe i polityczne. — Wspomnienia z lat dawnych.	125

Ilustracye:

Leon Wyczółkowski: Lamus (okładka).
Arthur Grottger: Świt — Zmrok — Noc.
Jan Matejko: Przyjęcie Chrześcijaństwa w Polsce.
Portret C. Norwida (według współczesnej fotografii).

TREŚĆ ZESZYTU DRUGIEGO.

Część pierwsza — Dzisiaj:

	Str.
J. B. K.: Sonety	147
Władysław Orkan: Suplikacye	150
Bąk: Niemrawiec	161
Michał Pawlikowski: Tercyny	165
Maryla Wolska: Godzina słoneczna	168
Adam Krasiński: Z teki pośmiertnej	173
Jadwiga Marcinowska: Areopag	175
Aleksander Naworski: Rymy wesołe i smutne	181
Ludwik Kubala: Oblężenie Lwowa w r. 1655	185
L. Piniński, Wilhelm Suida, Karol Lanckoroński: Galerya miejska we Lwowie	217
E. P.: Dwa hymny do Polski	230
Nowe książki	232

Część druga — Wczoraj:

	Str.
Stanisław Wyspiański: Listy	237
Fryderyk Chopin: Mazur	258
Stefan Vrtel: Tymona Zaborowskiego Klub piśmienniczy (komentarz)	260
Tymon Zaborowski: Klub piśmienniczy	264

Ilustracye:

Okładka wedle rytu J. Falcka (ur. w Gdańsku 1619)
Stanisław Wyspiański: Portret córki.
Leon Wyczółkowski: Portret Juliana Klaczki
Fryderyk Chopin: Facsimile autografu.